

Felice Moscone

Przypowieści z końca wieku

Wędrownka ścieżkami nadziei

WYDAWNICTWO SALEZJAŃSKIE

Warszawa 2001

Małe drobiazgi posiadają niewysłowioną głębię: są wysłannikami wieczności.

Karl Rahner

Spis treści

Wprowadzenie

*1 1. W jubileuszowym plecaku

2. Miłość połowiczna

3. Corrado "Kawasaki

4. Na Kongresie Dróg

5. Nieustająca adoracja

6. Na przepustce

7. Czerwona gęś

8. Radość wychodzi na spacer

9. Pocałunki dla Jezusa

10. Skruszony wilk

11. Wieczna młodość

12. Stara ryba

13. Murzynek, który nie puka

14. Dwie myszy na wakacjach

15. Coś więcej

16. Wiewiórka z dyplomem uniwersyteckim

17. Wiek XIII

18. Ostatnie grosiki

19. Płacząca nowicjuszka
20. Sternik życia
21. Japoński samochód
22. Kto jest największy?
23. Obóz skautów
24. Najśłodsza siostra zakonna
25. Czekoladka
26. Wrony i kolibry
27. Śmierć komina fabrycznego
28. Najdłuższy dzień
29. Szczęśliwa zakochana
- *2 30. Honorowy lis
31. Próba
32. Tajemniczy głos
33. Kto za mnie płaci?
34. Duchowość rynkowa
35. Noc na cmentarzu
36. Otworzyć oczy!
37. Wesoła wdowa?
38. Znaki zapytania
39. Wspólna wędrówka
40. Wyjątkowa piuska
41. Ty niczego nie rozumiesz!
42. Targowisko krzyży
43. Studnia plotek
44. Proboszcz i szynka
45. Łzy cukrowe
46. Umiał tylko uśmiechać się
47. Dwaj politycy przyszli modlić się
48. Na promenadzie nadmorskiej

49. Braterstwo w Londonderry
50. Dobry Pasterz
51. Parafia misyjna
52. Poranek
53. Złote kosmyki i anielskie pióra
54. Uśmiechać się
55. Jefferson
56. Rachunek sumienia
57. Patrzcie na ptaki niebieskie!
58. Na nadmorskiej sośnie
59. Znak pokoju
- *3 60. List miłosny
61. Nad brzegiem morza
62. Basen w Oratorium
63. Puchacz wróżbita
64. Szkoła modlitwy
65. Krokodyl nad rzeką Couffo
66. Ostatnia godzina
67. Nawrócony baobab
68. Chodzący samopas Katar
69. Czula piosenka
70. Twarda głowa
71. Dynia kalifornijska
72. Wolność w Duchu
73. Pełnia księżycy
74. Trzeba wyjść na zewnątrz
75. Ponad prawem
76. Echa łajdactwa
77. Na wysokości
78. Najlepszy wybór

79. Bliscy go nie chcieli
80. Dar z siebie
81. Siostra Angelica i jedna z tych
82. Bankiet dyrektora
83. Jeziorka i kałuże
84. Prawdziwa przyjaźń
85. Rzecz najważniejsza
86. Niebezpieczne roztargnienie
87. Anioł kościelnego
88. Biegnij siostró Bianco!
89. Serenada
- *4 90. Morderca myszy w niebie
91. Przymusowy pobyt bociana
92. Stacja tranzytowa
93. Nomen omen
94. Notes służbowy
95. Drogi Pana
96. Stuletni mnich
97. Kim ty jesteś?
98. Kot księdza
99. Najlepsza Księga
100. Wystrojony osioł
101. Biblioteka pytań
102. W Shiu Kiang
103. Walka wyzwolenicza
104. Nowicjuszka na rowerze
105. Stacja rozdzielcza
106. Sen każdej nocy
107. Kamień młyński
108. Kaczki na słońcu

109. Siostrzyczka od miotły
110. Obsesja
111. I przyszedł anioł
112. Jak pizza!
113. Szczęście czy nieszczęście?
114. Bawoły
115. Dusze w komputerze
116. Grzech bezbożności
117. Perfumy miłości
118. Trzy atramenty
119. Zmiana reżimu
120. Jest moje!
121. Zagraniczna podróż
122. Wielkie osobistości
123. Książę tego świata
124. Na równinie Invrei
125. Niewidoczna bieda
126. Ludzie błądzący
127. Podróż poślubna
128. Człowiek prawdy
129. Pingwin w Westminsterze
130. Jubileusz
131. Zawsze ciebie wyprzedza

Wprowadzenie

Dzisiaj często mówi się o przypowieściach, o parabolach.

O parabolach telewizyjnych, o antenach parabolicznych i o wielu innych nowościach technologicznych, które poprzez ciągle wzrastającą inflację słów i kaskadę obrazów, sprowadzają niezliczone rodziny żyjące w dobrobycie do "poziomu ziemskiego".

Istnieje też inny rodzaj paraboli - to przypowieści, które od dawien dawna przebiegają szczęśliwie po drogach świata i zachowują, szczególnie w tym naszym wieku, często zmiennym i zagubionym, całą swą niewyczerpaną oryginalność i całą swą wyzywającą aktualność.

Mamy tu na myśli przypowieści ewangeliczne, cenne perły w przezroczystej szkatułce, wywodzące się z fantazji Nieba, które pojawiły się w ustach Pana Jezusa. W czym tkwi tajemnica ich trwałej i przekonującej mądrości? Na czym polega ich wiecznotrwała świeżość? Skąd bierze się ich nadzwyczajny wdzięk, który nadal porusza sumieniami?

Krótkie opowiadanie, które my nazywamy parabolą (od parabole = stawić obok, porównać), jest jedną z najstarszych opowieści na świecie. To forma literacka, jeden z najpopularniejszych rodzajów nowoczesnego przekazu audiowizualnego, dydaktycznego, którego od dawien dawna używają wszystkie ludy.

Każda przypowieść, kondensat, który z trudem mieści się w narracji, w swym poetyckim wyrazie, w swej potencjalnej dydaktyce rodzi się z konkretnego przesłania. Wszczepia się w realizm wydarzeń i prawie zawsze wyraża się poprzez uczucia serca.

Począwszy od bajek klasyków starożytnych aż po apologie filozofów szesnastowiecznych, od apoftegmatów (powiedzeń) Ojców żyjących na pustyni, po zasady nowoczesnych myślicieli, od pierwszych fotogramów animacji po współczesny wirtualizm filmowy bajek produkowanych przez Disney Corporation - nadzwyczajne bogactwo fantazji zawsze stanowiło natychmiastowe, przyjemne i przekonujące wsparcie dla specjalnego przesłania.

Parabola, przypowieść religijna granicząca z baśnią, rozwija swą opowieść, co można dostrzec w wielu porównaniach i alegoriach literackich, na skrzydłach rzeczywistości przetworzonej przez poezję. Pragnie więc rozjaśniać, pocieszać, niepokoić, prowadzić ku górze, ku wartościom transcendentalnym.

Przypowieść chrześcijańska nie zasiada na katedrze zarozumiałości. Po prostu wyciąga rękę po bratersku, poprzez małe wydarzenia przeżywanej codzienności. Wywołuje uśmiech albo płacz, bawi albo rani, ale przede wszystkim zmusza do

myślenia i zakorzenia się w jakiś sposób w tajemnicy sumień.

Mówi prostym i przekonującym językiem przyrody, ludzkich wydarzeń i wyraża misternie wartości uniwersalne w pełni dla wszystkich zrozumiałe. Ukazuje się jako nieśmiała akwarela, biorąca początek ze szkicu, ale uważna, spokojna i przemyślana lektura zachęca do poważnego pogłębienia.

Nasze życie historyczne, kulturowe, pełne doświadczeń, pozostawia dzieciom zbyt mało czasu i przestrzeni, by przebywać w świecie bajek. W życiu, które absorbuje zbyt często dorosłych, fascynując ich obrzydliwą przemocą, namiętnością, zachłannością, okropną rywalizacją, warto może powrócić do tej tajemniczej i żywej "mądrej mądrości", która jest darem charyzmatycznym Ducha Świętego. Zostaje ona objawiona wyłącznie tym, którzy umieją uchwycić niewymierną wielkość Prawdy, ukrytej w tajemnicy małych rzeczy.

Jest to wezwanie do pokory tych delikatnych myricae, które w tajemniczy sposób strzegą i zachowują dla wszystkich naukę nieoczekiwanego objawienia.

Przypowieści z końca wieku nie zamierzają ofiarować jałowej i pustej rozrywki literackiej, ale pragną wywołać jakąś krótką chwilę refleksji. Może uśmiech na ustach -swą naiwnością i wdziękiem, chłostaniem i czułością, ironią i introspekcją, bajkowym snem i życiem codziennym.

Mogą pomóc naszemu kruchemu sumieniu dostrzec i zestawić osiągnięte cele, dokonać bilansu palących rozczarowań, weryfikacji postaw, co pozwoli mu na ponowne odkrycie wartości, na młodzieńcze odrodzenie nadziei.

Osoby będą mogły zaczerpnąć, dzięki powiewowi Ducha Świętego i stałemu działaniu Słowa Bożego, jakąś małą iskrę z czystości tych "przypowieści naszych czasów".

Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!

F. M.

W jubileuszowym plecaku

Franz Granier, chłopak dwudziestoletni o jasnej czuprynie, silny i pełen życia, niedawno odzyskał wiarę. Pochodzi ze szwajcarskiego Kantonu Grigioni. Opuścił rodzinną wieś Filisur, aby udać się do Rzymu z okazji Jubileuszu, z jednym, gorącym

pragnieniem: chciał spotkać Jezusa, kontemplować Jego prawdziwe oblicze, potwierdzić swą wiarę przy grobie Piotra.

W duchu pokutnym wielkiego Jubileuszu, wybrał się pieszo, modląc się i śpiewając.

Był zwinny jak wiewiórka, zręczny jak kozica z rodzinnych, wspaniałych gór.

Pozostawił wszystko: spokojny domek, rodzinę, pracę, swą pierwszą miłość...

Wziął ze sobą do plecaka jedynie śpiwór pełen nadziei, gitarę, by móc pośpiewać, wielką manierkę łez pokutnych, torbę pełną dobrych słów, które pragnął rozsiewać pełnymi rękoma w sercach dobrych i złych, napotkanych w czasie wędrówki.

Dzięki dobroci wielu ludzi napotkanych w drodze, nigdy nie zabrakło mu chleba powszedniego. Młody pielgrzym odpłacał się każdemu swymi piosenkami, świadectwem wiary, wyrozumiałością, dobrocią, dodawaniem otuchy, pociechą. Był to codzienny zasiew drobny i przypadkowy, ale hojny i mile widziany, pobłogosławiony przez Boga.

Franz będąc zapalonym poszukiwaczem i kolekcjonerem kamieni i kryształów, łączył z każdym dobrym słowem zasianym w sercach i z każdym dobrym uczynkiem - wyszukanie małego kamyczka z miejsca pobytu. Umieszczał go w torbie, w plecaku. Codziennie przybywało kamyczków i plecak wypełniał się różnokolorowymi dowodami dobroci.

Były to małe, opalizujące kryształki, kwarcowe bliźniaki zebrane w czasie przejścia przez Sempione, kawałeczki białego marmuru z Candiglia i Carrary, czerwone wapienie z Werony, sugestywne wielokolorowe dowody dobroci, świetlisto-różowe kamienie z Botticino, czerwono-koralowe z Valdagno, zielone kamienie z Lobioli, czerwone porfiry z Levanto, złociste piryty z tokańskich pagórków, kamienie koloru kwiatu brzoskwini apuańskiej, różowo-koralowe z Garfagnana, żółtawe ze Sieny, alabaster z Volterra, onyksy z Circeo. A potem fluoryty, czarne augity, granity, porfiry, kawałki trawertynu, kamyczki z potoków...

W końcu, po długiej wędrówce, po wielu modlitwach i spełnieniu wielu dobrych uczynków, młody pielgrzym przybył pod wieczór do Rzymu od strony Via Aurelia.

Przespał się szczęśliwy i zmęczony na przedmieściu miasta w chacie pasterzy.

Następnego dnia o wschodzie słońca wszedł do Wiecznego Miasta.

Gdy dotarł oszołomiony i wzruszony na Plac Św. Piotra, słońce stało już wysoko. Widok był... majestatyczny.

Pierwsze zetknięcie z konkretnym symbolem wiary katolickiej było dla niego wzruszające. Przy dolnej części schodów Franz upadł na kolana, ściągnął plecak i zatopił się w modlitwie. Jego marzenie realizowało się teraz, serce biło mocno, a oczy wypełniły się łzami radości.

Po długiej i wzruszającej modlitwie, Franz podnosząc się z klęczek potracił stary, podarty plecak, który upadł na ziemię, rozsypując na bruk mnóstwo kolorowych kamyczków, zebranych w czasie pielgrzymki. I oto tysiące różnokolorowych dowodów jego dobroci, pobrzękując i rozsiewając fantastyczne iskry, jak w magicznym oczarowaniu, połączyły się tworząc... niewiarygodny cud... oblicze Chrystusa.

Tak, cudowny, uśmiechnięty wizerunek Pana Jezusa.

Młody pielgrzym płacząc upadł na kolana. Opuścił swoje dalekie góry Szwajcarii z jedynym pragnieniem w sercu: chciał zobaczyć Chrystusa! I oto dzięki długiej, codziennej wędrówce, utkanej modlitwą, ofiarą, miłością - jego jubileuszowe marzenie zrealizowało się!

Widziałem Pana! (J20,18).

Miłość połowiczna

- Ojcze - wyszeptał cicho młody nowicjusz, czerwieniąc się aż po czubki włosów - zakochałem się!

- To nie jest nieszczęście! - odpowiedział mu spokojnie, po chwili namysłu, mądry i roztropny Mistrz nowicjuszy.

- Zakochałem się w kobiecie! - powtórzył z naciskiem braciszek. Stary ojciec, który go słuchał, uśmiechnął się leciutko, potem zapytał: - Jesteś tego pewien?

- Jak najbardziej, kocham ją tak mocno jak Boga! To nie jest kaprys jednodniowy, proszę mi wierzyć. To jest prawdziwa miłość!... Co mam robić?

- Widzisz synu - odpowiedział półgłosem po długim namyśle doświadczony i święty opiekun dusz - zakochana kobieta może nawet zadowolić się miłością dzieloną z

kimś jeszcze. Ale Bóg nie! On jest Bogiem zazdrosnym. Pragnie wszystkiego! Nie przyjmuje od swych wybrańców miłości połowicznej. Ożeń się synu. Ożeń się spokojnie!

I pożegnał go ojcowskim, szczerym błogosławieństwem.

Nikt nie może dwom panom służyć! (Mt 6,24).

Corvado "Kawasaki"

Miał twarz w kształcie hamburgera. Pocziwą, spoconą, usianą wypryskami koloru pomidora.

Wszyscy twierdzili, że jest nienormalny. Przyznawała to również jego matka.

Faktycznie Corrado Baietta był nienormalny. Również lekarze w czasie ostatnich badań kontrolnych (tomografia komputerowa) stwierdzili obecność twardego guza mózgu. Była to nieodwracalna chorobowa zmiana organiczna. Diagnoza była jednoznaczna.

W wieku 19 lat Corrado był chłopakiem silnym i postawnym niczym dwudrzwiowa szafa z drzewa orzechowego. Był bezwzględnie dobry jak chomik i spokojny jak pies św. Bernarda. Zawsze uczepiony spódnicy matczynej, nigdy nie wypowiedział całego zdania. Porozumiewał się raczej gestami i kilkoma niewyraźnie wymawianymi słowami.

Od dnia, w którym zobaczył we wsi, w czasie ogłuszającej gymkhany młodzieżowej, wyścigi wielkich motorów, często, będąc w domu czy idąc ulicą, gwałtownie poruszał prawą ręką wyimaginowanym pokrętle, imitując głosem skrzeczącym: Grr... Gm... Grrr - warczące przyspieszenie nieistniejącego motoru, który pędził jedynie w jego chorej wyobraźni.

Słysząc go było z daleka na ulicy, jak zbliżał się warcząc, i młodzież z miasteczka, śmiejąc się wołała z dobrotliwym pobłażaniem: nadjeżdża Kawasaki!

Ten przydomek przylgnął do niego niczym drugie imię chrzestne.

Każdej niedzieli "Kawasaki" szedł na Mszę św. do kościoła parafialnego ze swą matką, która trzymała go za rękę. W kościele koniecznie chciał siedzieć w pierwszych ławkach, obok dzieci pierwszokomunijnych, które zresztą były bardzo z

tego zadowolone.

Corrado cierpiał jednak bardzo, gdy dzieci wychodziły z ławek, by przyjąć Komunię Św., podczas gdy on zatrzymywany zdecydowaną ręką matki pozostawał na miejscu. Ale nasz Corrado nie potrafił znieść tego długo. Pewnej niedzieli, wyswobodziwszy się z ręki matki, ku zdumieniu wszystkich, pobiegł i ukląkł przy balaskach, razem z innymi dziećmi. Gdy proboszcz, który dobrze znał Corrada doszedł do niego, uśmiechnął się po ojcowsku, pogłaskał go serdecznie i poszedł dalej.

Corrado cichutko zaczął płakać.

Gdy, przechodząc ponownie, proboszcz zobaczył go jeszcze zapłakanego przy balaskach, nie zawahał się. Był bowiem, dzięki Bogu, jednym z tych nadzwyczajnych księży, którzy w szczególnych wypadkach potrafią przejść od sztywnej krótkowzroczności wiedzy do ludzkiego wymiaru empatii.

I złożył mu na języku Hostię.

Od tego dnia każdej niedzieli Corrado przyjmował Jezusa do serca.

Nie zabrakło naturalnie kilku pobożnych plotkarek, które rozpalone świętym oburzeniem, w następny poniedziałek wcześniej rano zgorszone udały się na probostwo, by zaprotestować.

Dobry proboszcz, nie tracąc wielu słów na usprawiedliwienie o charakterze teologiczno-liturgicznym, szybko rozwiązał problem bardzo prostym, ale skutecznym argumentem ad kominem.

Drogie panie - powiedział do nich spokojnie -gdybym miał odmówić Komunii św. w naszej parafii wszystkim tym, którzy w mniejszym czy większym stopniu są... nienormalni... musiałbym zamknąć kościół. A poza tym... czy nie sądzicie, że największe szaleństwo popełnił właśnie Jezus, pozostając w Eucharystii pośród nas, biednych grzeszników i wśród tylu plotkarzy?

Miesiąc później zdarzyła się tragedia.

Corrado Baietta razem z matką udał się autobusem na targ do miasta, aby kupić super-szerokie spodnie i niebieski pulower. W drodze powrotnej około pierwszej w południe, a był to dzień deszczowy i szary, w autobusie znajdowało się około 40 osób.

W pobliżu miasteczka, dokładnie na przejeździe kolejowym, zdarzył się poważny wypadek. Ciężarówka słoweńska, z powodu zerwania hamulców uderzyła w lewy bok autobusu i przewróciła go z wielkim hukiem na szyny kolejowe. Drzwi zostały zablokowane. Wielu rannych pasażerów przewracało się jęcząc i błagając o pomoc.

Corrado czterema potężnymi kopniakami wybił szybę w jednym z okien, wydostał się na zewnątrz raniąc się lekko, pomógł również matce wydostać się z autobusu. Instynktownie powrócił jeszcze do autobusu, aby wziąć paczkę ze spodniami i niebieskim pulowerem.

Gdy powtórnie wyszedł z leżącego na prawym boku autobusu, zauważył, że szlaban kolejowy opuszcza się i że z daleka nadjeżdża pociąg ekspresowy z godz. 13.10. Większość starszych, rannych i oszołomionych pasażerów pozostawała nadal w autobusie. Byli w nim uwięzieni, a autobus leżał na szynach.

Kawasaki z obłędem w oczach zawołał: Mamo! Mamo!!!

Potem instynktownie zaczął szaleńczy bieg po podkładach szyn, naprzeciw pędzącego pociągu, aby go zatrzymać. Biegł naśladować warkot swego wyimaginowanego motoru: Gm... Gm... Grr...

Wreszcie dwaj maszyniści pociągu zdumieni i przerażeni ujrzeli w mglistej szarzyźnie... tego szalonego głuptasa, który biegł naprzeciw pociągu, niczym samobójca-motocyklista... Włączyli hamulce pociągu, które ostrym i przeciągłym zgrzytem wypuściły na szyny oślepiające iskry... Ale wszystko na próżno.

Kawasaki wpadł pod pociąg.

Dopiero po wyjściu z lokomotywy dwaj maszyniści zdali sobie sprawę z wypadku, który wydarzył się 300 m od nich i zauważyli przewrócony autobus na szynach.

Przerażeni dziękowali Bogu, że uniknęli jeszcze większego nieszczęścia.

Wielu rannych pasażerów uwięzionych było jeszcze w autobusie. Jedna z kobiet płakała rozpaczliwie, klęcząc na poboczu.

Nowa szkoła średnia w miasteczku, uroczyście otwarta w kwietniu tego roku, ma jako patrona Corrado Baiet-ta Kawasaki, odznaczonego pośmiertnie złotym medalem za odwagę cywilną.

Pan mówi: Nie zważaj ani na jego wygląd, ani na wysoki wzrost... Nie tak bowiem człowiek widzi (jak widzi Bóg). Bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Bóg natomiast patrzy na serce! (1 Sam 16,7).

Na Kongresie Dróg

Dla upamiętnienia starego przysłowia: Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, zorganizowano w Wiecznym Mieście pierwszy światowy Kongres Dróg z pięciu kontynentów. (Wszystkich dróg: małych i dużych bez wyjątku.) Temat był bardzo interesujący i aktualny: Ku przyszłości.

Obecni byli oficjalni przedstawiciele milionów dróg, dzielących powierzchnię każdego państwa świata, pod wszystkimi południkami i równoleżnikami. Wielkie drogi i małe dróżki, dumne autostrady dwunastopasmowe i zagubione ścieżki w dżungli; ścieżki górskie i drogi żelazne; kamieniste polne drogi i szlaki cesarskie, ścieżyny pograżone w ciszy i hałaśliwe nadmorskie promenady południowo-amerykańskie... Co to był za widok!

Wśród różnych delegatów w pierwszych rzędach zauważyliśmy: Strada dei Fori Imperiali i Boulevard des Champs Elisees, leśna ścieżkę i ogromną Avenida 9 de Julio z Buenos Aires, Via Appia i Ramblas z Barcelony, Panoramica Zegna i Kertnerstrasse z Wiednia, Wall Street i szlak saharyjski do Dakaru, przedstawiciele ścieżek wojennych obok Passeggiata di Nervi, Leofóros Venizelou z Aten i Via Montenapoleone, Vicolo dei Cestinari i rosyjską ulicę Gorkiego...

Przewodniczącą Zgromadzenia, dla podkreślenia gościnności i gwarancji absolutnej bezstronności, była watykańska Via delia Conciliazione.

Wystąpienia, tłumaczone równocześnie również na języki esperanto, chiński i suahili, były bardzo liczne, pełne zaangażowania i pasji.

Poruszono najbardziej złożone problemy środowiska: począwszy od uznania prawnego kształtu dróg, które dzielą własność na wsi, po wykorzystanie metod asfaltowania mniej... parzących, od obsuwania się kanałów ściekowych w metropoliach zapchanych przez ruch - po przerwy wywołane przez stada karibu i reniferów za arktycznym kołem polarnym; począwszy od braku oświetlenia nocnego

po reformę sygnalizacji świetlnej na ścieżkach górskich; od problemów emerytury dla starych konsularnych dróg rzymskich, po rozdział zysków uzyskanych z nowych opłat za autostrady.

Po trzech dniach konfrontacji, ideologicznych sporów, teologicznych i artystyczno-sportowych dywagacji, po obfitych obiadach roboczych, krzepiących posiłkach i leniwej ospałości... wreszcie nadszedł moment wyboru pierwszej Rady Światowej w tej dziedzinie. I tu rozpoczęły się zwykle spekulacje towarzyszące wyścigom do foteli! Wśród niekończących się konfrontacji, zaciekleń żądań, tajnych klik, kapryśnych ambicji.

Na szczęście po wielu wystąpieniach, poprosiła o głos krucha, szczupła, blada delegatka z końca sali. Była maleńka, nieśmiała, speszona, cała ubrana na czarno. Do tej chwili milczała.

Była oficjalną przedstawicielką "uliczek prowadzących na cmentarze". Podobnie ona, jak miliony jej małych siostrzyczek, żyła pomiędzy szpalerami cyprysów, owianych smutkiem i zroszonych łzami.

Jej przemówienie było krótkie, ale gorące i przekonujące.

Drogie siostry - zaczęła głosem cichym, ale zdecydowanym - wy niestrudzenie podążacie swobodnie po ziemi, nie zatrzymując się nigdy, by trochę pomyśleć.

Towarzyszycie ludziom idącym bez problemu pod górę, w dół, w lewo, w prawo.

Otóż nie zapomnijcie nigdy, bez względu na to, czy jesteście biedne czy bogate, ważne czy zapomniane, po- chodzenia szlacheckiego czy plebejskiego... że na koniec i wy, wraz ze wszystkimi waszymi użytkownikami, będziecie musiały nieuchronnie przejść tę samą drogę: drogę prowadzącą na cmentarz. To tylko kwestia czasu.

Nie istnieje możliwość odwrócenia tego marszu. W żadnym wypadku! Miejcie to na uwadze przed głosowaniem. I nie zapomnijcie, że ważną i zasadniczą sprawą jest nie tyle przebycie długiej drogi, ile świadomość dokąd chce się dojść!

Należy być pewnym celu do którego się zmierza.

W zatłoczonej sali zapanowało głębokie milczenie, ośmieliłbym się powiedzieć milczenie... grobowe.

Potem całe zgromadzenie, wobec pokory, realizmu, bezspornej mądrości małej

Dróżki Cementarnej, przez aklamację, wśród aplauzów, wybrało ją na przewodniczącą Światowego Kongresu Dróg.

Nie tylko na najbliższe pięć lat. Nie!

Wybrano ją przewodniczącą dożywotnią.

We wszystkich sprawach pamiętaj o swym końcu! (Syr 7,36).

Nieustająca adoracja

Giancarla, miła dziewczyna, w wyniku nieszczęśliwej wady chromosomowej, nie rozwijała się normalnie, tak pod względem fizycznym jak i intelektualnym. Pozostała dzieckiem. Nie umiała nawet chodzić. Ma 25 lat, ale w rzeczywistości wygląda zaledwie na siedmio, ośmioletnie dziecko. Mierzy 60 cm. Ma włosy kręcone, kasztanowe, różową twarzyczkę, oczy czarne, piękne. Siedzi zawsze na ziemi, na swym "dywaniku", grzebiąc niczym kurka amerykańska.

Dlaczego Bóg pozwala na takie wynaturzenia?

Dlaczego zdarzają się takie niezasłużone i przejmujące podarki dla codziennego losu tylu dobrych rodzin?

Zrozumiałem to przyglądając się długo, z oddali, matce Giancarli: klęcząc przed swoją córką - dziewczynką, łagodna, rozkochana, serdeczna, uśmiechnięta, ubóstwiająca, zajęta była podawaniem śniadania.

Zrozumiałem, że istnieją naprawdę nieustające Adoracje, które wyśpiewują miłość dla rzeczywistej Obecności Jezusa, nie tylko przed białą Hostią Eucharystii na ołtarzach, pełnych ciszy klasztorów klauzurowych, ale również przed milczącym, codziennym Krzyżem, ukrytym w sercu tylu rodzin chrześcijańskich, ciężko doświadczonych przez ból.

Jest to Tajemnica Miłości.

Cieszcie się, im bardziej jesteście uczestnikami cierpień Chrystusowych (1P 4,12).

Na przepustce

Drzewa buszu Idah w środkowej części Nigru, stojąc, zmęczone płataniną swych korzeni, zawsze w tym samym miejscu, uzyskały od Boga przed wielu laty, po

miesiącu usilnych modlitw, szczególny przywilej: mogły wykorzenić się i wędrować, przemieszczać się przez cały dzień i całą noc w czasie pełni styczniowej.

Była to noc niezapomniana. Masowy exodus!

Wyjście przebiegało w klimacie euforii i niepohamowanego wybuchu radości.

Jednak po początkowym momencie hulanki zaczęło się całe morze biedy: potężne i wysokie drzewa (baobaby, cedry, mahonie, palisandry, akacje, sekwoje, eukaliptusy, lipy, hebany, klony...) wędrując na oślep, wielkimi krokami w ciemnościach nocy, wywołały zagrożenie dla pnących roślin, lian, krzewów, posycia lasu, dla grzybów, mchów, wspaniałych kwiatów, bezbronnych zwierząt...

Wiele młodych, pędzących drzewek, upojonych prędkością, zderzało się między sobą, wiele konarów zostało połamanych albo też pozbawionych czubków. Znaczna część drzew, podczas tego ślepego i nierozumnego biegu, zapadła się w bagnach.

Niektóre potopiły się w czerwonych wodach Nigru albo natknęły się na skały.

Po pierwszej euforii szalonej nocy wolności nieuchronnie nadszedł gorący, wycieńczający dzień, bez możliwości spoglądania wokół, bez odpoczynku, zaopatrzenia w wodę i pożywienia wyrwanych i wyczerpanych korzeni. Wiele drzew zginęło wygłodzonych na kamienistej glebie, inne z braku wody, na gorących piaskach pustyni albo na suchych terenach Sawanny. Wszystkie oplakiwały żyzną glebę, wilgotną i pożywną, na której się urodziły i wzrastały w sercu buszu.

Przeklinały swą nierozwagę i wspominały z nostalgią utracony Raj.

Nieliczne, które pozostały przy życiu, wdychające i pożółkłe ze wstydu, prosiły gorąco Boga o jedną ogromną łaskę: by mogły wrócić jak najszybciej do swojej ojczyzny i zapuścić korzenie tam, gdzie się narodziły i gdzie się rozwijały.

Rzeczywiście, nie ma dla każdego z nas lepszego miejsca od tego, gdzie dobry Bóg kazał nam rozwijać się, zakwitać i wydawać owoce.

Niestety tylko nielicznym drzewom udało się powrócić na "swoje miejsce" do końca dnia.

Dlatego też dopiero w ostatnim czasie, nieszczęsny busz podzwrotnikowy w Idah znów powrócił do swego dawnego wyglądu bujnego, zielonego muru.

Dokładnie w sto lat od tej nierozumnej nocy szaleństwa!

Miejsce na którym stoisz jest ziemią świętą! (Dz 7,33).

Czerwona gęś

Nadzwyczajny przypadek zdarzył się na początku maja, w roku przestępnym, w "Nowym Gospodarstwie" na obrzeżach wsi, zagubionej wśród pól ryżowych, w okolicy Mortary.

Gdy z 7 jaj zaczęły się wykluwać gąsiątka, jedno z nich w zadziwiający sposób różniło się od innych. Małe, niezdarne, zataczało się z trudem. Miało żółtawy dziób, 2 świecące oczka i co najbardziej zadziwiające -było koloru czerwono-ceglastego, tak jakby właśnie wyłoniło się z sałatki z czerwonych buraków.

Zdumienie matki Lucji było ogromne, a przecież posiadała 30-letnie doświadczenie w chowaniu zwierząt podwórkowych i solidną opinię wypróbowanej gospodyni.

Kolejne tygodnie przynosiły coraz bardziej szokujące niespodzianki. Stała się rzecz nadzwyczajna, absolutnie wyjątkowa w świecie pługonogich: po raz pierwszy ujrzała światło dzienne czerwona gęś!

Naprawdę czerwona! To nie była gaska czerwonawa czy lekko różowa... Nie, proszę państwa, ona była zupełnie czerwona! Bezczelnie i ostentacyjnie czerwona! Akurat takiego koloru, jaki pojawia się na włoskiej fladze państwowej i jaki posiadała powiewna spódnica Ma-rylin Monroe albo taki jak ornat proboszcza w czasie uroczystości w Zielone Świątki!

Zdumienie wszystkich było ogromne. Natychmiast zaczęła się wędrówka mieszkańców wsi do gospodarstwa matki Łucji, by zobaczyć ów fenomen.

Jak można było przewidzieć, lokalny młodociany kronikarz, korespondent Corriere delia Lomellina, zatelefonował do redakcji i przekazał niewiarygodną wiadomość.

Dyrektor, stary lis, węsząc możliwy "scoop", chcąc wykorzystać go polityczne na rzecz własnej partii w związku z wyborami administracyjnymi, umieścił na pierwszej stronie gazety kolorową fotografię pierwszej czerwonej gęsi, jaka ujrzała światło dzienne w naszych czasach, wiejskiej Milvy z pól ryżowych nad Padem.

W Gazzettino Padano, w południe ukazała się ta sama wiadomość, wzbogacona nowymi, pikantnymi szczegółami. Po południu i w następnych dniach "Nowe

Gospodarstwo" mamy Lucji zostało opanowane przez fotoreporterów, kamery filmowe, specjalnych wysłanników gazet i agencji z Włoch i z zagranicy. Nawet TASS i Sandy Guinea rozpowszechniły tę wiadomość.

Czerwona gęś cieszyła się nadzwyczajnym rozgłosem.

Fotografowana ze wszystkich stron, ukazała się kompletnie goła w tygodnikach skandalizujących. Dostała wręcz zaszczytu ukazania się na okładce Times Magazine - jako gęś roku.

Ekspersi przekazali wiadomość o nadzwyczajnym wydarzeniu również do Royal Geografie Society z Londynu. Młody profesor przedstawił ten wypadek w czasie inauguracji roku akademickiego na uniwersytecie w Berlinie. Pewna fabryka ryżu wykupiła prawa do przedstawienia czerwonej gęsi jako advertising woman dla reklamy telewizyjnej i przyjęła za znak firmowy własnych wyrobów. Wędliny z "czerwonej gęsi" cieszyły się wielkim powodzeniem na targach w Mortarze, a nawet mówiło się o notowaniach na giełdzie. W restauracjach i gospodach, za punkt honoru uważano umieszczenie w każdym menu przynajmniej jednej potrawy "a la czerwona gęś". Sukces nadzwyczajny.

A ona?

Biedna, czerwona gęś, po pierwszych dniach radosnej pychy, obłożona, pilnowana, kontrolowana, odarta ze swej prywatności, przerażona ciągłymi fleszami fotografów i operatorów TV, zaczęła źle sypiać, nie miała apetytu, cierpiała na anemię i klaustrofobię, widząc, że ukradkiem wyrywano jej pióra na pamiątkę (matka Lucja dla pieniędzy, turyści i chłopacy dla pochwalenia się).

Następnie zaczęła odczuwać lęki, tik w lewej nodze i stres wywołany sławą.

Doprowadziło to ją do granic wyczerpania nerwowego.

Przede wszystkim - i to najbardziej jej dokuczało - odkryła z goryczą z biegiem dni swe całkowite osamotnienie. Stwierdziła wzrastającą oziębłość, wręcz wrogość swego stada. Bolała ją widocznie zazdrość innych, białych gęsi. Nawet w rodzinie, siostry zaczęły jej unikać. Z tygodnia na tydzień ostracyzm stawał się całkowity.

Nie było nawet mowy o narzeczonym w stawie. Jaki młody gąsior chciałby poślubić czerwoną gąskę, mając na uwadze ryzyko wydania na świat "czerwonych gąsiątek"?

Wiadomo "inni" zawsze są nieszczęśliwi!

Czerwona gęś zaczęła marnieć, być złośliwą, cierpieć na wątrobę (a wiadomo, że wątroba u gęsi jest częścią najbardziej cenioną!), gęgać w si minore i starzeć się szybciej od normalnych, białych gęsi.

Profesor Erich Staumbach, ukochany uczeń wiedeńskiego etologa i noblisty Konrada Lorenza, po dokładnych badaniach i konsultacjach ustalił, że czerwona gęś jest przedwcześnie znużona życiem, trawi ją wirus wyobcowania i towarzyszy jej zdecydowane pragnie śmierci. Stanowi bowiem jeden z wielu przypadków eutanazji z powodu kolorów.

Pomimo aplauzów, reklamy i nieoczekiwanych sukcesów biedaczka czuła się opuszczona przez wszystkich.

Od zawsze niestety - potwierdził to również mądry prof. Staumbach - od czasów Kaina i Abla, od wojen Trojańskich po Punickie, od Nerona po Hitlera, od Chorwatów Bośniackich po Tutsi i Hutu, od członków Ku-Klux-Klan po huliganów, różnica kolorów była i jest-do dzisiaj chorobą nieuchronnie prowadzącą do śmierci. Rzeczywiście, czerwona gęś pewnego wieczoru późną jesienią, podczas gdy niebo o zachodzie barwiło się pasmami czerwono-karminowymi, w tajemniczy sposób i nieoczekiwanie zakończyła życie w bolesnej samotności, podczas kąpieli, z dala od wszystkich, o dwa kroki od pól ryżowych, wśród zielonych, trawiastych brzegów nasyconych herbicydami.

Nieszczęście ekologiczne? Samobójstwo przez utonięcie? Śmierć w wyniku galopującej starości? Udar? Atak serca z powodu braku miłości? Nigdy nie poznano dokładnie wyniku sekcji, wykonanej przez weterynarzy i uczonych wezwanych do kliniki dla zwierząt w okolicy Mediolanu.

Naturalnie, nie pogrzebano jej tak, jak inne gęsi. Ona była inna. Wypchano ją starannie z wielką ostrożnością i wystawiono w sali płetwonogich w Muzeum Przyrodniczym w Mediolanie.

Dzisiaj, po latach, niektóre z białych gęsi, przede wszystkim te najmłodsze i najbardziej otwarte na problemy chromatyczno-społeczne myślą o tej biedaczce i pytają siebie, czy nie utracono nierozważnie cennego skarbu.

To była czerwona gęś, rozumiecie? Absolutna rzadkość, jedyna na świecie. Czy któraś z was widziała taką?

Mamy zaś według udzielonej nam łaski różne dary! (Rz 12,6).

Radość wychodzi na spacer

Radość wychodzi z domu, aby przejść się każdego dnia, o każdej godzinie, gdy świeci słońce i gdy pada deszcz, latem i zimą.

Ubrana z prostotą i gracją, wędruje po dywanie z kwiatów, nosi kolory nieba i nadziei. Szczodrze obdarza wszystkich, małych i dużych, uśmiechem i pocałunkami, pieścizotami i uściskami.

Wszystko rozświecła się z fantazją przy jej przejściu.

Nawet zgaszone latarnie uliczne się zapalają, a zamknięte okna otwierają się na jej uśmiech. Koty miaucząc oblizują się zadowolone. Złocienie otwierają swe oczy niewinne, a górskie lodowce zaczynają topnieć i zamieniać się na setki srebrzystych strumyczków.

Wokół radości kwitnie przyjaźń i pojawia się miłość.

Pozwólcie więc, by wasza radość wychodziła z domu na spacer. Nie trzymajcie jej w więzieniu nieczułego, jałowego, lodowatego serca. Uwolnijcie ją z okowów, które zbyt często zamykają ją w ciemnościach waszego egoizmu. Będziecie mieli do dyspozycji dobrą wróżkę, która zamieni w pogodę i światło każdą rzecz i każdą osobę wokół was.

Jedynie ignorancja i ucisk boją się radości.

Stwórca powierzył ogromny kapitał każdemu stworzeniu. Dzieciom, dziadkom, mamusiom, tatusiom, młodzieży, kwiatom i gwiazdom, bezdomnym i aniołom.

Nie zakopujcie go w ziemi. Nie niszczone go! Obdarzcie go skrzydłami! Pozwólcie, by radość uśmiechała się w was i przez was!

Radość serca jest życiem człowieka! (Syr 30,22).

Pocałunki dla Jezusa

...Niektórzy ojcowie, liczne mamusie, bardzo wielu dziadków i niezliczone rzesze

babuń i prababci przyzwyczajają dzieci już od wczesnego dzieciństwa do "posyłania pocałunków Jezusowi i Maryi", gdy prowadzą je do kościoła przed tabernakulum albo gdy zatrzymują się przed jakimś obrazem Matki Bożej.

Młody katecheta, trochę przemądrzały, po ukończeniu krótkiego kursu

"aggiornamento" teologicznego, uważał się za animatora duszpasterstwa numer 1.

Korzystając z internetu, w czasie pewnego nudnego niedzielnego wieczoru, znalazł w Rzymie stronę [http: /IWWWcatcei.it/Vatic.com](http://IWWWcatcei.it/Vatic.com) i przez e-mail wysłał następujące pytanie sądząc, że wywoła w Kościele nielada łamigłówkę:

Jaką rzeczywistą wartość w zdrowej ewangelizacji może mieć zwyczaj nakłaniania dzieci do "posyłania pocałunków Jezusowi i Madonnie", na początku nauki chrześcijańskiej, autentycznie poważnej, owocnej, dojrzałej, pozbawionej ryzyka przesądów?.

Zaledwie skończył wystukiwanie na klawiaturze komputera podstępного pytania, gdy... natychmiast... mówię natychmiast, ukazała się na ekranie dużymi, świetlistymi literami, podobnymi do tych używanych przy zapisie Słowa Bożego w mszale - następująca odpowiedź:

**KAŻDY POCAŁUNEK POSŁANY W KIERUNKU NIEBA DOCIERA DO
MIEJSCA PRZEZNACZENIA!**

Chłopak oniemiał. Czytał raz i drugi. Przecierał sobie oczy. Skontrolował dwukrotnie komputer. Wszystko było w normie.

Wysłał ponownie to samo zapytanie... Odpowiedź identyczna nadeszła natychmiast!

Ta tak kategoryczna odpowiedź, która nadeszła pod właściwym adresem, nie pozwoliła mu zasnąć przez całą noc.

Następnego dnia poczynił dokładne poszukiwania w Rzymie, w Watykanie. Na próżno. Otrzymał potwierdzenie, że adresat (wieczór niedzielny!) nie przyjmował, nie było personelu. Odpowiedź więc nie nadeszła ze Stolicy Świętej.

A więc? Interferencje w eterze?

Głos z Nieba?

Wątpliwości katechety trwają nadal.

Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie! (Łk 18,16).

Skruszony wilk

Stary wilk, wyliniały, zawszony, zmęczony życiem i dręczony wyrzutami, czując, że dobiega końca wędrówki, po odbyciu długich i gorliwych rekolekcji w gęstym lesie bukowym, postanowił się wypowiadać. Pragnął odbyć szczerą spowiedź generalną, aby przygotować się przezornie i rozważnie do dobrej śmierci. Nigdy nic nie wiadomo!

Wilk - to oczywiste - nie może wypowiadać się u jakiegoś pasterza! Nie tylko z powodów oczywistych, ale i dlatego by uniknąć ryzyka otrzymania batów.

Udał się więc do pobliskiej parafii na skraju lasu, do katolickiego kapłana. Święty starszek ksiądz przyjął go z serdeczną gościnnością, wysłuchał go z ojcowską cierpliwością i wyznaczył mu jako pokutę, by uronił 3 łyzy. Tylko 3!

-Aby zadośćuczynić za swoje grzechy - a jest ich wiele - będziesz musiał uronić trzy szczerze łyzy. Dobrze?

-Zgoda! - odpowiedział szczęśliwy wilk (udało mu się tanio załatwić sprawę) i powrócił do lasu skacząc tak radośnie, jak nie robił już tego od czasów młodości. Jednak gdy późnym wieczorem w głębokich ciemnościach starej nory, wyściełanej mchem, chciał przed zaśnięciem wyrównać rachunek za swe grzechy wylewając pierwszą łyżę, stwierdził strapiony, że serce z biegiem lat tak bardzo stwardniało i skamieniało, że nie potrafiło już płakać!

Wszelkie wysiłki okazały się daremne. Spędził noc w okropnej rozpaczce.

Następnego ranka, bardzo wcześnie, stary wilk zaczął błąkać się po lesie w poszukiwaniu kogoś, kto by mu dopomógł, poradził i nauczył choćby raz zapłakać. Wszyscy jednak, dobrze znając okropny charakter i arogancję krwawego zabójcy, woleli unikać spotkania z nim i trzymali się od niego z dala.

Wędrował na próżno przez całe dni, aż wreszcie któregoś wieczoru, pogrążony w wielkim bólu znalazł się ponownie przy drzwiach parafii.

Uklękawszy przed starym kapłanem, który przyszedł otworzyć mu drzwi, błagał zrozpaczony: Ojcze, nie mogę dłużej tak żyć! Zapłaciłem drogo za moje winy, cierpię z powodu wyrzutów sumienia, ale łyzy nie napływają mi do oczu i absolutnie nie

mogę wypełnić pokuty, wyznaczonej przez księdza. Proszę mi wierzyć... nie potrafię już płakać! Proszę wyznaczyć mi inną pokutę!

Stary, święty proboszcz wilków, uśmiechając się z ojcowską pobłażliwością powiedział: - Dobrze synu, wobec tego, co wieczór przed zaśnięciem powtarzaj powoli następującą modlitwę: "Pan Bóg pomimo wszystko nadal mnie kocha!" Módl się tak przez dwa tygodnie.

Uszczęśliwiony uzyskaną zmianą, wilk wypełnił wiernie całym sercem nową pokutę i każdego wieczoru modlił się z coraz to większym przekonaniem: Pan Bóg pomimo wszystko nadal mnie kocha!

W tajemniczy sposób słodycz wspaniałego miodu wypełniała mu pysk i zalewała serce. Być kochanym przez Boga - to zbyt piękne!

Szóstego dnia - cud! Podmuch niewymownego wzruszenia przeniknął mu duszę, otwały się katarakty oczu, rozerwały się okowy serca. Potok łez skruchy i radości spłynął mu po pysku, a światło radości i nawrócenia nappełniło szczęśliwością ciemną norę wilka.

Ktoś w ciszy jeszcze raz wyszeptał: Był zgubiony, ale się odnalazł!

Tak samo w niebie, większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia (Łk 15,7).

Wieczna młodość

Był starym księdzem.

Skończył szczęśliwie 87 rok życia i mieszkał w domu dla księży emerytów. Dom był czysty, wygodny, aseptyczny i pełen melancholii, jak wszystkie domy dla starców.

On zaś pełnił nadal najcenniejszą służbę: posługę modlitewną, posługę miłości, która jest cnotą typową dla prawdziwych dziadków, dojrzałą i oczyszczoną w czasie doświadczeń długiego życia.

Chcąc przezwyciężyć powtarzające się kryzysy astmy, wywołanej alergią na pyłki, w miesiącach wiosennych przez kilka tygodni mieszkał nad morzem, w Ligurii. Pragnął jeszcze w jakiś sposób być użytecznym, przynajmniej przez słuchanie spowiedzi, ale

powiększająca się głuchota nie pozwalała mu na to.

Wszystko to czasami smuciło go i powodowało cierpienie; czuł się niepotrzebny, skończony, czuł się ciężarem dla wszystkich.

Odmawiał za to wiele, wiele różańców. Modlił się w kaplicy sióstr, które go gościły albo siedząc na ławeczce na promenadzie nadmorskiej.

Od wielu dni ktoś go obserwował.

Najpierw z zaciekawieniem i lękiem, potem z uwagą a wreszcie z czcią.

W końcu pewnego dnia przy lekkim, ciepłym wietrze, gdy aleja nadmorska była prawie pusta, nieznany admirator zbliżył się do księdza.

Nieśmiało, ale z wewnętrzną determinacją, która rodzi się z postanowienia poprawy, stary, elegancki pan, wielki grzesznik, którego serce od wielu lat gnębiły wyrzuty sumienia i lęki, poprosił o spowiedź.

Stary ksiądz zdumiał się i gdy wreszcie zrozumiał jasno prośbę, z ojcowskim uśmiechem powiedział wahając się: Ale ja jestem stary a poza tym, widzi pan, jestem raczej głuchy. Musiałbym prosić, by penitent mówił zbyt głośno, właśnie tu... nad morzem.

Zauważył jednak tak wielkie przygnębienie na twarzy tego pana, że przeprosiwszy na chwilę, zakrył sobie twarz chudymi rękoma i zatopił się w cichej modlitwie.

Posłyszał Głos w sercu, ten sam Głos, który w młodości wezwał go do kapłaństwa, a który teraz mówił mu: Pomóż mu! Nie bój się! Weź go za rękę, trzymaj mocno. Ja sprawię, że posłyszysz dobrze jego słowa!

I tak stary, głuchy kapłan, zdecydował się, trzymając za rękę penitenta, wysłuchać długiej spowiedzi wielkiego grzesznika. Spowiedź ta składała się bardziej z łez niż ze słów.

Stary kapłan zrozumiał wszystko. Doskonale.

Potem unosząc zmęczoną rękę z błogosławieństwem, w imię Chrystusa udzielił rozgrzeszenia.

W tym momencie stary, mający 87 lat kapłan odmłodził.

Wydało mu się, że ma jedynie 33 lata - wiek Chrystusa, który nadal ofiarowuje swe życie za nas ludzi i za nasze zbawienie.

I w starości i w wieku sędziwym, nie opuszczaj mnie Boże! (.Ps 70,17).

Stara ryba

W czasie jednej z tych długich i spokojnych nocy jesiennej pełni, gdy ogromny księżyc tańczy nad morzem, rozsiewając iskry srebrzyste na spokojnych, z lekka pomarszczonych falach, stara, ogromna ryba, piękna i senna pływała wśród wodorostów unoszonych przez wodę. U wejścia do morskiej jaskini, wśród gmatwaniny wodorostów, zwierzyła się gromadzie trzepoczących się śledzi, z tajemnicy swej aż czterdziestoletniej długowieczności.

Już w dzieciństwie - wyszeptła łapiąc z trudem powietrze - gdy moje skrzela były złociste, nauczyłam się być ostrożna, nie ryzykować, nie dowierzać zbyt nęcącym sytuacjom i kontrolować uważnie ruchy innych.

Z bliska dokładnie przyglądałam się ludziom, zajęтым połowami i ich świecącym błyskotkom wśród szmaragdowych fal. Spędzałam długie godziny ukryta pomiędzy kamieniami - okrągłymi, omszałymi i pokrytymi wodorostami. Tam spoglądałam w zimne, zachłanne oczy naszych nieprzyjaciół - rybaków. Badałam, jak przygotowują wędkę, jak szerokim ruchem zarzucają sieci, jak sprytnie przyczepiają coraz to nowe przysmaki do haczyka, obserwowałam jakich używają sieci...

Jako młodziutka rybka, zwinna i niedoświadczona, natknęłam się przypadkowo na pierwszego, polującego na mnie rybaka podwodnego i przy gwałtownym pulsowaniu zimnej krwi, doznałam dreszczy na dźwięk śmiertelnego świstu harpuna, który błysnął mi przed oczyma, ześlizgując się z płetw.

Dwa lub trzy razy udało mi się uciec, ze straszego "cul de sac", ogromnej sieci, zarzuconej przez jakąś łódź rybacką, która kradła morzu całe kwintale cennych ryb i wodorostów, pływających na dnie morskim.

Powoli - wyznaję - wzorując się na ludziach, nauczyłam się i ja... łowić i nie pozwolić się złowić. Postępując ostrożnie i roztropnie, stawałam się każdego dnia coraz bardziej doświadczona w obronie przed atakami, w unikaniu niebezpieczeństw i pokus. Ćwiczyłam się w cennej sztuce unikania nieprzyjemnych spotkań, by móc żyć w pokoju.

Widzicie, moje dzieci, życie ofiarowuje mnóstwo możliwości, ale wiąże się również z ryzykiem. Ryzyko codzienne. Ryzyko, które może przekształcić się w śmiertelną zasadzkę, gdy podchodzi się do niego naiwnie, gdy zamyka się oczy na niebezpieczeństwa, gdy się jest zbyt niedojrzałym, by stawić mu czoło.

Trzeba otwierać oczy, moje małe śledziki, trzeba nauczyć się żyć! Należy ciągle się uczyć, szeroko otwierać oczy, nie tylko po to, by coś zobaczyć, ale by dotrzeć do głębi, by coś wyczuć. Chcąc żyć długo i dobrze, trzeba zdobyć doświadczenie; biada temu, kto pozwala się unieść przez prąd mody, upajając się iluzjami ciemności!

Zarozumiała pewność siebie prowadzi wprost do ruiny! Naiwna rybka "Iwie serce", kończy nieuchronnie w paszczy rekina. A mały, nieostrożny i marzący śledzik, łudzący się, że napotka miłość, często pakuje się na haczyk!

Niestety... ten, kto zakochuje się bezmyślnie, kończy zawsze na patelni!

Kto strzeże rozwagi - ten dobro zdobędzie! (Prz 19,8).

Murzynek, który nie puka

We wsi Kamat?, szałaszy zbudowane są z plecionej trzciny i z gliny czerwono-brunatnej, zaprawionej wodą i wypalanej na słońcu. Dachy najczęściej są z blachy pokrytej gałęziami liściastymi, zwłaszcza w okresie suszy, gdy nadchodzi harmatan z pustyni Saharyjskiej.

Ludzie są dobrzy, pracowici, uśmiechnięci.

Najbiedniejsze dzieci (a jest ich tyle!) zjawiają się w południe lub pod wieczór przed drzwiami misji lub przed szałasem najważniejszych chrześcijan we wsi.

Nie pukają, nie są do tego przyzwyczajone, gdyż w najbiedniejszych szałasach nie ma drzwi, delikatnie dają znać o sobie.

W jaki sposób?

Klaszczą nieśmiało w dłonie, aby zasygnalizować swoją obecność, a potem oczekują cierpliwie na zachętę, by wejść. W domu jest zawsze coś do zjedzenia, również dla nich: trochę ryżu, maniok, jakiś owoc, mango czy papaja.

Tylko jedno dziecko zjawia się niespodziewanie. Nigdy nie zapowiada się, nie zdradza swojej obecności. Wchodzi po cichu do domu misji i do różnych szałasów.

Jest to mały Andre.

On nie klaszcze w ręce. Nigdy. Nie - żeby był źle wychowany. Po prostu nie ma rąk. Od urodzenia.

Andre ma wielkie, niebieskie i niewinne oczy, i uśmiech jak pełnia księżyca, rozjaśniający koronę z pereł jego ząbków. On może wchodzić wszędzie. Jego paszportem jest niewinność. Paszportem, który ważny jest również w Królestwie Niebieskim.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą! (Mt 5,8).

Dwie myszy na wakacjach

Dwie duże, dzikie myszy skalne w kolorze brunatno-rdzawym, z błyszczącymi, szelmowskimi oczkami i zakręconymi ogonami ze szwajcarskiego płaskowyżu Emmental, dobrze odżywione dzięki nocnym wyprawom do magazynów serów i do obór producentów mleka, postanowiły na początku bardzo srogiej zimy górskiej, udać się na wakacje na południe i tam przezimować.

Nie myśląc wiele, wskoczyły do wagonu pociągu towarowego bardzo wolno jadącego do Włoch i po 12 dniach sennej podróży pomiędzy workami ziemniaków i połąciami słoniny, dotarły dobrze wypasione na Sycylię, do Katanii.

Był to spokojny, ciepły, miły wieczór, pachnący kwiatami pomarańczy i cytryn.

Całkiem inny klimat!

Przyzwyczajone do wzgórz szwajcarskich dwie ogromne myszy przebiegły przez puste miasto w nocy i instynktownie skierowały się ku pięknym stokom pobliskiej góry. Był to wesoły wypad, śmieszne gonitwy w ciemności, prawdziwie rajska zabawa.

Im wyżej wchodziły, tym robiło się cieplej i powoli coraz bardziej gorąco. W końcu wszystko stało się parzące, wprost nie do zniesienia.

Nie zdając sobie z tego sprawy, dwie myszy doszły do krateru wulkanu Etny.

Podziwiając z zaciekawieniem iskrzące i rozżarzone widowisko, nagle dwie niedoświadczone biedaczki wpadły do środka i zostały pochłonięte przez wulkaniczną fumarolę, która upiekła je w jednej chwili.

Zmiana pejzażu nie zmienia życia.

Często je pogarsza.

Prawdziwą, radykalną zmianą jest jedynie wewnętrzne nawrócenie.

Pokutujcie i nawróćcie się! (Dz 3,19).

Coś więcej

Dzisiaj rano, zmieniając ubranie, zostawiłem w domu portfel.

Przypadkowe zapomnienie czy opatrnościowa sytuacja?

Spytałem siebie o to niedługo potem, gdy po dojściu do rogu Via Roma napotkałem siedzącego na chodniku obdartego żebraka, który wyciągał do mnie drżącą rękę.

Rękę czarną, pomarszczoną, zdeformowaną przez lata i artretyzm.

Instynktownie zacząłem szukać portfela i dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że przecież zostawiłem go w domu. W tym momencie wobec starca, który oczekiwał na wsparcie z wyciągniętą ręką i otwartą dłonią, poczułem się głęboko upokorzony, przygnębiony, zmartwiony.

Przeszukując na próżno kieszenie, znalazłem jedynie pastylki miętowe i podałem je biedakowi przepraszając... za co?

Za co?

Rzeczywiście w tym momencie wydawało mi się, że przeszukuję również najbardziej tajemny zakątek mojego serca: dotarłem na dno, tam gdzie zawsze jest coś więcej do dania innym i coś lepszego do ofiarowania, jakieś dobre słowo, mały gest sympatii, uśmiech szczery, kilka minut wysłuchania, trochę zrozumienia, jakiś uścisk dłoni...

I spróbowałem...

Gdy rozstawaliśmy się po krótkiej rozmowie, byliśmy prawie zaprzyj aźnieni...

Odtąd pytam siebie często, dlaczego tylu ludzi, bogatych czy biednych, uważających się za chrześcijan, tak bardzo boi się biedaków?

Nie odwracaj twarzy od biedaka! (Tb 4,7).

Wiewiórka z dyplomem uniwersyteckim

Wiewiórka Janina, gdy powróciła do lasu po uzyskaniu dyplomu na uniwersytecie w

Montrealu, zaczerwieniła się bardzo ze wstydu, stwierdzając, jak bardzo życie tu było jeszcze zacofane, senne, dzikie i prymitywne.

Bezzwłocznie zostało zwołane zebranie plenarne Rady Okręgowej Wiewiórek. Tam zabrzmiało magiczne słowo, które znalazło entuzjastyczne uznanie wśród młodzieży i zrozumienie wśród rodzin. Tym nadzwyczajnym słowem była: nowość!

Trzeba zmienić wszystko, zmienić natychmiast! Dzisiaj w epoce globalizacji, bez pomocy najbardziej wyszukanej techniki, bez organizacji, bez planowania nie można zrobić niczego mądrego.

Po niedawnym ukończeniu studiów z zakresu etyki, socjologii, polityki globalnej, ekonomii wirtualnej, organizacji produkcji, informatyki... wiewiórka, dr Janina, zaproponowała, by dokonać spisu wszystkich rodzin wiewiórczych z lasu. Potem zorganizowała studium na temat ich zdolności produkcyjnych i przygotowała nowy projekt utworzenia magazynów wspólnotowych, gdzie przedłużony byłby okres konserwacji magazynowanych tam kasztanów, orzechów laskowych, jagód i owoców lasu, ziaren zboża i gałązek jadalnych, delikatnej kory brzoź i olch.

Trudne i ukradkowe powiązanie z linią elektryczną zasilającą Ośrodek Straży Leśnej umożliwiło również wyposażenie wielkiego orzecha, będącego Centrum Studiów Wiewiórek, w 4 komputery podłączone do internetu. Centrum zatrudniało 6 pracowników i 3 sekretarki (modne wiewióreczki w kostiumach i spódniczkach mini).

Dzięki temu "escamotage" można było pracować nad nowymi projektami dr Janiny przez całą jesień, z entuzjastycznym przekonaniem o odnalezieniu wolności i ze ślepą wiarą w postęp naukowy i w zdolność odnowy społeczeństwa wiewiórek, wreszcie wyzwolonego z wszelkiej staroświecczyzny.

Ale przy pierwszych chłodach zimy, chcąc niechcąc, wszystkie wiewiórki popadły w letarg i nastąpiło długie, uroczyste spanie, aż po pierwsze ocieplenie wiosenne.

Następny rok był straszny: rok tajfunu Palmira. Deszcze, silne wiatry, trąby powietrzne, zniszczenia... a przede wszystkim wielkie zimno. Ta odrobina zapasów, które każda wiewiórka potrafiła sobie zgromadzić, szybko została zjedzona w obawie, że trzeba będzie oddać do wspólnych ośrodków zbioru. Wrodzony egoizm

poszczególnych jednostek przekreślił wszystkie dekryty wydane przez Ośrodek Studiów.

Groźny piorun, późnym latem spowodował zniszczenie wielkiego orzecha, na którym zainstalowane były komputery, doprowadzając do kompletnej ruiny. Wyposażenie informatyczne, operatorzy, sekretarki w mini spódniczkach - wszystko przestało działać.

Dr Janina i wiele wiewiórek razem z nią zostało zmuszonych do refleksji nad dawną mądrością ojców i do przypomnienia sobie, że w lesie wszystko jest darmowe, wszystko jest łaską!

Tak jak w naszym życiu.

Cóż masz, czego byś nie otrzymał? (.1 Kor 4,7).

Wiek XIII

Żwawa staruszka, która prowadziła dwie krowy na pastwisko, zgodziła się towarzyszyć mi przez kilka minut w zwiedzaniu ruin starego kościółka romańskiego, zarośniętego krzewami i akacjami.

Pomiędzy walącymi się murami, można było zauważyć jeszcze dwa okienka absydy, ślady rozbitego bifo-rium, resztki kapitelu kwiatowego. Cenne pozostałości z XIII wieku.

Dach zawalił się przed dziesiątkami lat, gąszcz jeżyn, zielska i kwiatów zawładnął prezbiterium.

- Szkoda! - zawołałem rozczarowany z pewną goryczą i zawodem. - Niestety... wszystko przemija. Również nasze kościoły!

- Kościoły tak! - odpowiedziała natychmiast staruszka - ale Kościół nie! Kościół, ten pisany dużą literą, pozostaje! Tu znajdują się jedynie stare korzenie, ale owoce Kościoła ciągle dojrzewają, o każdej porze roku.

- Czy widział pan we wsi - spytała staruszka z dumą - nasz piękny nowy kościół parafialny? Zbudowano go przed 10 laty i jest dziełem nowoczesnej sztuki. A ilu ludzi każdej niedzieli zbiera się w nim na modlitwie!

W tym momencie przypomniał mi się stary napis, jaki widziałem w Ligurii na

zegarze słonecznym w Voltri: Nescit occasum, lumen Ecclesiae - światłość Kościoła nie zna zachodu!

Wydadzą owoc nawet i w starości (Ps 92,15).

Ostatnie grosiki

Była to tradycja rodzinna. Stała, wypróbowana, zakorzeniona, obowiązująca od czasów pradziadków naszych dziadków.

Gdy w portmonetce rodzinnej zostawało jedynie kilka monet, należało obowiązkowo ofiarować je komuś, jeszcze bardziej potrzebującemu pomocy.

Trzeba to było zrobić od razu, nie tracąc czasu, nie namyślając się dwa razy, aby zobowiązać Opatrzność Bożą do jak najszybszej pomocy.

Uczynili to w ubiegłym roku ostatni wnukowie tej rodziny: małżeństwo z Salerno, które znalazło się w trudnej sytuacji, bez pracy, wyrzucone z mieszkania, z dwójką malutkich dzieci.

Co robić?

Małżonkowie ofiarowali z wiarą i z ufnością ostatni banknot, jaki znajdował się w rodzinie, pewnemu Stowarzyszeniu charytatywnemu, które zbierało na pomoc dla dzieci, ofiar tragedii w Czarnobylu.

Następnego dnia małżonkowie zostali zaarrestowani przez policję.

Był to okrutny cios!

Asystentka uprzejmie zaprowadziła ich dzieci do Instytutu sióstr, a małżonkowie zostali doprowadzeni na komisariat, pod zarzutem rozprowadzania fałszywych pieniędzy.

Nie do wiary! Ostatni banknot, który ofiarowali Stowarzyszeniu był fałszywy!

Zamknięci w komisariacie, wypłakawszy wiele łez, pocieszyli się kolacją, jaką ofiarował im dyżurujący policjant. Potem, pewni swej niewinności, oddali się w ręce Opatrzności i zasnęli spokojnie.

W środku nocy młody małżonek, który przez cały wieczór rozmyślał nad przyczyną zaarrestowania, zobaczył we śnie "tego przestępcę", który mu wręczył fałszywy banknot. Jego wizerunek ukazał mu się w sposób doskonały, niczym kolorowa

fotografia trójwymiarowa.

Następnego dnia opisał go komisarzowi tak dokładnie i z tyloma szczegółami, z podaniem dnia, godziny i miejsca spotkania, że dzięki temu w ciągu kilku godzin człowiek, który dał mu fałszywy banknot, został zaaresztowany przez policję, a jego ujęcie pozwoliło zlikwidować bardzo niebezpieczny gang fałszerzy międzynarodowych, którzy drukowali liry, dolary i marki.

Aresztowano również herszta gangu, za którego amerykański Departament Skarbu wyznaczył wysoką nagrodę.

I tak małżonkowie, po stwierdzeniu przez komisarza ich niewinności, zostali zwolnieni i doprowadzeni do domu przez policję z wyrazami przeprosin i podziękowaniami za owocną współpracę.

Po kilku tygodniach, poprzez Ambasadę Amerykańską w Rzymie, otrzymali nieoczekiwaną nagrodę: 20 000 dolarów! Dwadzieścia tysięcy dolarów! Fortuna, która spadła im z nieba!

Jeszcze raz dar ostatnich grosików okazał się opatrnościowy dla rodziny.

Opatrzność nie pozwala się prześcignąć we wspaniałomyślności!

Nadzieja świata schroniła się w arce i pokierowana jest Twą ręką (Mdr 14,6).

Płacząca nowicjuszka

Pewna nowicjuszka płakała regularnie dwa dni w tygodniu: od godz. 20.30 do 22.00.

W każdy piątek płakała z powodu nie dającego się opanować lęku przed piekłem.

Powodem tego było - jak mówiła - wiele grzechów popełnionych w przeszłości.

W sobotę natomiast płakała ze złości, że nie udało jej się zostać świętą.

Jej Anioł Stróż otrzymał pewnego dnia wprost z Nieba wyraźny i pilny rozkaz: miał zbierać dokładnie łzy wylewane dwa razy w tygodniu i wlewać je do dużego pojemnika po benzynie Esso.

- Dlaczego? - zdobył się na pytanie zaciekawiony Anioł.

- Posłużą za opał, podtrzymujący ogień w czasie pobytu twojej nowicjuszki w czyścicu! - brzmiała odpowiedź.

Wylewanie łez ze strachu, złości czy wstydu lub zazdrości, na nic się zdaje.

Często może być wręcz ryzykowne.

Przed Bogiem cenne są jedynie szczere łzy, które wypływają z serca: łzy skruchy i łzy miłości.

Płacząc zaczęła łzami oblewać nogi Jezusa (Łk 7,38).

Sternik życia

Dość rozpowszechnionym pragnieniem, pewną słuszną ciekawością wielu osób wsiadających do samolotu, jest poznanie - przed rozpoczęciem długiego lotu - kapitana, który zasiądzie u steru maszyny.

Często pasażerowie słyszą jedynie jego głos. Jednak również wtedy, gdy ukazuje się on na krótko, pozostaje zawsze w sercach podróżnych pewna obawa: widzimy pilota nieznanego, któremu powierzamy przynajmniej na kilka godzin nasze cenne życie.

Wspólnie z nim, wyłącznie przez akt całkowitego zaufania, będziemy przeżywać pewien rozdział naszej egzystencji.

W tych momentach prawie fizycznie czujemy, jak bardzo mała, powierzchowna, fragmentaryczna, krucha, często przypadkowa jest scena świata.

My, tutaj na ziemi, potrafimy zauważyć jedynie bardzo ograniczoną liczbę obrazów i stworzeń, które nas otaczają. Jednak tej najbardziej tajemniczej części rzeczywistości nie potrafimy dostrzec. Ani krótkowidzącymi oczyma naszej twarzy, ani dociekliwymi oczyma serca.

Najważniejsze światy wymykają się nam zupełnie: zarówno świat mikroskopijnej przyrody, jak i ten makroskopowy wszechświata. Zarówno tajemnice mórz, nieba, ziemi, jak i rzeczywistości ludzkie najbardziej radykalne i złożone: uczucia, pasje, miłość, sens rzeczy, świat łaski.

Tam, gdzie udaje się nam zaledwie zobaczyć kałużę, w rzeczywistości w tej błotnistej masie roi się od mikroorganizmów. Tam, gdzie z trudem zauważamy z daleka bladą jasność galaktyki, w rzeczywistości istnieje mieniąca się tęczowo, nieskończona ilość gwiazd.

Nie potrafimy nawet własnymi oczyma zobaczyć siebie samych, jedynie za pośrednictwem obrazu odbitego w kruchym lustrze.

Nie uda się nam nigdy w pełni zrozumieć naszego "dzisiaj" ani nigdy nie uda nam się odgadnąć pełnej tajemnicy naszego "jutra".

To, co niepoznawalne przewyższa i panuje nad nielicznymi rzeczywistościami, będącymi w zasięgu naszych oczu.

To, co niewidzialne - swą wszechmocą steruje naszym życiem.

Wieczne dzieci, możemy jedynie oddać się z ufnością Miłości.

W Nim jedynie, w Duchu Miłości, nasza barka posiada pewnego Sternika, Biały Żagiel i pomyślny Wiatr, aby móc żeglować na pełnym morzu, ku pełnej dojrzałości Chrystusowej.

Duch Boży mieszka w was! (.1 Kor 3,16).

Japoński samochód

Pani Hortensja, bogata wdowa o szczodrym sercu, uczestnicząc w wielu gorących nabożeństwach, gorliwa, ale zawsze wahająca się przewodnicząca Caritasu w parafii, zdecydowała się wreszcie, mając 56 lat, kupić japoński mały samochód: mały klejnocik, szybki i zwinny.

Po wielu godzinach namysłu i niekończących się konsultacjach dotyczących wyboru koloru, najbardziej odpowiadającego jej osobistej duchowości - odrzuciwszy kolor niebieski - wybrała wreszcie kolor szary. Niestety później często gorzko żałowała tego przy różnych okazjach.

Przewodnicząca używała auta do przewożenia paczek żywnościowych dla biednych rodzin, szczególnie tych, które zamieszkiwały w najodleglejszych rejonach parafii, a przede wszystkim do tego, by brać udział w konferencjach Caritasu i by odwiedzać od czasu do czasu dwie córki, mieszkające w pobliskim mieście.

Za kierownicą auta, pani Hortensja była uosobieniem stereotypu kobiety - nowicjuszki. Poznać to było można po tendencji do jeżdżenia środkiem drogi, po jej nieuleczalnej pokusie, by zerkać we wsteczne lusterko, a przede wszystkim po żywiołowym trąbieniu.

Nie potrzeba dodawać, że przewodnicząca Caritasu całkowicie unikała, tak jakby to była okazja do grzechu śmiertelnego, użycia biegu wstecznego przy ustawianiu auta

przy chodniku.

Na plus jednak trzeba zaliczyć jej nadzwyczajną troskę, z jaką pielęgnowała swój mały pojazd. Był zawsze umyty, błyszczący niby lustro, wyłożony wewnątrz materiałem różowo-fioletowym i przyozdobiony niczym dziewiętnastowieczny salonik.

W ubiegły czwartek, pani Hortensja po raz pierwszy zdecydowała się na długą podróż po autostradzie, aby dojechać do Florencji. W połowie drogi spotkała ją okropna burza ze strasliwym deszczem. Po kilku kilometrach, zaleknieiona i ostrożna, postanowiła zatrzymać się w miejscu osłoniętym, w oczekiwaniu na poprawę pogody.

Rzeczywiście, po pół godzinie mogła znów podjąć ostrożną jazdę. Jednak po przejechaniu kilku kilometrów po śliskim asfalcie zauważyła, że hamulce auta nie działają właściwie i nie zachowują się prawidłowo.

I oto ona, niedoświadczony kierowca, zatrzymała się przy pierwszej stacji benzynowej i poprosiła obsługującego o radę. Ten zasugerował jej obiektywnie wymianę oleju. I Hortensja, która na aucie zupełnie się nie znała, kazała zmienić olej. Naturalnie nie polepszyło to sytuacji.

Gdy tylko powróciła do swego miasta, zaprowadziła auto do zaufanego mechanika, który po uważnym przeglądzie zawyrokował: Trzeba wymienić klocki hamulcowe! Prawdopodobnie są zużyte. I Hortensja kazała je wymienić. Rezultat? Nie było żadnej poprawy.

Zastępca przewodniczącego Stowarzyszenia św. Wincentego zasugerował: Dlaczego nie spróbuje pani wymienić zacisków hamulców? I Hortensja kazała je wymienić. Sytuacja uległa pogorszeniu.

Ależ to kwestia wyregulowania systemu hamulcowego - doradził młody człowiek, który pracował przy nadwoziach. On również zabrał się do dzieła. Ale japońskie autko nadal kaprysiło!

Wreszcie ktoś zauważył, że nowy pojazd był jeszcze objęty gwarancją i poradził Hortensji, by zwróciła się do posiadającego koncesję. Powinien wykryć i naprawić usterkę. Hortensja pojechała więc do posiadającego koncesję...

Nie wiem, jak skończyła się ta historia.

Wiem tylko, że jeżeli ktoś prosi o radę zbyt wiele osób, wtedy nawet proste sprawy zaczynają się komplikować i nie udaje się prędko rozwiązać zagadnienia.

Jest to doświadczenie (diabelska iluzja, śmieszne widowisko czy łzawy dramat), które staje się udziałem tych błogosławionych świętoszek, przypisujących sobie luksus posiadania kilku kierowników duchowych na każdą porę roku i na każdą fazę księżyca.

Kapryśne szukanie coraz to nowych kierowników i prześladowanie mistycznymi konsultacjami wszystkich napotkanych kapłanów podobne jest do złego zwyczaju, jaki mają małe pieski, które zatrzymują się przy każdym krzaczku i pozostawiają tam mało sympatyczną pamiątkę.

Jest to gwarantowany, ambitnie uparty sposób, by czynić zawsze własną wolę, zapominając, że prawdziwe drogi Ducha Świętego nigdy nie są wybrukowane niestałością i kaprysami.

Prowadź mnie Panie drogą odwieczną! (Ps 139,24).

Kto jest największy?

Na giełdzie w Dżakarcie, w środku nocy, wokół "corbeilles" maklerów, pogrążonych w zasłużonym odpoczynku, powstała zażarta dyskusja pomiędzy 120 powiązаныmi ze sobą komputerami, będącymi do dyspozycji maklerów. Dyskusja dotyczyła pytania, który z nich jest najważniejszy, o największej mocy. Jednym słowem - kto jest... prymusem klasy

Oczywiście chodziło o stare zagadnienie, nigdy nie rozwiązane definitywnie tu, na ziemi - a które dotknęło również dwunastu Apostołów... Duch podstępny i złośliwy tego, który dzieli bruździ w rodzinach, podsycza zazdrość wśród kolegów i gnieździ się nawet w stowarzyszeniach, grupach i wspólnotach religijnych!

Sprzątaczką pracującą w nocy, biedne stworzenie, analfabetka, emigrantka z Filipin, nieszczęśliwa matka czworga malutkich dzieci, niechcący, odkurzając tablicę rozdzielczą, nacisnęła główny wyłącznik prądu i spowodowała ogólny black-out!

Ogromny salon pogrążył się w całkowitej ciemności i natychmiast zamilkły

nieprzerwane bit-bit różnych komputerów, które po tylu niemądrych i osobistych sprzeczkach popadły w nieoczekiwany i głęboki letarg, podobne do tych małych pand, zagrzebanych w zimie pośród trzciny bambusowych.

Który więc z komputerów jest największy? O największej mocy? Najważniejszy?

Fantastyczny prototyp najświeższego modelu amerykańskiego?

Czy może skromna sprzątaczką, która nieświadomie wyłączyła prąd wszystkim komputerom?

W pysze jest wiele zepsucia i niegodziwości (Tb A,U).

Obóz skautów

W małej kotlinie alpejskiej Devero, pośród lasów modrzewiowych i świerkowych, o dwa kroki od Crampio, rozbiła namioty drużyna skautów, w żółto-niebieskich chustach wokół szyi i w kapeluszach a la "ranger".

Podobni są do małych, aktywnych mrówek, zajęci różnymi pracami, pod palącym słońcem letnim, owiani świeżym powietrzem górskim.

Codziennie na podwieczorek konsumują góry bułek z nutellą, serem, banany i inne owoce.

- Chcesz może napić się Coca-Coli? - pyta jeden z zastępowych małego 8-letniego zucha.

- Nie - odpowiada chłopczyk - wolę świeżą wodę ze strumyka, który przepływa przez naszą łąkę - i schyla się, by zaczerpnąć wody, płynącej szybko wśród zieleni.

- Widzisz - dodaje zuch - wolę tę świeżutką wodę, gdyż jest podobna do żywego stworzenia: jest tak żywa jak ja. Woda ze strumyka biegnie, skacze, uśmiecha się, słucha, mówi, śpiewa, patrzy na mnie lustrem swych oczu, obmywa mi ręce, odświeża twarz. Jest przyjazna! Jest wodą ciągle nową, zawsze świeżą...

Twoja Coca Cola... wiem, jest słodka i musująca, ale jest płynem martwym.

Popatrz: wydaje się być zamknięta w małej trumnie z ciemnego szkła.

Jest zakopana przez całe tygodnie w mroźnym cmentarzu lodówki.

Woda mojego strumienia śpiewa Alleluja! Twoja Coca-Cola pachnie Requiem!

Oto poglądy małego zucha.

Również dzieci mają swe upodobania i swój świat wewnętrznych przeżyć i uczuć.
Często głębszych, mądrzejszych i bardziej wnikliwych od naszych!
Każdy kto pije wodę znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam,
nie będzie pragnął na wieki! (J 4,13).

Najsłodsza siostra zakonna

Po ośmiu latach nieprzerwanej i wiernej pracy w dziale słodyczy w Megasamie w Bergamo, Sylwia, pod wpływem nagłej śmierci ukochanej przyjaciółki, która zginęła w wypadku samochodowym, przeżywała poważny kryzys egzystencjalny.

Powróciwszy szczerze do praktyk religijnych, powoli zaczęła myśleć o całkowitym poświęceniu się na zawsze Bogu.

Wzruszająca pielgrzymka do Lourdes z chorymi dziećmi, w "białym pociągu Oftal", umocniła jej powołanie. Na pożegnanie, przed grotą Massabielską, Sylwia przyrzekła uroczyście Maryi, że zrezygnuje na zawsze z uroków świata i że zostanie zakonnica.

Na początku września wstąpiła do klasztoru i okazała się dobrą, szlachetną i posłuszną nowicjuską, rozmiłowaną w Jezusie.

Jednak wkrótce okazało się, że posiada dziecinną, śmieszna, upokarzającą wadę, wynikającą prawdopodobnie z zawodowej deformacji, wywołanej poprzednią pracą w Megasamie.

Była łakoma.

Nieuleczalnie łakoma.

Gdy znalazła się przed kremówkami, roladkami czy babeczkami, traciła kontrolę nad sobą. Zapach gorącej czekolady, wafli waniliowych czy nugatu... wprowadzał ją w pretensjonalną ekstazę.

Wystarczy pomyśleć, że w czasie ранego rozmyślenia, akurat w pierwszą niedzielę postu, zamiast rozważać na temat podsunięty przez mistrzynię nowicjuszek: siedem stopni milczenia wewnętrznego, przez pół godziny marzyła o koszu pełnym beżów, truskawek marcepanowych i galaretek!

Młoda nowicjuszka wcale nie rezygnowała z walki ze sobą, z szczerego żalu, z wyznawania swych "grzeszków" łakomstwa. Ale gdy znów zdarzała się okazja,

traciła głowę i niechcący, nie myśląc wiele od czasu do czasu... upadała.

Jesteśmy ludźmi! - powtarzała uśmiechając się, by dodać jej otuchy, mistrzyni nowicjuszek.

Wreszcie nadszedł wielki dzień ślubów zakonnych -również dla Sylwii i 2 innych nowicjuszek. Wielkie święto w Zgromadzeniu. Dzień wyczekiwany z wielką niecierpliwością, o którym marżono przez długie miesiące przygotowań.

Nie tylko dlatego, że dzięki ślubom zakonnym, dar własnego życia dla Jezusa stawał się definitywny i oficjalny, ale również dlatego, że zgodnie z Konstytucjami zgromadzenia, wówczas nadawano "ufficio" (zadanie apostołskie do wypełnienia) i nowe imię młodym zakonnicom.

Rzeczywiście, na koniec uroczystej ceremonii, której przewodniczył biskup, przełożona generalna wezwała pojedynczo do siebie nowicjuszki. Sylwia jako ostatnia uklękła drżąc, z pochyloną głową przed Matką.

Głosem uroczystym przełożona, święta, inteligentna i mądra kobieta, powierzyła jej opiekę nad dziećmi w Przedszkolu im. Pawła VI w Monticello Alto.

Potem wśród wielkiej ciszy, pełnej oczekiwania, powiedziała jej uroczyście: - Odtąd twoim imieniem będzie. .. siostra Maria Nutella!

Niewiele brakowało, by w kaplicy wybuchł śmiech.

Jednak uroczysty charakter świętego momentu, powstrzymał siostry, a nieliczni krewni jedynie ukradkiem uśmiechali się. (Jeden z uśmiechów należał również do biskupa!)

Siostra Maria Nutella w lot pojęła lekcję.

A była to lekcja owocna, gdyż rzeczywiście to imię w połowie "handlowe", przyniosło wiele owoców dobra.

Przede wszystkim spodobało się dzieciom z Przedszkola Pawła VI, jak również młodym mamusiom.

Było również uznane (wiadomo dlaczego!) przez kierowników i właścicieli Supersamów w okolicy, którzy stwierdzili wzrost o 22% sprzedaży Nutelli.

Stworzyło wreszcie złote pomosty pomiędzy siostrą ekonomką generalną i słynną fabryką, która przyznała szczególne zniżki całemu Zgromadzeniu.

Jednak przede wszystkim to imię siostry Nutelli (jak nazywano ją najczęściej) stanowiło dla niej ostrzeżenie i stało się wyzwaniem dla nowej zakonnicy. Posłużyło jej jako znamię, stałe postanowienie umartwienia, które zostało wyryte w sercu. Umocniło ją silnie w autentycznej pokorze. Codziennie, przy każdej okazji i wobec każdej osoby zachęcało ją do nadzwyczajnej dobroci i słodyczy. Siostra Nutella żyła długo. Po pierwszych tygodniach zakłopotania i dziecięcego czerwienia się była potem przez całe życie bardzo zadowolona ze swego imienia. Miała wrażenie - zresztą całkowicie uzasadnione - że to imię otaczało ją aureolą dziecięcej prostoty i obdarowywało ją uśmiechem wiecznej młodości. Z biegiem lat, siostra Nutella (właśnie ona, która w młodości była taka łakoma) stała się wręcz uczulona na czekoladę. I wyznawała z prostotą: Z miłości do Jezusa! Gdy jako staruszka zamknęła spokojnie oczy dla ziemi, aby otworzyć je dla Nieba, napisano o niej w nekrologu: Pamiętać będziemy o niej zawsze w naszej wspólnocie. Nikt nie potrafił świadczyć tak skutecznie jak Siostra Nutella o niezmierzonej dobroci i nieskończonej słodyczy Pana. Na wieki trwa Twoja łaska! (Ps 138,8).

Czekoladka

Mike, miły chłopaczek pięcioletni, od trzech kwadransów wędrował pomiędzy różnymi działami Supersamu, trzymany przez mamusię za rękę, widocznie znudzony, Ożywił się nagle, gdy znaleźli się w dziale słodyczy, wśród gór cukierków, czekoladek, tortów i lodów. Korzystając z chwili nieuwagi mamusi, nagle złapał złocistą czekoladkę i zacisnął ją w rękę.

Jednak to małe złodziejstwo nie uszło uwagi dobrze ukrytej telekamery. Przy wyjściu jeden z pracowników zatrzymał uprzejmie panią z synkiem i zaprowadził do dyrekcji na kontrolę.

Wina malca okazała się natychmiast ewidentna. Rączka dziecka była umazana czekoladą, nie do końca oblizaną.

W tej sytuacji matka ratowała się surową naganą udzieloną dziecku i zapłaceniem kary w wysokości 50 000 lirów, co należy zauważyć - za jedną czekoladkę -nie było

małą sumą.

Jednak mamusia po wyjściu z Supersamu odetchnęła głęboko i wyszeptała: - Udało nam się tanio wybrnąć z tego! - I chcąc pocieszyć płaczącego malca, weszła do pobliskiej cukierni i kupiła mu 4 ciastka.

Mały Mike, zdziwiony, nie potrafił pojąć tak szybkiej zmiany postawy i tak nieoczekiwanej matczynej wyrozumiałości.

Może lepiej by to zrozumiał, gdyby mógł zobaczyć, co znajdowało się w wewnętrznej, doskonale ukrytej kieszeni, grubego płaszcza matczynego: dwie drogie podomki z jedwabiu chińskiego, "zwędzone" w dziale bielizny damskiej w Supermarkecie, w tym od... czekoladki! Co na to powiedzieć? Skłonność rodzinna. Pieść dziecko, a wprawi cię w osłupienie! (Syr 30,9).

Wrony i kolibry

Uczniowie, pod koniec wspaniałej lekcji na temat różnobarwnego, nieznanego i zadziwiającego świata kolibrów, postawili następujące pytanie nauczycielowi, zapalonemu miłośnikowi przyrody:

- Dlaczego te maleńkie, miniaturowe ptaszki, ważące jedynie kilka gramów, istniejące w setkach rodzajów, obdarzone zachwycającą gracją i wspaniałymi kolorami tęczowymi, lecąc uderzają skrzydłami 70 razy na sekundę tak, jakby były owadami. Tymczasem wrony trzema uderzeniami skrzydeł na sekundę potrafią wzbić się w niebo i latać wyżej?

- To prawda - odpowiedział nauczyciel. Jednak wrony latają jedynie wówczas, gdy chcą się pożywić, ale potem zmuszone są zlecieć na ziemię i żyć wśród skib nawożonej ziemi, pachnącej polami, a nawet wśród błota.

Tymczasem kolibry żyją wysoko i by zaspokoić głód, mogą trwać nieruchomo przed kielichami kwiatów lśniących kolorami, wysysając nektar, będąc zawieszony w świecie nadzwyczajnej piękności.

To, co się liczy - to nie tylko fruwanie.

W ciemnościach nocy latają również nietoperze, a potem wracają do swych dziur.

To, co ma rzeczywiście znaczenie - to "umiejętność przebywania w górze".

Wszelki dar doskonały pochodzi z góry! (Jk 1,17).

Śmierć komina fabrycznego

Obdrapany komin starego pieca do wypalania cegieł od lat stał osamotniony, grożąc zawaleniem, na peryferiach wielkiego miasta. Wraz ze wzrostem użycia cementu, stare hale, piece i składnice, które znajdowały się wokół niego, zostały zburzone i w kolejnych latach zrównane z ziemią.

Sam jeden, rozpadający się i koślawy, ze swymi czerwonymi cegłami tu i tam potłuczonymi, stary komin od wielu lat już nie dymił, ale nadal trwał i opierał się piorunom i szalejącym wiatrom, które w czasie wiosennych burz powodowały jego lekkie kołysanie.

Końcowa część starego komina, nazwijmy ją kapeluszem, pochyliła się nawet lekko i liczni przechodnie wróżyli: Ten biedak nie wytrwa długo. Przy pierwszej burzy...
puk!

A tymczasem ta plebejska siostrzyczka wieży w Pizie, czyli poturbowany komin trwał nadal, wbrew wszystkim oszczercom.

Aż pewnego dnia burmistrz - spekulant wydał komunalny dekret, na mocy którego stary komin miał zostać zburzony, aby zrobić miejsce dla toru wyścigowego.

Gdy tylko dowiedział się o tym - zresztą przypadkiem - stary komin, zaczął gorzko płakać wewnątrz swego ceglanego serca. Chcąc uniknąć wstydu przymusowego zniszczenia przez miejskie maszyny, które kruszą na oczach wszystko, postanowił samodzielnie zawalić się nocą, pod świecącymi oczyma gwiazd.

- W którą stronę mam się przewrocie? - spytał siebie stary komin. I tu powstał poważny problem sumienia.

Z jednej strony znajdowało się prowadzone przez siostry zakonne przedszkole, szczebioczące głosami dzieci, które ofiarowały mu wiele szczęśliwych godzin swymi radosnymi krzykami. Z tej strony zawalenie się nie było więc możliwe.

Z drugiej strony stał domek, w którym mieszkała stara wdowa po właścicielu cegielni. Nie godziło się więc uszkodzić właśnie jego!

Od strony północnej stała rudera dziewięćdziesięcioletniego stróża, jedynej osoby,

która pamiętała chlubną historię cegielni (wprawdzie dzisiaj już cierpiał na sklerozę). Nie byłoby ładnie, wręcz anty-związkowo, pogrzebać ją przez gruzy. Trzeba ją chronić.

Pozostawało jedyne wyjście: zawalić się na stronę południową, na wielką, zieloną łąkę. Właśnie w tych dniach wiosna pokryła ją całą paletą złoto-żółtych kwiatów. Jednak czy serce może pozwolić na taką masakrę?

Ból był tak intensywny, że wielkie poczerwieniałe łzy zaczęły wypływać z głębi ponad stuletniego serca i wylewały się z wysokiego komina.

Jego anioł stróż (nie wiedzieliście, że kominy także posiadają swych aniołów stróżów?) postanowił je zebrać i zaraz zanieść dobremu Bogu.

On spojrzął z czułością, wzruszył się, potem się uśmiechnął... i posłał małą muchę z jednej z obór w okolicy Padanii do Wojskowego Instytutu Geograficznego w Rzymie.

Z wielką naturalnością mucha, wierna poleceniu, zrzuciła na mapę wojskową nr 207 małą, czarną plamkę, którą następnego dnia pilny kartograf, prawdopodobnie krótkowidz, pomylił ze znakiem typowym dla map ministerstwa obrony, wskazującym: Punkt odniesienia dla lotnictwa - możliwe obserwatorium wojskowe. Zakaz rozbiórki. Sprawa została natychmiast zasygnalizowana szefowi Sztabu Generalnego, który przekazał wiadomość właściwej prefekturze, burmistrzowi zainteresowanego miasta, urzędowi środowiska i architektury, straży pożarnej, urzędowi katastralnemu - i nie wiem jakim innym jeszcze urzędem...

I tak... stary komin stoi jeszcze.

Stary, koślawy, pochylony i zmęczony, ale szczęśliwy, z sercem zdolnym jeszcze do kochania.

Bóg miłuje sprawiedliwość i nie opuszcza swych świętych (.Ps 37,28).

Najdłuższy dzień

Dla młodszego rybaka Johnnego najdłuższym dniem był czwartek 3 września 1998 r. Wyszedł wcześniej z domu mówiąc do swoich: - wrócę bardzo późno. Ale w sercu swym dodał: - jeśli w ogóle wrócę! Tak wielka była jego rozpacz, obrzydzenie życiem, fizyczny niepokój i wewnętrzna udreka, które od dawna gnębiły jego serce.

Wędrując szybko wzdłuż nadbrzeżnej uliczki, wijącej się w cieniu lasu, wszedł na przylądek i dotarł do pola żarnowców. Stamtąd, schodząc prawie prostopadle rozpadającą się ścieżką, dotarł do małej zatoki i ruszył wzdłuż opustoszałego, skalistego brzegu, gdzie fale spokojnego morza pluskały wśród kamieni.

Wyciągnął się na ogromnym granitowym kamieniu i zaczął otwierać po raz nie wiem który zatrutą ranę pamięci, która dręczyła mu sumienie wspomnieniami bolesnych etapów przegranego życia. Nie pozostawało mu nic innego, jak rzucić się w morze.

Gdy wstawał, by zrzucić z siebie kurtkę, zobaczył niedaleko na falach łódź, która szybko się zbliżała. Przy wiosłach pracowała energiczna dziewczyna, ubrana na biało, spokojna, uśmiechnięta, o ciemnych włosach rozwianych przez wiatr.

- Czy mogę podjechać do pana? - zawołała piękna wioślarka.

- Naturalnie - odpowiedział zdumiony rybak Johnny. I zbliżywszy się do błękitnej łodzi, która przybijała do brzegu, zauważył, że na lewej burcie znajdował się dziwny napis: Świadomość.

Wyciągnął rękę do dziewczyny, która bosą, lekko wyskoczyła na brzeg, potem zbliżyła się i usiadła na wielkim, gładkim kamieniu naprzeciwko chłopaka.

- Ty masz na imię Johnny? - spytała kierując palec ku niemu. - Tak - odpowiedział zdumiony młody chłopak. W tym momencie twarz dziewczyny pojaśniała i stała się srebrzystym lustrem, w którym Johnny mógł wyczytać nie tylko własne imię, ale spojrzeć na całe swoje życie.

Zobaczył siebie bardzo jasno: swój brak umiaru, fałsz i oszustwa, pasje i wyrzuty sumienia, śmieszne przejawy pychy, zawziętość charakteru, brak wyrozumiałości, nędze własnego egoizmu, lenistwo, niegodne wykorzystywanie innych, brak prawdziwej miłości, zachłanność, zmysłowość, samotność, rozpaczliwą i ogromną pustkę wewnętrzną.

Po raz pierwszy Johnny odkrył prawdę o sobie. Bez udawania, oszukiwania siebie, bez kłamstwa. Odkrył samoświadomość, własne ja wewnętrzne. Pogrzyżyło go to w upokarzającym przygnębieniu i w goryczy z powodu całej zrujnowanej młodości.

Zapłakał po raz pierwszy, nie wstydząc się łez, cicho, ale w sposób przejmujący. Były to łzy wyzwolenia, upokorzenia, prawie że radości. Gdy osuszył zaczerwienione

policzki i otworzył oczy, piękna dziewczyna była już na brzegu i przygotowywała się do odpłynięcia.

Dopiero wówczas Johnny zauważył, że na prawej burcie łodzi nieznaney dziewczyny znajdował się napis: Nowe życie.

Piękna dziewczyna na chwilę zatrzymała wiosło i pozdrowiła go z daleka machając ręką. Radosna, czysta, z tajemniczym uśmiechem. Szybko zniknęła za przylądkiem. Skąd przyплыnęła? Dokąd płynęła?

Johnny nigdy się tego nie dowiedział. Pojął jednak z niezwykłą jasnością, ku jakiej mecie on sam skieruje swą łódź i jaki nowy kierunek nada swemu życiu.

Autentyczne nowe życie może zrodzić się jedynie ze świadomości, która jest córką mądrości, daru Ducha Świętego, który pozwala nam dogłębnie poznać swoje wnętrze.

Chlubą bowiem jest dla nas świadectwo naszego sumienia! (2 Kor 1,12).

Szczęśliwa zakochana

Młody narzeczony, który od kilku dni pełnił służbę wojskową w Rzymie, w batalionie szkolenia rekrutów, w koszarach w Cecchignola, napisał do ukochanej bardzo długi, bo aż siedmiostronicowy list!

Siedem stron! Aby powiedzieć... co?

Ze nie ma nic nowego do dodania.

Powtarzał jedynie stare, bardzo stare zdanie, które wyznawał jej przy każdym spotkaniu. Zdanie wyszeptywane tysiące razy.

Nigdy nie widziałem dziewczyny tak bardzo szczęśliwej!

Ukochalem cię odwieczną miłością! (Jer 31,3).

Honorowy lis

Zima wcześniej zjawiała się w lasach kanadyjskich wokół Kingston, niedaleko od jeziora Ontario. Zima ostra, długa, surowa, jakiej nie było od całych dziesięcioleci.

Wspaniały srebrny lis o wydłużonym pyszczku, o długich uszach i miękkim, długim, półmetrowym ogonie koloru srebrzystego, znalazł schronienie w norze opuszczonej przez borsuka.

Wychodził jedynie w nocy na poszukiwanie pożywienia: dzikich kaczek, bażantów, myszy, ślimaków, dżdżownic, ptaków, żab, ryb ze strumienia... Jednak gdy śniegi stawały się coraz obfitsze, biedny lis po zużyciu wszystkich zapasów tłuszczu, które miał na sobie, zaczął cierpieć okropny głód.

Śniła mu się w nocy piękna pora letnia, gdy przy pełni księżyca udawało mu się dotrzeć do gospodarstw, napadać na kurniki i urządzać rzeź kur lub plądrować owoce na polach i wyjadać soczyste winogrona.

Teraz zrozpaczony wędrował powłócząc zbyt krótkimi nogami, które zapadały się w wysokim śniegu. Nie udawało mu się znaleźć nawet miękkiej kory brzozonej do pojadania. Głód doskwierał mu okropnie.

W połowie stycznia zrozumiał, że nie uda mu się dotrzeć do wiosny: umrze z głodu. Taki był los najsłabszych i bezbronnych zwierząt w lesie.

Nagle poczuł w powietrzu ostry zapach świeżego mięsa, zapach wybawienia, zachwycającą rajską woń! Cichutko zbliżył się do miejsca, z którego wydobywał się zapach. Była to kryjówka starego, bezlitosnego wilka, który pilnował swego łupu, z oczyma pełnymi ognia i z miną dzikiego despoty.

Pod wpływem głodu i rozpacz, srebrzysty lis, hamując swą dumę, upokorzył się przed wilkiem i poprosił o trochę mięsa za każdą cenę, aby nie być skazany na śmierć.

- Dobrze - odpowiedział wilk z wrogim, szyderczym uśmieszkiem - ubijmy obaj dobry interes. Ja ci dam pożywienie a ty dasz mi swój srebrzysty ogon!

- Mój ogon? - zawołał przerażony lis - Jak mam to zrobić?

- Po prostu - odpowiedział wilk ze złym błyskiem w perfidnych oczach. - Utniesz go sobie! - I dodał: - lepiej stracić srebrny ogon, niż stracić życie i całe futro!

Srebrny lis nie zastanawiał się nawet przez chwilę nad tą propozycją.

Można zrezygnować z życia, ale nie można przestać być sobą! Samobójstwem jest pozbawienie się daru piękności! To tak, jakby odrzeć siebie z blasku Stwórcy. Ważne jest nie tyle przeżycie, ile świadomość "dlaczego" się żyje!

Czym byłby srebrny lis bez klejnotu - swego miękkiego, srebrnego futra? Byłby jedynie parszywym kojotem górskim albo pustynną hieną!

Odwrócił się więc i odszedł ścieżką niepewnym krokiem, wyczerpany, chwiejący się, ale dumny i zniknął w lesie pośród krzaków, uginających się pod śniegiem.

Poznałem i zobaczyłem wiosną tego wspaniałego, srebrnego lisa, wypchanego i królującego pośrodku baru w miasteczku. Wycieńczonego i umierającego z głodu znalazł syn barmana, gdy pod koniec marca wybrał się na polowanie.

- Nigdy nie widzieliśmy - twierdzili wszyscy myśliwi z podziwem - srebrnego lisa tak pięknego. Wprost cudownego!

A chciwy i okrutny wilk?

Wydaje się, mówią w miasteczku, że pogrzebany jest w bagnie pod zwałami błota.

Ale nikt nie chce o nim mówić.

Podłość nie posiada historii: wywołuje jedynie pogardę.

Stworzył je bowiem Twórca piękności (Mdr 13,3).

Próba

U dzikiego plemienia Pigmejów, w Star Mountains w Nowej Gwinei, na skraju wioski, tam, gdzie zaczyna się gęsty busz równikowy, znajduje się mały, zupełnie odizolowany szałas, zbudowany z trzcin bambusowych, połączonych wysuszoną glinką.

Nie posiada on okien, a jedynie niski otwór, który umożliwia wejście; w odpowiednim momencie zostaje ono zupełnie zamknięte. Wydaje się być grobem.

Jest to szałas wtajemniczenia.

Każdy chłopak w wieku 14 lat zostaje w nim zamknięty w ciemności i musi przebywać tam w całkowitej samotności i milczeniu przez 7 dni, odżywiając się jedynie 7 bulwami gotowanego manioku i gasząc pragnienie 12 dojrzałymi owocami papai.

Chłopak nie może mieć najmniejszego kontaktu ze światem zewnętrznym.

Do jego dyspozycji jest jedynie sznur skręcony z lian, którym może poruszyć dzwonek, znajdujący się na zewnątrz. W beznadziejnym wypadku załamania się czy niebezpieczeństwa może nim prosić o pomoc.

Nazywają go kalama - dzwonkiem pokusy.

Jeśli chłopak zniesie odizolowanie przez 7 dni i 7 nocy bez przerwy, nie

uruchamiając dzwoneczka, po tym okresie zostanie uroczystie powitany przez całą wieś i przyjęty do wspólnoty dorosłych.

Zdał egzamin. Nauczył się pozostawać sam ze sobą, milczeć, przewycięzać strach, zastanawiać się. Stał się człowiekiem dorosłym. Iluż z nas - ludzi cywilizowanych - którzy czujemy się dorośli, nauczyło się przebywać w samotności, milczeć, przewycięzać strach, zastanawiać się?

Dobrze dla męża, gdy dźwiga jarzmo w swej młodości! (.Lm 3,27).

Tajemniczy głos

Był spokojnym wieśniakiem, w średnim wieku. Mieszkał sam ze starą matką w oddalonym od innych skromnym gospodarstwie.

Uprawiał żyto, kukurydzę, soję i buraki cukrowe. Zajmował się małym sadem i ogrodem. Miał 2 krowy i 4 cielaczki w oborze.

Chodził do bliskiego klasztoru Franciszkanów, poznał osobowość św. Franciszka i podziwiał go. W pewnym sensie odnajdywał się w Nim, w Jego wierze prostej i pełnej, w Jego umiejętności rozmawiania z przyrodą, ze zwierzętami, z przedmiotami.

Jako dobry członek Trzeciego Zakonu franciszkańskiego był człowiekiem pokoju i dzielił swój dzień pomiędzy pracę i modlitwę. Co więcej, z biegiem lat cały jego czas stał się nieprzerwanym dialogiem z Bogiem.

Początkowo była to modlitwa improwizowana, słowna, bezpośrednia. Potem powoli stała się modlitwą coraz bardziej kontemplacyjną i nastawioną na słuchanie.

Pewnego dnia, o dziwo, zauważył, że rozumie i potrafi interpretować również głosy zwierząt: pisk jaskółek w gnieździe, krzyk cierpienia długiej glisty, przeciętej niechęcący łopata, ranną modlitwę dwóch czarnych kosów, które świergotały o świcie na podwórzu, lament cielaczka odłączonego od matki, plotkarskie gdakanie kurek amerykańskich...

Później zaczął również rozmawiać ze starą morwą, która w młodości hojnie dawała swe liście na pożywienie całym generacjom jedwabników. Potem zaczął słyszeć głos Nieba także w fantazji kolorów zachodzącego jesiennego słońca...

Wreszcie zauważył, że wszędzie i zawsze głos Ducha Pańskiego brzmi w głębi jego serca.

Dojrzał więc do nieba.

Powiedziała mu o tym pewna szara turkaweczka, która usiadła na parapecie okna.

Poszedł więc tego dnia wypowiadać się po raz ostatni w klasztorze Franciszkanów, ucałował serdecznie starą matkę i powierzył ją opiece bratanka, przyszłego spadkobiercy gospodarstwa. Długo kontemplował zielone pola, potem czując, że słabnie, usunął się do ciepłej obory i słysząc lekkie stąpanie siostry śmierci - zasnął.

Na zawsze.

Wiatr wieje tam, gdzie chce i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz skąd przychodzi i dokąd zdąża. Tak jest z każdym, który urodził się z Ducha (J 3,8).

Kto za mnie płaci?

Młody książę Melandii nie mogąc zasnąć, postanowił wyprawić się na młodzieńczą nocną eskapadę.

Omijając ukradkiem strażę, udało mu się wyjść cichaczem z pałacu królewskiego, aby incognito, wędrując pod gwiazdami i gwizdząc przy blasku księżyca zakosztować odrobiny autentycznej wolności.

Doszedłszy w pobliże balustrady mostu nad rzeką Tiriną, która przepływała przez starą stolicę, książę Pier Alberto spotkał siedzącego na ziemi, obszarpanego i zupełnie pijanego starego włóczęgę, który spoglądał na niego otepiałym wzrokiem.

Książę pozdrowił go w sposób sympatyczny: - Dobry wieczór przyjacielu!

- Cześć! - odpowiedział mu mruczając pod nosem włóczęga i zaraz dodał:

- Masz coś, żeby mi dać?

Zaskoczony tak nagle młody książę, zdziwiony i po trochu zmartwiony, prawie że tłumacząc się powiedział: -Nie, przykro mi... nie mam nic. Widzisz? Jestem księciem Pier Albertem. Książę posiada zamek i kieruje królestwem, niestety nigdy jednak nie nosi ze sobą pieniędzy w kieszeni. To ktoś inny zawsze płaci za mnie!

- Cóż - odpowiedział uśmiechając się ironicznie włóczęga - jesteśmy więc podobni do siebie, my dwaj! Zupełnie podobni! Ja również nie posiadam ani grosza w

sakiewce... a jednak żyję jak książę. Stanowimy rzeczywiście oryginalną parę! Napij się przyjacielu choć parę kropel. Ja też mam zawsze kogoś, kto ofiaruje mi kilka groszy i płaci za mnie!

Miłosierna dobroć osób zamożnych stanowi bogactwo biednych.

Także biednych grzeszników.

Mogą oni powtórzyć, kontemplując Chrystusa na krzyżu: Również i ja posiadam zawsze Kogoś, Kto płaci za mnie!

On oddał za nas życie swoje! (1J 3,16).

Duchowość rynkowa

Co roku, na cześć narodzin Jezusa zapala się miliony lampek w miastach, wsiach, na choinkach, w oknach wystawowych i wzdłuż ulic, w domach całego świata. Lampki w gronach, kaskadach. Świećka rozmaitych kształtów, wielkości i kolorów.

A potem opowiada się dzieciom, że Pan Jezus urodził się w ubóstwie, w ciemnej stajence, rozświetlonej jedynie blaskiem gwiazd.

Ten nadmiar świateł gwiazdkowych nie jest z pewnością przejawem wiary. Jest widowiskiem, teatrem, wyrafinowaną, sprytną reżyserią i najczęściej mistyfikacją!

Nie wolno nigdy pomylić z autentyczną duchowością, działań marketingowych, nastawionych na konsumpcję, nawet gdy przyobleka się je w ponętne zasłony niejasnej duchowości.

Brakuje im duszy.

Pamiętaj o chwili głodu, gdy jesteś w obfityści! (.Syr 18,25).

Noc na cmentarzu

Późnym popołudniem, 2 listopada, dr Giulio Grass opuścił biuro dykcji wielkiej fabryki włókienniczej G&G, aby jak wszyscy wierni chrześcijanie, odwiedzić cmentarz. Był to zwyczaj obowiązujący w jego rodzinie od lat.

Swoim pięknym BMW przejechał przez miasto i wyjechawszy na peryferie, skręcił w lewo, przejechał znaną, smutną aleją cyprysową i dotarł do bramy cmentarza.

Idąc pieszo po żwirze, który pod zamszowymi butami skrzypiał nieprzyjemnie,

przeszedł główną aleję cmentarną aż do jej końca i po prawej stronie stanął przed kaplicą rodziny Grassich. Kaplica była duża, masywna i komfortowa, niczym kasa pancerna w banku szwajcarskim.

Po otwarciu ciężkich drzwi z kutego żelaza, ozdobionych na zewnątrz dwoma wielkimi literami "G" ze świecącego mosiądzu i oddzielonych od wewnątrz ciężką kryształową płytą, pan Grassi wszedł do kaplicy rodzinnej.

W ogromnym wazonie z białego marmuru, który stał na specjalnym podwyższeniu, znajdował się wspaniały bukiet kwiatów: około 50 jaskrawych anthurium wśród zieleni błyszczących liści.

Pan Grassi wzruszył się trochę patrząc na fotografię ojca, widoczną na grobie, posłał pocałunek posągowi matki, przeżegnał się pospiesznie i chciał wyjść z kaplicy.

Jednak zamykając drzwi przy wejściu do niej, nie zauważył, że zamek zatrzasnął się automatycznie. Ponownie próbował otworzyć drzwi kluczem, ale na próżno.

Wówczas zdecydował się na sforsowanie zamka, przekręcając klucz z całej siły.

Nagle klucz się złamał i w palcach pozostało mu tylko kółko, a cała reszta utkwiała w dziurce od klucza. Co za pech! Co robić?

Po pierwszym przestraszu widząc, że wiele osób przechodzi przed kaplicą i że wielu zatrzymuje się podziwiając wspaniałe kwiaty, pan Grassi mimo, że czuł się trochę śmieszny zaczął gestykulować i pukać w szklane drzwi, aby zwrócić uwagę przechodniów. Nikt go jednak nie zauważył.

W końcu biedak, po długich, bezowocnych próbach, zmuszony rozbił czterema potężnymi kopniakami ciężką, kryształową część drzwi i zaczął wołać, krzyczeć, ale nikt - nawet ci, którzy zatrzymywali się o krok od grobowca, nie zauważyli go.

Tymczasem szofer, gdy skończyły się jego godziny pracy, sądząc, że dyrektor, znany z lekceważącego stylu postępowania wobec podwładnych, wyszedł z cmentarza z kimś znajomym, nie powiadamiając go, powrócił spokojnie do domu.

Początkowy niepokój dyrektora Grassiego zaczął zmieniać się w prawdziwy strach.

Czas płynął szybko, a niebo pociemniało.

Nagle dał się słyszeć dzwonek cmentarny, przypominający odwiedzającym groby, że nadchodzi godzina zamknięcia.

Powoli zapanowała głęboka, grobowa cisza. Cisza cmentarna. Cisza, która zawsze przynosi myśli uroczyste i niepokojące pytania.

Zrozpaczony, wylękniony, wstrząśnięty dyrektor usiadł na stopniu przy wazonie wspaniałych kwiatów.

Nagle, niczym tysiące małych, drżących świetlików w ciepły wieczór letni, zapaliły się lampki elektryczne na grobach zmarłych i przed kaplicami. Trochę światła spłynęło również do kaplicy rodziny Grassi i głos dobrze znany (echo głosu matki) powiedział powoli, smutnym tonem: Nie bój się Giulio, umarli nie czynią nigdy nikomu nic złego. Co więcej, spędzenie jednej nocy tu, obok mnie, może okazać się pomocne dla ciebie.

- Mamo! - zawołał dyrektor - mam, to ty jesteś naprawdę?... Mamo powiedz mi dlaczego nikt mnie nie usłyszał? Dlaczego wszyscy odeszli? Przed kaplicą przechodziła cała procesja ludzi... Ja wołałem... Krzychałem... Nikt mnie nie usłyszał! Dlaczego?

- Widzisz synu - dał się słyszeć ten sam głos - w twoim świecie, nim przekroczy się ostatnią bramę życia, tyle osób (zbyt wiele) myśli tylko o sobie. Nikt, albo tylko nieliczni, słuchają głosu i krzyku biednych!

Otóż - dalej ciągnął głos - po przekroczeniu bramy życia, wśród nas, w świecie umarłych, do którego ty wszedłeś tylko na jedną noc, żaden głos bogatych egoistów nie jest słyszany. Głos egoistów, do których i ty należysz!

Twój głos nie dociera do niczyich uszu. Tu nie ma miejsca dla "panów" twego pokroju. Dla nas jest tylko jeden prawdziwy Pan! Prawdziwym rajem jest możliwość słuchania Go! Zarówno na ziemi jak i w niebie! Dobranoc synu!

Tej nocy i później przez wiele następnych, dyrektor nie miał spokojnych snów, dotąd, aż nie zaczął otwierać oczu i zauważać wielu nieszczęśliwych biedaków i wsłuchiwać się w ich głos...

Wówczas dzięki miłosierdziu Pana, odnalazł również Jego oblicze.

Czy jest ktoś, kto by żył a nie zaznał śmierci? (.Ps 89,49).

Otworzyć oczy!

W kampusie było bardzo zimno i pełno śniegu.

Pod portykiem bocznego wejścia na Uniwersytet Katolicki St. Jamesa w Hudson w Labradorze stary, zziębnięty włóczęga, w śpiworze leżał na kracie sutereny, skąd dopływało trochę ciepła, z oszroniałymi wąsami. Marzył o gorących plażach Kalifornii i w myśli delectował się słodyczą, płynącą z koszyka dojrzałych pomarańczy.

Niestety - to były jedynie marzenia!

W odległości paru kroków, w auli Uniwersytetu, znany teolog, który całe życie spędził na badaniu tekstów świętych, głosi mądry wykład na temat: Wpływu Ducha Świętego na tradycję agapy w Etiopii Koptyjskiej.

Studenci i publiczność w futrach, zagłębieni w wygodnych fotelach, w dobrze ogrzanej sali, oklaskują gorąco mówcę ze szczerym i entuzjastycznym podziwem.

W odległości kilku metrów bezdomny człowiek nadal marzy na próżno o pomarańczach kalifornijskich, których nigdy nie zdoła skosztować.

A w dalekiej Etiopii, przedmiocie mądrych refleksji uczonego prelegenta, właśnie w tym samym momencie w nędznych wioskach umierają setki dzieci i wygłodniałych starców, umęczonych głodem i zdziesiątkowanych chorobami wywołanymi powodziami.

Rozprawianie o miłości chrześcijańskiej i przedstawianie wielkich traktatów na jej temat jest bardzo łatwe. Jednak służba bliźniemu i konkretna, codzienna miłość wobec braci - to całkiem inna sprawa.

Nieustanny wyrzut sumienia nas chrześcijan, zawiera się w tym tragicznym dylemacie: w nieumiejętności tworzenia syntezy pomiędzy słowami a czynami!

Nie każdy, który Mi mówi: "Panie, Panie!" lecz kto pełni wolę Ojca mojego wejdzie do królestwa niebieskiego (Mi 7,21).

Wesoła wdowa?

Została wdową w wieku 28 lat. Była kobietą drobną, ładną, uprzejmą o jasnoblond włosach.

Po nieoczekiwanej śmierci męża w wypadku przy pracy, znalazła się w tragicznej

sytuacji: sama, biedna, obciążona ratami za kupno skromnego mieszkania, a przede wszystkim z trójką małych dzieci potrzebujących wyżywienia, ubrania, wychowania. Był to przypadek ogromnej biedy Cotygodniowa paczka, którą panie z towarzystwa Św. Wincentego przynosiły dla rodziny, nie wystarczała, by zaspokoić apetyt dzieci i by zapobiec nędzy.

Młoda wdowa harowała cały dzień, uprawiała ogród, trochę zarabiała szyciem. Często wieczorem dzieci rozpaczliwie płakały z głodu, zakłócając spokój sąsiadów. Grupę sędziwych sąsiadek, które zbierały się, by pograć w karty, najbardziej oburzał fakt, że młoda wdowa nawet w okresie postu śpiewała z całego serca. Śpiewała piosenki wesole, dziecięce, beztroskie.

Nawet w Wielki Piątek, w dniu ciszy wielkiej liturgii, gdy nie odzywają się żadne dzwony na znak smutku i żałoby, młoda wdowa śpiewała przez cały wieczór.

Pobożne sąsiadki, zebrane w mieszkaniu jednej z nich na tradycyjną Drogę Krzyżową, były wysoce tym oburzone i wypowiadały dokładnie to, co o niej myślały. Oskarżały ją o brak wrażliwości, lekkomyślność, bezbożność i potępiały ją jako bezwstydną, wesołą wdowę, matkę lekkomyślną, z głową pełną kaprysów, bez elementarnego poczucia religijnego.

Nie wiedziały, że podczas gdy one przebywały w ciepłe i były syte, biedna matka ze łzami w oczach wyśpiewywała swym dzieciom, chcąc je zabawić i zagłuszyć ich głód, gdyż ciągle dopraszały się chleba.

A w domu nie było ani okruszyny.

Religijność czysta i bez skazy wobec Boga i Ojca wyraża się w opiece nad sierotami i wdowami w ich utrapieniach! (fk 1,27).

Znaki zapytania

Pewien ojciec strapiony, rozgoryczony i rozczarowany poważnymi problemami rodzinnymi, udał się w góry do stóp Matki Bożej, do Sanktuarium Montevergine, by się wyspowiadać i poprosić o radę starego zakonnika, który cieszył się sławą człowieka świątobliwego i mądrego.

Zakonnik był człowiekiem małomównym. Przyzwyczajony do słuchania raczej Boga

niż ludzi, do spoglądania w niebo, a nie na ziemię i do traktowania każdego problemu ludzkiego sercem Bożym.

Penitent miał na sumieniu jeden tylko grzech, ale straszny: grzech rozpacz. Nie wiedział co robić, aby odzyskać i zmienić syna - gwałtownego osiemnastolatka, leniwego, bezwstydneho, wążającego się wesołka. Zatwardziałego skinheada! Na próżno próbował wobec niego wszelkich metod wychowawczych: surowości, wyrozumiałości, pieszczot, dialogu, kar, okazywania zaufania, prezentów...

Stary zakonnik wysłuchał go cierpliwie, otarł jego łzy, dodał mu otuchy i udzielił rozgrzeszenia w imię Ojca naszego, który dobrze zna bunty synów.

Potem dał mu jedną, małą, prostą, zaskakującą pokutę: - Przez miesiąc, każdego dnia - powiedział do niego - wyrzeknij się wobec syna jednego wykrzyknika i spróbuj go zastąpić znakiem zapytania. Zgoda?

Ojciec wrócił do domu pocieszony, pełen ufności i zaraz zabrał się do realizowania tego zobowiązania.

Już w pierwszym tygodniu stwierdził, że rezygnując z własnych wykrzykników, zaczynał być bardziej cierpliwy, mniej agresywny, bardziej ojcowski, mniej impulsywny. Stawał się otwarty, skłonny do słuchania, bardziej uważał i unikał niepotrzebnych wybuchów surowości.

Nauczył się również unikać próżnych i podtrzymywanych z uporem konfliktów, unikać dyktowania praw przez wykrzykiwanie i wreszcie nauczył się stawiania raczej sensownych pytań, proponowania alternatywnych rozwiązań.

Syn zaś ze swej strony, wobec pierwszych ojcowskich pytań, wypowiedzianych w klimacie odbudowanego zaufania, zaczął niepokoić się, odczuwać pewne wahania, pewne wątpliwości i powoli wkradła się do jego serca potrzeba refleksji, zgłębienia własnych problemów.

Wiele z jego niekontrolowanych dotąd postaw zaczęło się zarysowywać. Chłopak odkrywał powoli własne głębokie "ja" razem z pierwszymi radościami wywołanymi odnalezieniem siebie samego. Droga była bardzo długa i trudna, ale została pokonana z uporem i rosnącym zaufaniem. Mądrość młodych kształtuje się wolno, ale owocuje potem konkretnymi przyrzeczeniami złożonymi w tych "zielonych" latach.

Stary zakonnik miał rację.

Warczące psy rasy niemieckiej, mające stojące uszy i ogon w znaku zapytania - potrafią ujarzmić, zniewolić i podeptać jedynie w klimacie obozu koncentracyjnego.

Lepiej naśladować wesołe, proste, sympatyczne i pełne fantazji małpki, które nieustannie ruszają ogonem "w znaku zapytania".

Pomagają uśmiechać się, doceniać rzeczy proste, zadawać sobie wiele codziennych pytań by potem odczuwać wewnętrzny niepokój. Pomagają odkrywać tę tajemniczą stronę życia, straszną i chwalebna, która niedostępna jest dla zarozumiałych uczonych i osób aroganckich, a objawia się niewinnym prostaczkom.

Jak wychowuje człowiek swojego syna, tak Bóg twój Jahwe, wychowuje ciebie! (Pwt 8,5).

Wspólna wędrówka

Przemierzając samotnie ścieżkę, która wiała się wzdłuż nadmorskich tarasów od Riomaggiore w Cinque Terre aż po Manarola i Vernazza, spotkałem starego żebraka obieżyświata, wydawać by się mogło, że zmęczonego i zniedołężniałego.

Rozmawiając razem przeszliśmy spory kawałek drogi.

Oczekiwałem, że lada moment poprosi mnie o coś. Może o trochę drobnych pieniędzy, może o papierosa... a może o obiad. Byłem zdecydowanie dobrze nastawiony do niego, wzbudzał zaufanie. Wiedziałem, że zdolny byłbym dać mu dużo.

Tymczasem nie prosił mnie o nic.

Co więcej - powoli wędrując i rozmawiając z nim, zacząłem się czuć mały, nieprzygotowany, niedoświadczony, biedny. To on - włóczęga ofiarował mi wiele drobnych darów.

Znał doskonale nazwy rzadkich kwiatów flory śródziemnomorskiej, umiał sklasyfikować owady, rozumiał język jaskółek. Tłumaczył mi lot gołębi i wyczyny mew. Odczytywał tajemnice słońca i deszczu w ciernistej koronie dzikich ostów, znał tajemnice strumyków, ukrywających najczystsze wody w prądach pełnych wirów, rozpoznawał rozmaite rodzaje kryształów różnych kamieni...

Był pozornie biednym człowiekiem.

Był łagodny, spokojny, mądry.

Znał ziemię.

Nie sądźcie z zewnętrznych pozorów, ale wydajcie wyrok sprawiedliwy! (J 7,24).

Wyjątkowa piuska

Pewien misjonarz, Europejczyk w średnim wieku, po 20 latach intensywnej pracy ewangelizacyjnej na ziemi afrykańskiej został mianowany biskupem nowej diecezji.

Została ona niedawno utworzona przez Papieża w jednym z najbardziej opuszczonych zakątków Afryki Saharyjskiej.

Nowy biskup uroczyście konsekrowany w bazylice Św. Piotra w święto Trzech Króli, w czasie ingresu do swej diecezji znalazł jako współpracowników jedynie 8 białych księży, 4 czarnych, około 24 sióstr misjonek i 40 katechistów autochtonów.

Mimo tego z podziwu godną odwagą i bezgranicznym poświęceniem zaczął objeżdżać niestrudzenie całe terytorium, prowadząc osobiście Land Rover po piaszczystych szlakach czerwonej ziemi, stając się wszystkim dla wszystkich, aby zanieść również do najbardziej zagubionych wiosek świadectwo miłości i Słowo Pana.

Gdyby nie on, tak gorliwy, młody, odważny i przedsiębiorczy biskup, nowy Kościół lokalny nigdy by się tak nie rozwinął. Wszyscy mu to powtarzali.

Rzeczywiście na tamtych ziemiach było jedynie 12% katolików, 9% stanowili protestanci, 24% muzułmanie. Większość mieszkańców wiosek afrykańskich składała się z wyznawców animizmu, fetysyzmu, nadal będąc związana z zabobonami i czarami swych szamanów.

Pracując niestrudzenie i z uporem, młody biskup postanowił zaraz poświęcić kamień węgielny pod nową katedrę, ufając w pomoc niemieckiego stowarzyszenia "Misereor". Miał nadzieję, że uda się ją szybko zbudować.

Równocześnie ukończył budowę 2 nowych szkół, przychodni lekarskiej, kapliczek w trzech wioskach, a w projekcie miał budowę małego seminarium.

Jego elektryzująca obecność, jego przekonywujący ładunek sympatii dla ludzi,

znajomość dialektów lokalnych, jego zdolności organizacyjne były naprawdę skuteczne i konieczne.

Jednak właśnie wtedy, gdy młody biskup nabierał przekonania, że staje się niezastąpiony dla tej biednej ziemi afrykańskiej, dopadła go bardzo groźna forma malarii złośliwej i równocześnie zaczęły się pojawiać pierwsze symptomy tak zwanego robaka gwinejskiego. Musiał gwałtownie powrócić do Europy.

Znalazł się w jednej z klinik belgijskich, specjalizującej się w chorobach tropikalnych. Po kalwarii cierpień i długich kuracjach specjalistycznych udało mu się powrócić do zdrowia.

Długi pobyt w szpitalu, w czasie którego był odizolowany przez 6 miesięcy, spowodował prawie całkowitą utratę kontaktów z życiem duszpasterskim swej dalekiej, biednej diecezji.

W czasie niekończących się dni cierpienia i izolacji, w czasie modlitwy i rozważań młody biskup zrozumiał, jak śmieszne i absurdalne oraz niepoważne było uważanie siebie za osobę niezastąpioną dla wspólnoty chrześcijańskiej.

Poprosił pokornie Boga o przebaczenie, ofiarował Mu swe cierpienia i utwierdził się w przekonaniu, że nikt z nas nie jest niezastąpiony w pracy dla rozwoju Królestwa Bożego, które również bez nas wzrasta i rozwija się nieustannie we dnie i w nocy, w ciszy: czy czuwasz, czy śpisz!

Potwierdzenie tego uzyskał 8 miesięcy później, gdy po całkowitym wyzdrowieniu mógł odlecieć do Afryki samolotem i powrócić do swej ukochanej diecezji.

Przywitały go tłumy rozradowanych wiernych.

To było wielkie święto. Z tańcami, kwiatami, śpiewami, z tam-tamami, przy stołach obficie zastawionych potrawami z manioku, sosami pikantnymi i pieczonym baranem.

Najbardziej zdziwiony był jednak biskup, gdy stwierdził, że liczba chrześcijan w czasie jego nieobecności wzrosła o 18%.

Nie do wiary! Co się stało?

Wszystko to zdarzyło się z powodu ogromnej niestrawności, jaka dotknęła w samym środku nocy, starego, czczonego, znanego i poważanego na całym terytorium

czarownika. Zjadł on bowiem za jednym zamachem pieczonego prosiaka, wędzonego kozła, rozmaite jarzyny - surową paprykę, czosnek...

Biedak, doprowadzony do stanu krytycznego w wyniku niedrożności jelit, został uratowany dzięki dzielnej siostrzyczce zakonnej, wezwanej pospiesznie z Misji Katolickiej.

Cudowna siostra Battistina, w rzeczywistości zupełnie nieznająca się na ratowaniu takich chorych i niemająca praktyki diagnostycznej, zaufała w pomoc Najświętszej Pani i zmusiła czarownika do wypicia pół litra oleju rycynowego. Myślała wówczas: wóz albo przewóz!

Na szczęście udało się.

Stary czarownik, ze ślicznym obrazkiem Matki Boskiej z Lourdes w ręku, wyzdrowiał.

Nawrócenie starego czarownika było szybkie i zupełne. Dał się nawet przekonać i natychmiast oddalił 8 ze swych 12 żon. Zobowiązał się też, że wkrótce ureguluje swoje sprawy małżeńskie.

Ten głośny i nieoczekiwany gest przekonał wiele tysięcy animistów i fetyszystów, którzy zapragnęli rozpocząć trzyletni kurs dla katechumenów, aby przygotować się do chrztu.

Gdy biskup dowiedział się o szczegółach tego masowego nawrócenia, najpierw wybuchnął śmiechem.

Potem, wdzięczny niebu, podziękował Panu za nieskończoną dobroć. Poczuli się na zawsze wyleczony z zarozumiałości i przestał uważać się za "niezastąpionego".

Odśpiewał uroczyste Te Deum w podzięcie dobremu Bogu, który udzielając darmo swe nieskończone dary multifariam multisque modis - nigdy nas nie opuszcza!

Pan daje i we śnie tym, których miłuje (.Ps 127,2).

Ty niczego nie rozumiesz!

Pewien nieznośny mąż przy każdej okazji powtarzał uparcie żonie: - ty naprawdę niczego nie rozumiesz!

Rzeczywiście Pina Rotundo ukończyła tylko szkołę podstawową, nie interesowała się

polityką, nie czytała gazet. Zajmowała się jedynie dziećmi, mieszkaniem, praniem, kuchnią, kurnikiem i pracą w fabryce obuwia.

Gdy zaczynała się w rodzinie jakaś dyskusja, mąż, odrzucając z zasady wszelki dialog, ucinał mówiąc: - ty naprawdę niczego nie rozumiesz!

Nie interesował się zupełnie dziećmi. Jemu - potężnemu, muskularnemu mężczyźnie, który pracował jako rzeźnik na targu centralnym - wystarczało oglądanie w TV piłki nożnej, filmów i półnagich tancerek.

Pina starała się włączyć go do dyskusji na temat jakiegoś zakupu, wyboru miejsca na wakacje lub rezultatów szkolnych dzieci czy rachunków domowych. Jego natychmiastowa, definitywna odpowiedź brzmiała: - ty doprawdy niczego nie rozumiesz!

Pewnego wieczoru w domu, gdy TV transmitowała ważny mecz piłki nożnej, nagle zabrakło prądu. Często się to zdarzało w tej miejscowości, szczególnie w czasie letnich burz.

Mąż pomstując jak zwykle, zszedł po ciemku do piwnicy, by skontrolować i wymienić bezpiecznik.

- Zapal sobie świecę! - poradziła mu żona. Jak zwykle mąż tylko stwierdził: - Niczego nie rozumiesz! Znam to miejsce na pamięć!

Jednak tego wieczoru widocznie coś nie funkcjonowało właściwie, biedny mężczyzna został silnie porażony prądem o wysokim napięciu i wydawszy nieludzki krzyk upadł na podłogę, mając w niektórych miejscach ręce i plecy osmalone.

Żona wezwała pogotowie i towarzyszyła mężowi w drodze do szpitala. Wypadek był bardzo poważny, ale lekarzom po wielu dniach wysiłków udało się uratować życie biedakowi.

Gdy nieszczęśliwiec obudził się po 4 dniach na oddziale poparzeń, zobaczył Pinę przy łóżku, pochyloną nad nim, zatroskaną, z oczyma pełnymi łez.

Biedna kobieta nie opuściła go ani na moment, czuwając dniem i nocą przy nim, modląc się i popłakując.

Po 2 tygodniach pobytu w szpitalu, gdy wreszcie mężczyzna mógł wyszeptać kilka słów, powiedział do Piny: -Jestem naprawdę durniem. Nigdy nie zdawałem sobie

sprawy, że ty mnie tak kochasz!

A Pina ze swym zwykłym uśmiechem, łagodna i promienna, wyszeptała cicho: - Ty naprawdę niczego nie rozumiesz!

Tego, co Ja czynię, ty teraz nie rozumiesz, ale później będziesz to wiedział! (J 13,7).

Targowisko krzyży

Mówią mi, że jest to tradycja zakorzeniona od dawna.

Dotyczy każdego Wielkiego Piątku.

Na tej wysepce greckiej, zalanej słońcem i upajającym światłem, przenikniętej błękitem morza Egejskiego, każdego roku odbywa się targ krzyży.

Wystawiają ich tysiące: małe, duże, surowe, malowane, łacińskie, greckie, papieskie, intarsjowane, nagie, z pasyjką lub bez niej. Najczęściej powstają w ciągu zimy w domach biednych wieśniaczych rodzin tej ziemi, z drzewa oliwnego lub ciemnego orzecha, czasami z drzewa różanego, delikatnie pachnącego.

Są rozmaitych typów i rodzajów, na każdą kieszeń i dla każdego gustu.

Zgiełk i krzyki sprzedawców, targowanie się kupujących i turystów, brzęk monet i chęć zrobienia dobrego interesu - kontrastują w sposób skandaliczny z duchem Wielkiego Piątku.

Wyraziłem moje pierwsze odczucia źle ukrywanego niesmaku przyjacielowi, kapłanowi prawosławnemu.

Podzielał bezwarunkowo moje odczucia, ale zaraz z braterskim, dobrotliwym upomnieniem dodał: - U nas tutaj, by utrzymać się przy życiu, biedacy handlują drewnianymi krzyżami. Ale u was, zbyt często handluje się również żywą skórą prawdziwych krucyfiksów: chorymi, cierpiącymi!

- "Touche!"

Handlowanie chorym jest częstym ryzykiem. Może doprowadzić do uprzemysłowienia bólu. Gdy różne Czerwone, Zielone, Białe, Niebieskie Krzyże... depczą sobie po piętach, gdy różne organizacje dobroczynne walczą o niepełnosprawnych, gdy czyni się różnice pomiędzy "chorymi naszymi", a "chorymi waszymi", gdy przesadza się w ckliwości i uściskach okazjonalnych, trwających

jedynie podczas spotkania czy kilku dni wspólnego pobytu...

Jezus traktował chorych podobnie jak osoby zdrowe: z szacunkiem, wzruszeniem, współczuciem.

Zatrzymywał się przy nich, wysłuchiwał ich, uzdrawiał, pocieszał.

Nigdy ich nie porzucał.

Cierpiący są źródłem i celem miłosierdzia. Są naznaczeni bólem, a równocześnie naznaczeni miłością.

Nie można, chcąc zdobyć czy pozyskać sobie chorego, pozwalać mu na wszystko.

Ani nie wolno zrezygnować z prośby o "cokolwiek" wobec kogoś, kto ma zdolność dawać siebie całkowicie.

Naturalnie, targ krzyży, w każdy Wielki Piątek na tej wysepce Morza Egejskiego nadal będzie się odbywał.

Przynajmniej tak długo, jak długo istnieć będą powierzchowni chrześcijanie, którzy noszą krzyżyk jedynie na szyi, a nie szczerze wyciśnięty na sercu!

I obchodził Jezus całą Galileę, lecząc wszystkie choroby (Mt 4,23).

Studnia plotek

W pobliżu Santa Cruz de la Plata znajduje się ciemna i głęboka studnia, od zawsze nazywana przez miejscową ludność studnią plotek.

Jeśli oprzesz się o jej obudowę i w ciszy posłuchasz -mówią - usłyszysz, że z głębi wydobywa się brzęczenie os, poczujesz straszliwy fetor smoły i siarki, zaduch ślepej zazdrości, wściekłej, niewymownej złośliwości i zagłady.

Ktoś twierdzi, że studnia plotek łączy się bezpośrednio z czyścćcem i że kto wędruje zatwardziałe tą drogą, trafia prosto do piekła.

Niech zniknie spośród was wszelka gorycz, uniesienie, gniew, wrzaskliwość, znieważanie, wraz z wszelką złością! (Ef 4,31).

Proboszcz i szynka

Wielebny proboszcz z San Cassiano uzyskał doktorat z teologii fundamentalnej, po przedstawieniu wspaniałej pracy doktorskiej: Uniwersalne intuicje posłania

Pawłowego w chrystologii Karla Rahnera. Głosił on kazania swym parafianom, szybując od epifonemu po anadiplozę, językiem zdecydowanie hermetycznym, napuszonym, nadętym, zagadkowym, nie dla wszystkich zrozumiałym. Pewien pobożny, bogaty parafianin przesłał mu w darze na gwiazdkę wspaniałą, surową szynkę o wadze 16 kg!

Proboszcz, bardzo uradowany, wezwał zaraz kościelnego, młodego mężczyznę od wszelkich prac, obrotnego, z liczną rodziną na karku i powierzył mu szynkę z prośbą o zanieśenie jej do domu i wycięcie z niej kości "eón acribia".

Następnego dnia, przypadkowo otwierając lodówkę w kuchni swego skromnego probostwa, ksiądz osłupiały znalazł wielką kość od szynki, doskonale oczyszczoną z mięsa i owiniętą w folię aluminiową.

Wściekły zawołał natychmiast kościelnego i gdy tylko ten stanął przed nim, zaczął wołać: - Nieszczęśniku! Co zrobiłeś z moją szynką?

- Wyciąłem z niej kość, tak jak ksiądz proboszcz mi polecił w zakrystii.

- A sama szynka?

- Jemy ją wszyscy w rodzinie. Jest wspaniała!

Nie zamierzam opisywać całego wybuchu gniewu, zupełnie nie teologicznego, wobec osłupiałego biedaka. Ten, pozwolewszy wyczerpać się błyskawicom i grzmotom nieoczekiwanej burzy, w postawie skruszony i zdecydowanie pokornej przedstawił nieśmiało tę małą, podstawową okoliczność łagodzącą:

- Przepraszam bardzo, księżo proboszczu. To było nieporozumienie. Zawsze mówiłem księdzu, że jest zbyt uczone dla nas, biednych mieszkańców wsi. Również w czasie kazań ksiądz mówi zbyt trudnym językiem.

Nam, którzy nie studiowaliśmy, trzeba wytłumaczyć wszystko w sposób łatwy.

Trzeba wyrażać się w jasnej formie. W przeciwnym razie... ktoś się zdoła połapać?

Gdyby ksiądz proboszcz mi powiedział: przynieś mi szynkę bez kości... zrobiłbym tak. Zadowolilibym się kością, by ugotować rosół dla rodziny.

Tymczasem... ksiądz powiedział, bym wyciął kość z szynki "eón acribia"! Nie wiem, co oznacza "eón acribia", więc usunąłem mięso nożem... a potem pomyślałem, że księdza interesuje tylko kość! Przecież ksiądz zawsze chce dojść do "osso", (kości)

zagadnienia!

- No trudno! Tym razem na tym się skończyło. Następnym razem będzie lepiej!
Jednak jak wynika z uważnej lektury Liber Chronicus parafii, następnego razu już nigdy nie było!

Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie! (Mt 10,16).

Łzy cukrowe

Była to piętnastoletnia Cyganeczka, która wędrowała ze swymi rodzicami i braćmi, należącymi do świata Romów Szczupła, ciemna, miała czarne oczy, nosiła zazwyczaj szeroką, plisowaną spódnicę w kratkę, żółtą chustkę na czarnych włosach oraz błyszczące kolczyki ze srebrnych kółek.

Mara posiadała nadzwyczajną zdolność: była przebiegła i posiadała dar łez.

Umiała płakać na zawołanie. Mogła to robić w każdej chwili. Łzy z jej oczu wypływały wtedy, gdy ona tego chciała.

I nie chodziło o wulgarne oszustwo. Jej łzy były prawdziwe. Prawdziwe, jak łzy wszystkich kobiet.

Z jedną małą różnicą.

Łzy Mary... nie były słone! Brak im było soli cierpienia i troski, gdyż nie wypływały wprost z serca.

Były to łzy... cukrowe! Zawierały karmelkową słodycz dziecinady, lekkomyślności, hipokryzji, mistyfikacji.

Dla swej rodziny Mara stanowiła prawdziwe bogactwo! Ludzie, którzy ją spotkali razem z rodzeństwem, siedzącą na rogu ulicy albo przed drzwiami kościoła, na widok jej zapuchniętych od płaczu oczu... wzruszali się i dawali jałmużnę.

Jednak pewnego dnia w Andaluzji, gdy Mara przekroczyła próg pierwszej młodości, spotkała przypadkowo w alei pachnącej kwiatem lipowym ładnego, beztroskiego chłopaka (tak zwierzyła się tego wieczoru matce), który szedł naprzeciwko promienny, wymachując rękoma i uśmiechając się.

Był to chłopak niewidomy Niewidomy o wspaniałych, przepięknych oczach.

Cyganeczka natychmiast zakochała się w nim bez pamięci i po raz pierwszy, wobec

dramatu tych zgasłych oczu, zapłakała z miłości do niego.

Płakała z wielkiego bólu.

Wyplakała łzy prawdziwe. Słone.

Od tego momentu Mara utraciła dar łez słodkich, ale odkryła po raz pierwszy oczarowanie miłością i nauczyła się słodkiej czułości cierpienia. Zaczęła poświęcać się, trudzić i pracować dla swego ukochanego.

Pobrali się pod koniec października w Les Saintes-Maries-de-la-Mer. W malowniczej scenerii Camargue, w czasie dorocznego święta Cyganów z całej Europy.

Przez całe swe życie, Mara ze swymi pięknymi, czarnymi oczyma była codziennym światłem i źródłem miłości również dla swego niewidomego męża, który codziennie wychodził jej naprzeciw machając rękoma i uśmiechając się.

Wielkie wody nie mogą ugasić miłości, ani rzeki nie mogą zniszczyć jej! (Pnp 8,7).

Umiał tylko uśmiechać się

W czasie zebrania, odbywającego się co 3 miesiące w sali ogromnego Palazzo delie Ginestre (8 pięter, 3 klatki schodowe, 68 rodzin - istne miasteczko), lokatorzy niezadowoleni z nieudolnego prowadzenia poprzedniego zebrania, zgodnie wypowiedzieli posadę administratorowi i zebrali się do wyboru następcy.

Niestety nie znaleźli nikogo, kto by zgodził się przyjąć tę funkcję.

Wreszcie, zgodnie zaczęli wysuwać kandydaturę Ottavia Riccardiego. Człowieka prostego, nie wyróżniającego się niczym. Nie był ani księgowym, ani mierniczym, ani radcą handlowym.

Nie miał też specjalnych uprawnień. Umiał tylko uśmiechać się.

Uwierzycie?

Ten wybór okazał się jak najbardziej trafny.

Ottavio, który umiał jedynie uśmiechać się, potrafił w dziwny sposób rozwiązywać rozliczne problemy.

Swym uśmiechem łagodził kłótnie pomiędzy sąsiadami, protesty mieszkańców bloku, uciszał wrzaski dzieci, doprowadzał do zgody młodych narzeczonych. Udało mu się nawet wyeliminować psy z trawników przed budynkiem.

Często swym uśmiechem leczył bóle głowy portierki, uciszał histerie starej nauczycielki od gry na fortepianie, uwalniał mieszkańców od domokrażców. Uśmiechem udawało mu się przekonać hydraulika, szklarza, cieślę,

107

elektryka do szybkiej interwencji w wypadku jakiejś nagiej awarii urządzeń. Również wtedy, gdy panowała epidemia grypy albo gdy przeprowadzano jakieś kontrole, a nawet gdy zdarzał się jakiś pogrzeb, on nadal lekko uśmiechał się, pocieszał, dodawał otuchy mieszkańcom bloku.

Administradora Ottavio Rinaldiego, który umiał jedynie uśmiechać się, wybierano jednogłośnie ponownie na kolejne kadencje.

Nawet dzisiaj, w pięć lat po jego śmierci są tacy, którzy kłaniają się z szacunkiem, przechodząc obok jego fotografii umieszczonej w sieni Palazzo delie Ginestre.

Uśmiech ust i chód jego mówią o nim, kim jest! (Syr 19,30).

Dwaj politycy przyszli modlić się

W Szklanym Pałacu ONZ w Nowym Jorku, dwaj mężczyźni weszli do kaplicy, by się pomodlić.

Jeden z nich był Żydem z Izraela, przedstawicielem Światowego Banku

Inwestycyjnego, drugi Arabem, zastępcą przewodniczącego delegacji palestyńskiej.

Razem wsiedli do windy, aby szybko dostać się na 27 piętro. Nic nie mówiąc do siebie, weszli do cichej Kaplicy Refleksji, zawsze otwartej dla każdego wierzącego.

Pierwszy, włożywszy na głowę białą jarmulkę poszedł wprost do ołtarza i z zarozumiałą pewnością powiedział po cichu: - Panie, dziękuję Ci, że nie jestem podobny do innych. Nie jestem taki, jak ten biedak, który pozostał tam w tyle, w cieniu.

Ja zachowuję regularnie prawa ONZ, płacę punktualnie 1000 dolarów rocznie na Fundusz Badań nad Historią Izraela, wiernie dochowuję przepisów, które dotyczą zakazanych potraw. Jestem zawsze gotów zmierzyć się z tym, kto mnie skrzywdzi! Oko za oko, ząb za ząb!

Tymczasem biedny Palestyńczyk, który na głowie miał wyblakły keffiah w kratkę

biało-czarną, bijąc się w piersi, nie mając śmiałości podnieść oczu do nieba, powtarzał cichutko: - Panie, zmiłuj się nade mną! Zlituj się nade mną, biednym grzesznikiem! Bądź jednak pewien, że dla Ciebie jestem gotów oddać wszystko, nawet życie!... Nawet powodując wybuch auto-bomby na rynku żydowskim w samym sercu Jerozolimy!

Obaj wyszli razem, uprzejmi dla siebie, nie mówiąc ani słowa weszli do windy, by zjechać uspokojeni do sali obrad ONZ.

Jednak ktoś z wysoka (a może z niskości) umieścił jakiś zabójczy przedmiot, który przerwał linę nośną windy. Stalowa, przzerwana lina ze świstem ocierała się o ściany. Dwaj nieszczęśni dyplomaci, zbratani w krzyku straszego przerażenia, z 27 piętra runęli na cementowe piwnice Szklanego Pałacu. Roztrzaskali się w sposób tak przerażający, że pierwsi ratownicy, na widok tej krwawej masy, nie potrafili rozdzielić ich ciał. Nędzne resztki podzielono na 2 części.

Jedną umieścili w trumnie z ciemnego mahoniu, a na niej białą jarmułkę, a na drugiej, z jasnego drzewa oliwnego - położyli biało-czarny keffiah.

Shalom! Inshallah!

Dwaj koledzy z ONZ, którzy milcząc, razem weszli do kaplicy, by się pomodlić, teraz przy dźwięku hymnów wojskowych wznieśli się ku niebu dwoma specjalnymi samolotami, wysłanymi przez rządy i zostali dowiezieni do ojczyzny na uroczysty pogrzeb państwowy.

Odbył się z obrzędami religijnymi, naturalnie z wielką paradą, jaka przystoi świętym i bohaterom.

Gdy się modlicie, nie bądźcie jak obłudnicy (.Mt 6,5).

Na promenadzie nadmorskiej

Dziwne wydarzenia.

Starsze Panie z dobrego towarzystwa, lubiące plotkować, towarzyszą mężowi na przechadzce, trzymając go stanowczo na smyczy i traktując go jak psa.

Inne, obwieszane klejnotami niosą kudłatego psa na przechadzkę trzymając go na rękach i pieszcząc tak jakby to był ich małżonek.

Ich bezmyślność będzie jawna dla wszystkich (2 Tm 3,9).

Braterstwo w Londonderry

Prawie wpadając na siebie, w ciemnościach mglistego wieczoru, dwaj starzy włóczędzy z północnej Irlandii, którzy od lat nie spotykali się, przypadkowo znaleźli się na linii demarkacyjnej, która oddziela w Londonderry część katolicką od protestanckiej.

Dwaj biedacy, solidarni zawsze z powodu pechowego losu, uściskali się po bratersku z wielką radością, pomimo atawistycznych barier społeczno-religijnych, które ich dzieliły. Jeden bowiem był zaangażowanym katolikiem i posiadał jednego syna - jak szeptano - należącego do IRA, drugi natomiast, był zdeklarowanym protestantem i dwaj jego młodzi wnukowie byli uznanymi przywódcami i organizatorami corocznego przemarszu oranżystów.

Z wyboru ci dwaj żyli z pomocy społecznej i żebractwa. Jednak tego wieczoru, z wielkim rozczarowaniem stwierdzili, że w Irlandii "nie ma już religii" i że "dochodyienne" są strasznie nikłe.

Datki zebrane pojedynczo nie wystarczyłyby nawet na odpowiednio długie popijanie w pubie Black Horse, do którego obaj, krokiem już dość niepewnym zdążali.

Po niełatwym i problematycznym obliczeniu pod jakąś lampą kilku szylingów i pensów, które zebrali tu i tam w ciągu dnia, dwaj włóczędzy postanowili połączyć "całodzienny utarg" i wspólnie kupić butelkę szkockiej, pięcioletniej whisky, by razem wypić przed snem pod filarem mostu nad Foyle.

Zakupiwszy cenny, upojny i smakowity nektar, spędzili wspólnie nad brzegiem rzeki wspaniały wieczór. Uweselony był on ekumenicznymi pogaduszkami, kilkoma artystycznymi popisami śpiewu, szybko zakończonymi seriami toastów na cześć Papieża, królowej, sześciu hrabstw Eire i wszystkich mistrzów rugby przeszłych i terażniejszych.

Potem, po bratersku, pijani, zasnęli jeden obok drugiego, snem głębokim, owinięci w jeden podarty koc szkocki, jedyną osłoną przed wilgocią nocy.

Sytuacja okazała się nadzwyczaj pomyślna dla dwóch tuzinów pcheł. Wkrótce potem

uznały bowiem za stosowne zmienić pana i powędrować na zewnątrz, przeskakując w środku nocy z jednego włóczęgi na drugiego.

Wszystko dokonało się w sposób naturalny i z wielkim pożytkiem dla pcheł, przy natychmiastowej adaptacji do klimatu, pożywienia i normalnej pracy: ukąszenia i pozostawienia czerwonych śladów.

Co więcej - uwierzcie? - pchły katolickie poczuły się doskonale wśród pcheł protestanckich, a pchły oranżystowskie zawarły małżeństwa z pchłami papieskimi! Rzadki i pamiętny przykład pojednania w Ulsterze! Strona pokoju, zawartego pomiędzy insektami, zapisana została w historii Londonderry, strona godna zapisu w rocznikach ONZ!

Rzeczywiście bowiem od tej nocy, wśród włóczęgów tak katolickich jak i protestanckich, pchły irlandzkie z Londonderry (rozmnożywszy się szybko i z coraz to liczniejszym potomstwem!) żyją radośnie w pokoju: bez walki, sprzeciwów, bez marszów, bomb, pożarów, podziałów dotyczących koloru, rasy, majątku... ani niczego innego!

A przeto upominam was... by nie było wśród was rozłamów (.1 Kor 1,10).

Dobry Pasterz

Tam w górze, pośrodku hali leżącej na płaskowyżu Wandermatt, na wysokości 1400 m, w kotlinie wtłoczonej pomiędzy górami, pozostało kilka chatek, zbudowanych w typowym stylu z pni drzew i ciosanych kamieni.

W pełni lata mieszkają tu 32 osoby, w większości starzy pasterze wyrabiający niezrównany ser o nazwie "fontina". Wszyscy oni to zacni ludzie, jednak rzadko znajdują czas i ochotę, by wejść do małej kapliczki, mieszczącej się pomiędzy domkami i oborami.

Jest to stary kościółek zbudowany z kamieni wybielonych wapnem, zawsze ukwiecony, ale rzadko odwiedzany przez wiernych. Poświęcony jest Jezusowi, Dobremu Pasterzowi.

Proboszcz, każdej niedzieli po południu, dysząc jak miech kowalski, wspina się tam, by odprawić Mszę Św. dla mieszkańców okolicy i turystów, ale wobec prawie

pustych ławek pyta siebie z troską, jak długo będzie jeszcze zabiegał o swych górali. Tego roku, w pełni sezonu sianokosów, wreszcie udało mu się zrealizować swoje dawne marzenie: dzięki uprzejmości zdolnego malarza i przyjaciela z Akademii di Brera, zamilowanego zdobywcy szczytów, we wnętrzu kościółka została namalowana urzekająca i pełna miłosierdzia postać Jezusa Dobrego Pasterza. Otaczał ją pejzaż hali z Wandermatt i małe stado owieczek.

Dzielny proboszcz wyraźnie poprosił, by tych owieczek na fresku wokół Jezusa było 32, tyle, ile mieszkańców hali. Potem, by uczynić lekcję katechizmu malarskiego jeszcze bardziej realistyczną i przekonującą, poprosił artystę, by ten namalował 32 owieczki w specyficzny sposób: nie były one zwrócone ku Chrystusowi, ale oddalały się od Niego, patrząc w dół.

W dniu inauguracji, w czasie tradycyjnego święta Matki Boskiej Śnieżnej, kościółek pełen był górali i turystów. W czasie kazania, gdy malarz usunął zasłonę, która zakrywała fresk, po gorącym aplauzie proboszcz wytłumaczył znaczenie malowidła, mówiąc o dobroci miłosiernego Jezusa Dobrego Pasterza. Naturalnie zwrócił uwagę obecnych, wśród zdumienia i zaaferowania wszystkich, że baranki z Wandermatt - zamiast być zwrócone ku Jezusowi... niestety oddalają się od Niego.

Jednak taka gorycz w tym momencie ścisnęła serce biednego księdza, że nagły szloch chwycił go za gardło i uniemożliwił dalsze mówienie. Wzruszony wycierał sobie łzy płynące z oczu, starając się uspokoić... ale nie był zdolny do kontynuowania kazania...

Obecnych, również głęboko wzruszonych, opanowały silne emocje. I oto, właśnie wówczas, dał się słyszeć głosik jakiegoś dziecka, które wyciągając rączkę w kierunku malowidła, zawołało: - Również Jezus płacze!

Rzeczywiście, w niebieskich oczach Jezusa widać było dwie łzy, które spływały wolno po policzkach, potem na pierś i zatrzymały się na wysokości serca.

Wielka cisza zapanowała wśród obecnych wobec tego cudu. Wszyscy uklękli wzruszeni, w uniesieniu ekstatycznym. W sercach ich mieszała się radość, zdumienie, zachwyt, podzięką, światło łaski, postanowienie skruchy, przyrzeczenie zmiany postępowania. Potem dały się słyszeć długotrwałe oklaski, wśród łez uniesienia i

okrzyków radości.

Przez cały tydzień w szałasach Wandermattu komentowano cud, rozmawiano tylko o miłości Boga, zmianie życia, potrzebie nawrócenia.

Następnej niedzieli, na Mszy Św. popołudniowej panował nieopisany tłok. Wszyscy górale z hal tłoczyli się w kościółku. Oczekiwała ich nowa niespodzianka, zdumiewająca, niezapomniana, nadzwyczajna: fresk zmienił się, mimo, że nikt podczas tygodnia nie miał dostępu do kościółka, zamkniętego na klucz.

32 owieczki z fresku - kto wie, jak się to mogło stać? - odwróciły się (same!), pełne ufności ku Jezusowi. A Dobry Pasterz teraz uśmiechał się radośnie, błogosławiąc.

Nikt nie potrafił wytłumaczyć, jak się to stało. A stary proboszcz każdego roku, setkom turystów, opowiada jeszcze dzisiaj o cudzie, jaki wydarzył się w czasie święta Matki Boskiej Śnieżnej. Zawsze też wzrusza się przy tym i płacze.

Z radości i z wdzięczności do Boga.

na nowo zrodził nas do żywej nadziei (.1 Pt 1,3).

Parafia misyjna

W przeddzień Wigilii, grupka zziębniętych biedaków stała przed wejściem do Caritasu parafialnego, w nadziei na otrzymanie z rąk sióstr paczki gwiazdkowej.

Przełożona sióstr krzątała się, by zaprowadzić porządek i zapewniała obecnych, że wszyscy dostaną paczkę. Prosiła też, by czekać cierpliwie na swoją kolej.

Nagle ktoś z grupy zauważył, że pośród ostatnich przybyłych był jakiś nieznany, jakaś obca osoba. Natychmiast - od jednego do drugiego - przebiegł alarmujący głos o zagrożeniu. - Ten nie należy do nas! Co tu robisz? Nigdy go nie widzieliśmy! On jest z innej parafii!

Wyczuwając od razu źle ukrywaną niechęć i protest, kościelny pobiegł po proboszcza.

- Co się dzieje? - zapytał proboszcz szybko zjawiając się pośród swoich oczekujących biedaków.

- Ten tam - stwierdzili niecierpliwie wskazując na pechowca - ten nie należy do nas. Jest z innej parafii!

- Naprawdę? Zaraz pomyślę - powiedział proboszcz głośno, a zwracając się do przełożonej sióstr nakazał: -Temu tam z końca, proszę nie dawać jednej paczki gwiazdkowej, ale dwie! Dwie!

Potem, jakby tłumacząc się przed zdumionymi dodał ze zwykłym uśmiechem: - Nasza parafia jest parafią misyjną. Musi się rozwijać! Musi zdobywać wielu nowych wiernych!... Życzę wszystkim dobrych świąt, synowie!

Ale nie wszyscy odwzajemnili mu życzenia.

Miłość nie zazdrości! (1 Kor 13,4).

Poranek

O piątej rano, krótko przed zejściem sióstr karmelitanek do chóru na Liturgię Godzin, zaczął się dziwny dialog. Prowadzony był szeptem pomiędzy wysokim, metalowym, prostym i dumnym mikrofonem, umieszczonym w środku prezbiterium, a dwoma delikatnymi i białymi świecami, zapalonymi na ołtarzu.

Usłyszała go jedynie przypadkowo siostra zakrystianka, która w zakrystii przygotowywała szaty liturgiczne dla kapelana do Mszy św.

- Kochane białe świece - powiedział głosem przekonującym mikrofon, jak krótkie jest wasze życie! Ja widziałem na tym ołtarzu, jak wypalały się setki i setki świec! Różnej jakości i różnej wielkości. Wszystkie się wypaliły. Wy żyjecie jedynie przez tydzień, a potem... biedaczki wykańczacie się!

Nie jest dokładnie tak, jak mówisz - odpowiedziały zgodnie 2 blade świece. Jedynie Słowo Boże pozostaje na wieki! A twoje słowo jest jedynie elektrycznym podmuchem metalicznego drgania.

My nie pretendujemy do długiego życia. Cenniejsze jest życie pożyteczne i piękne! Życie dokonane jedynie dla Niego i jako światło dla wielu ludzi.

Ty bracie mikrofonie jesteś wyłącznie techniką!

A my - miłością!

Siostra zakrystianka, która była świadkiem dialogu, z czułością przytakiwała.

Radosnego dawcę miłuje Bóg (2 Kor 9,7).

Złote kosmyki i anielskie pióra

Tak bardzo pragnęli tego wymarzonego syna, że gdy wreszcie urodził się po 8 latach oczekiwania, Emily była najszcześniejszą kobietą w Kalifornii.

Porzuciła nawet pracę fryzjerki, aby cały czas poświęcić małemu Henrykowi, który, bardzo podobny do ojca, był najładniejszym i najukochańszym dzieckiem na świecie. Ale pewnego dnia, gdy Henryk miał zaledwie 4 lata i 3 miesiące, wyrwał się z objęć babci na podwórzu domu i zginął tragicznie pod kołami ciężarówki ojcowskiej. Ojciec, który nie zauważył, że malec biegnie do niego, zaczął cofać ciężarówkę i wtedy zdarzyło się nieszczęście.

Była to tragedia i ogromny ból dla wszystkich.

Emily zamknęła się w swym bólu, niepokieszona. Przez 3 miesiące była nieczuła na wszystko i wszystkich. Codziennie odwiedzała cmentarz, by być blisko swojego dziecka.

Serce jej stało się twarde, oschłe, rozgoryczone, zrozpaczone. Nie potrafiła już modlić się. Od Boga oczekiwała jedynie odpowiedzi na pytanie: Ale dlaczego... dlaczego?.

Sądząc, że praca może ją rozerwie i pocieszy, mąż przekonał ją, choć to wiązało się z wyrzeczeniami na tle ekonomicznym, by otworzyła salon fryzjerski dla pań na rogu 14 ulicy w Los Angeles.

Emily po wielu wahaniach, mając do pomocy dwie panienki, rzuciła się do pracy. Pomimo zajęć, jej myśl często biegła do małego Henryka. W tych momentach modliła się za niego, a jej oczy napelniały się łzami.

Pewnego dnia do salonu weszła jakaś pani, prawdopodobnie turystka, pochodząca bez wątpienia z daleka. Była zgrabna, młoda i piękna. Miała blond włosy i czarujące oczy.

Kazała sobie skrócić włosy i odświeżyć trwałą ondulację. Nie rozmawiała jednak.

W końcu, gdy wychodziła spod suszarki, wyczuwając ból Emily i jej ukrytą rozpacz, powiedziała tylko: -Odwagi, miła pani! W moim kraju... łzy miłości są cenniejsze od grudki złota. Gdyby pani wiedziała, jak szczęśliwy jest pani malec! Zaniosemu pozdrowienia od pani, droga mamusiu!

I nagle zniknęła.

Zaraz potem Emily zauważyła i zebrała z podłogi drżącą ręką kosmyki złotych włosów i kilka bielutkich piór: takich, jakie znajdują się w skrzydłach aniołów.

Od tego dnia Emily już nie płacze.

Jest przekonana, że aniołowie istnieją naprawdę.

Co więcej, że czasami zstępują z nieba i przechadzają się pośród nas.

Aniołom swoim rozkaże o Tobie, żeby cię strzegli! (Łk 4,10).

Uśmiechać się

Normalny człowiek zazwyczaj nigdy nie śmieje się, gdy jest sam. Chyba, że jest głuptaskiem.

To przebywanie z braćmi, przeżywanie wspólnoty, rodziny jako Kościoła domowego uzdalnia nas do uśmiechania się, do celebrowania liturgii radości i do odnajdywania uśmiechu dzieci, wymieszanego ze śmiechem aniołów.

Uśmiech jest jednym z najbardziej przekonujących pozostałości archeologicznych, będących świadectwem początków człowieka.

Jest dowodem, że również i ty jesteś zbudowany na miarę miłości i że zostałeś stworzony na podobieństwo Boga.

Ozuocem zaś Ducha jest miłość, radość.. (Ga 5,22).

Jefferson

Nazywał się Jefferson. Ważył 12 kg. Był wspaniałym pręgowanym kotem, o zakręconych wąsach a la Salvador Dali.

Miał nieuleczalną idiosynkrazję wobec osób gadatliwych.

Sz szczególnie wobec ciotki Eweliny i proboszcza.

Agnostyk z lenistwa, Jefferson wierzył tylko i to z pasją we wspaniałą zupę z flaków, którą babcia przygotowywała mu dwa razy w tygodniu.

I to właśnie z powodu zupy z flaków, zjedzonej w potrójnej ilości z okazji tłustego wtorku, po paskudnej niestrawności i po energicznym płukaniu żołądka, Jefferson zaczął cierpieć na wrzód dwunastnicy.

Zmuszony był do długiego pobytu w klinice weterynaryjnej w oczekiwaniu na zabieg chirurgiczny, miał czas i łaskę, by zastanowić się w całkowitej ciszy nad znikomością życia, nad pokusami ze strony flaków i nad realną perspektywą śmierci.

Gdy wyzdrowiał, Jefferson postanowił spędzić pewien czas rekonwalescencji w klasztorze Cystersów, którzy, jak go zapewniano, nigdy nie rozmawiają. Znalazł ten klasztor pomiędzy laskiem bukowym a lasem olszynowym, w zagubionym zakątku Kentucky.

Tutaj związał się milczącą przyjaźnią z braciszkiem konwersem. Zajmował się on kuchnią i, poza kilkoma gestami porozumienia, nie rozmawiał od wielu lat, ale ciągle się modlił i miał w oczach odblask oblicza Boga.

Jefferson pozostał z nim przez 3 miesiące. I tak powoli nauczył się milczeć, żyć w pokoju ze wszystkimi, znosić paplanie maleńkich myszek i odnajdywać oblicze Pana w każdej sytuacji.

Po tym wszystkim pręgowany kot powrócił do rodziny. Nietrudno mu już było znosić ciocię Ewelinę. Ułożony w koszyku, każdej niedzieli pozwala się zanieść do kościoła przez swą panią (aktywną Wincentkę) i udaje mu się nawet strawić długie kazanie proboszcza.

Jest to znak całkowitego wyzdrowienia.

Umiejętność milczenia, wyzwala umiejętność słuchania!

Lecz Jezus milczał (Mt 26,63).

Rachunek sumienia

Niebieski traktor marki Massey Ferguson o mocy 280 koni, późnym wieczorem, przed zaśnięciem pod starą kolumnadą, zgodnie ze złotą zasadą, przyjętą od porządnego mechanika irlandzkiego, zaczął robić wieczorny rachunek sumienia.

- A więc... dzisiaj pracowałem jak wół. Od rana do wieczora. Wiele hałasowałem, jeździłem cały dzień jak TIR, ale... niestety dzisiaj nie zrobiłem nic dobrego...

Cień smutku zaczął ogarniać mu serce. Ale oto jakiś cienki głosik (traktory o mocy 280 koni mechanicznych posiadają głos sumienia również w swych gaźnikach) wyszeptał: - Kto ci to powiedział?... Ty niestety mając dwa wielkie reflektory

umieszczone na chłodnicy, masz zły zwyczaj patrzenia tylko przed siebie.

Gdybyś dzisiaj mógł odwrócić się i popatrzeć za siebie, zobaczyłbyś, co się działo po twoim przejeździe, gdy błyszczące ostrza twoich pługów spulchniły teren. Wokół świeżych skib wystawionych na słońce, nieustannie trzepotały stada ptaków: skaczące sroki, wrony, kosy, szare gołębie, wróbelków, popielatych turkaweczek, pstrokatych przepiórek... Fruwały one szczęśliwe z okrzykami radości, karmiły się robakami, dżdżownicami, korzonkami, ślimakami, owadami...

To ty dzisiaj swą ciężką pracą dostarczyłeś codziennego posiłku tylu biedakom niebieskim. To ty dzisiaj nakarmiłeś zgłodniałych.

Dzięki serdeczne, bracie traktorze!

I traktor Massey Fergusson o mocy 280 koni, zasnął z sumieniem uspokojonym, rozkoszując się zasłużonym odpoczynkiem.

Gdy się położę, zasypiam spokojnie (Ps 4,9).

Patrzcie na ptaki niebieskie!

Świeżo przyjęty do pracy w pewnym banku w Mediolanie, młodzieńcy księgowy Manenti z okazji Świąt Bożego Narodzenia otrzymał od rodziny piękną kurtkę z autentycznej skóry reniferowej. Naturalnie po okresie wakacji, choć była to cenna rzecz, chłopak postanowił nosić kurtkę również do pracy.

Kurtka świetnie leżała i chłopak, choć nie był wielkim elegantem, tego ranka czuł się szczególnie szczęśliwy. Jednak po przerwie obiadowej, w czasie której był w samoobsługowym barze Motta, po zrobieniu kilku kroków poczuł charakterystyczne uderzenie czegoś, co znalazło się pomiędzy szyją a plecami kurtki.

Rzeczywiście został trafiony!

Pośród śmiechu przyjaciół zdjął kurtkę i znalazł potwierdzenie. Szara wizytówka gołębia trafiła go i śliska masa poplamiała mu reniferową kurtkę.

Na szczęście przypomniał sobie natychmiast, że w pobliżu znajdowała się pralnia chemiczna, zazwyczaj otwarta. Właścicielka, widocznie przyzwyczajona do takich brzydkich niebieskich niespodzianek, zawołała jedną z pracownic i powierzyła jej problem młodego chłopaka. Poszedł za nią do laboratorium, aby zrobić coś z kurtką

tak beczelnie poplamioną.

Dziewczyna usunęła zabrudzenie, posypała ostrożnie to miejsce jakimś proszkiem czyszczącym, delikatnie zmyła wodą powierzchnię skóry, dokładnie ją oczyściła.

Nucąc sobie pracowała fachowo, delikatnie, z wdziękiem. Była to ładna dziewczyna, uśmiechnięta, wysoka, raczej skora do pogawędek, może trochę ciekawska. Pod pretekstem ochrony przed poplamieniem opróżniła kieszenie kurtki i spojrzawszy ukradkiem na adres na kopercie, zawołała: - O również pan jest z Rozzano! I mieszka blisko mnie. A jednak nie przypominam sobie, bym pana kiedyś spotkała. Jestem raczej fizjonomistką.

- Również ja - potwierdził młody księgowy. - Gdybym spotkał kogoś takiego jak pani, z pewnością bym nie zapomniał! Dziewczyna uśmiechnęła się zadowolona. Po oddaniu mu kurtki świetnie wyczyszczonej i doprowadzonej do porządku, młoda dziewczyna powiedziała: - Proszę pana, gdyby przypadkiem pojawiły się jakieś zacieki... proszę wstąpić do nas... albo proszę mnie powiadomić. I tak młody księgowy Manenti miał pretekst, by poprosić o telefon ślicznej brunetki.

Naturalnie następnego dnia zatelefonował do niej, by podziękować, potem spotkali się, potem zaczęli się umawiać, potem... krótko mówiąc w ubiegłą sobotę dwoje ex młodych ludzi, świętowało 25-lecie małżeństwa, w otoczeniu dzieci, wnuków i tłumu przyjaciół.

Proboszcz małego miasteczka, w którym obecnie dawny księgowy jest dyrektorem filii banku, stary przyjaciel małżonków i ich powiernik od lat, w czasie Mszy św. z okazji srebrnego jubileuszu, przeczytał i objaśnił specjalnie dla nich, z odrobiną ojcowskiej ironii, urywek Ewangelii św. Mateusza, w którym jest mowa o ptakach niebieskich, które nie pracują, a jednak mają gniazda.

Wykorzystał ten urywek, by przypomnieć wszystkim obecnym w czasie kazania, że Opatrzność Boża posługuje się niekiedy również ptakami niebieskimi (albo jakimś gołąbkim źle wychowanym!), aby przyczynić się do powstania dobrej i szczęśliwej rodziny chrześcijańskiej.

Jakże niezbadane są Jego wyroki i nie do wyśledzenia Jego drogi! (Rz 11,30).

Na nadmorskiej sośnie

Na jednej ogromnej sośnie nadmorskiej o niewiarygodnie gęstej i nieprzeniknionej koronie, złożonej ze sztywnych i ostro zakończonych zielonych, błyszczących igiełek, pod wieczór, o dwa kroki od morza słyszałem setki wróbli, które piszczały, jazgotały, szumiały i skakały.

Co za widowisko!

Było to wrzenie życia, radosne świergotanie, śpiewający, młodzieńczy jarmark!

Jednak mimo wysiłków, nie udało mi się dostrzec w koronie sosny, w tej przedwieczornej godzinie żadnego z tych małych bohaterów.

Jedynie od czasu do czasu, jakby na jakiś tajemniczy sygnał z doskonałym synchronizmem, mogłem zobaczyć turkoczące wróble, setkami wzbijające się w radosnym locie, by powrócić krótko potem do gęstej korony drzew i kontynuować swoją rozpasaną hulanekę.

Pytałem siebie zamyślony: - Kto kieruje tym stadem? Kto jest przywódcą tej beztroskiej bandy wróbelków?

- Nie wiesz? - wyszeptał mi do ucha malutki ptaszek, który usiadł mi na ramieniu. - Rozkazy wydaje ten, kto krzyczy najmocniej. Jak zawsze!

Jak zawsze!

Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeżeli czynicie to, co wam przykazuję! (J 15,14).

Znak pokoju

Jeden z dyrektorów w Ministerstwie Finansów, człowiek niewolniczo oddany swojej pracy, prawdziwy dżentelmen o szlachetnym sercu i umyśle, pewnego niedzielnego popołudnia wszedł przypadkowo do jednego z kościołów w centrum Rzymu, by uczestniczyć we Mszy św. niedzielnej.

Zajął miejsce w ławce obok staruszki, która miała czarny welon w esy floresy na rzadkich, siwych włosach i przesuwała ziarenka różańca pobożnie, czekając na rozpoczęcie się Eucharystii.

Dopiero na dźwięk dzwonka, na początku Mszy Św., gdy wszyscy powstali, mężczyzna zauważył, że staruszka nie była sama: miała ze sobą ładnego pieska, który

przykucnął u jej nóg przy klęczniku. Również piesek szybko się podniósł i znalazł się na siedzeniu ławki pomiędzy dwoma osobami.

Był to kundelek żywy i sympatyczny, o sierści płowej, z dużymi, białymi plamami.

Miał stojące uszy, ogon niczym szczotka, oczy łagodne i ckiwe. Wabił się Leo.

To, co uderzało w tym zwierzaku, to widoczne przyzwyczajenie, wpajane przez właścicielkę, do odwiedzania kościoła. Faktycznie: piesek zazwyczaj skulony, skłaniał główkę na dźwięk dzwonka na podniesienie, tak jak to robiła staruszka.

Naśladował ją we wszystkim doskonale.

Jednak najbardziej zdumiewająca niespodzianka wydarzyła się, gdy na zaproszenie celebrysa: Przekażcie sobie znak pokoju! - staruszka po wyciągnięciu ręki do

130

powściągliwego dyrektora zwróciła się do pieska, który już czekał z podniesioną łapką i uścisnęła ją, gładząc potem serdecznie. Zaraz potem piesek zwrócił się również do dyrektora, który stał obok niego i wyciągnął do niego łapkę.

Zakłopotany i zmieszany wysoki urzędnik w pierwszym momencie udawał, że nie zauważył tego, ale gdy stwierdził, że kundelek uderza łapką w jego bok, w momencie słabości pochylił się i uściskał łapkę pieska. Błysk radości w oczach kundelka był widoczny, piesek szczęśliwy znów skulił się przy klęczniku.

Sztywny urzędnik otrzymał prawdopodobnie oświecenie z nieba i namacalnie przekonał się, że pokorny znak pokoju, okazany z prostotą i miłością, może przynieść wielką radość każdemu... nawet pieskowi - znajdzie.

Myślał o tym długo wieczorem udając się na spoczynek i rano, gdy przyjechał po niego szofer, by zawieść go do biura. Dyrektor nieoczekiwanie i po raz pierwszy uścisnął mu rękę. Podał serdecznie również rękę portierowi i tym, których napotkał jadąc na V piętro w Ministerstwie.

Ogólne zdumienie.

Uścisnął nawet dłoń zdumionej sprzątacze w sekretariacie... i wszystkim spotkanym w ciągu dnia.

Niezwykły klimat pokoju i radości zapanował i zaraził wszystkich w ten majowy poranek na V piętrze w Ministerstwie Finansów, wśród suchych kolumn liczb i wśród

zakurzonych papierów.

Tyle może sprawić mały znak pokoju, szczerze wymieniony pomiędzy stworzeniami Bożymi.

Pokój wam! (J20,19).

List miłosny

Silny narkotyk: iluzja rajy i rzeczywistość piekła.

Codzienna klęska wobec potrzeby, która po posiłku jest bardziej głodna niż przed nim.

Jest to całkowite ogołocenie ze wszystkiego: z uczuć, godności, rodziny, wiary, przyjaźni, wstydu, zdrowia, nadziei - podczas drogi, która prowadzi prawie zawsze - jeśli nikt nie wyciągnie do ciebie ręki, gdy znajdziesz się już na brzegu przepaści, do samozagłady.

Oskar, 24 letni mieszkaniec Turynu, cierpiał na to już 8 lat. Opuszczony przez wszystkich jak parszywy pies, również przez własną rodzinę, po wielu próżnych wysiłkach doszedł do końca własnego tunelu degradacji: znajdował się na przystanku końcowym. Pograżył się w rozpacz. Pozostawało mu jedynie skończyć ze sobą raz na zawsze. W jaki sposób?

Postanowił, po długim namyśle, że rzuci się w lodowate wody Padu.

Założył odwieczne džinsy, koszulę w kratkę i kurtkę skórzaną, wyjąwszy z niej uprzednio dowód osobisty. Wszedł na ulicę, wszedł do autobusu nr 54, którego ostatni przystanek znajdował się poza mostem na Padzie, przed "Wielką Matką".

Prawie że w transie, w rozpacz, nieprzytomny i zalękniony, nie zwrócił uwagi na kilku pasażerów, którzy drzemali w autobusie, w czasie ostatniego kursu. Jednak gdy po przejechaniu mostu miał zamiar wysiąść, zauważył na podłodze pod nogami kopertę ze znaczkiem, ale otwartą. Widocznie ktoś ją zgubił. Instynktownie podniósł ją i wysiadł pośpiesznie.

Pod jedną z lamp, które oświetlają most Vittorio, zaciekawiony wyciągnął list i mechanicznie go otworzył.

Był to list miłosny. Przepiękny. Przeznaczony był dla Mileny Perazzoli, z podanym dokładnie adresem.

Przeczytał go kilkakrotnie. Był wzruszający. Potem postanowił dostarczyć go dziewczynie. Mieszkała bardzo blisko.

List był serdeczny, przepełniony delikatnością i prostotą. Zawierał prośbę o przebaczenie, po jednej z licznych utarczek pomiędzy zakochanymi, które zawsze kończą się zapewnieniem o miłości i o wspólnym wiecznym szczęściu.

Gdy wahając się zadzwonił do drzwi Mileny, pojawiła się pełna wdzięku dziewczyna o pięknej twarzy i długich, kruczonych włosach. Wręczył jej list opowiadając, że znalazł go w autobusie nr 54.

Milena otworzyła go zaraz i przeczytała szybko a potem wybuchnęła płaczem cichym i długim. Nagle pocałowała Oskara mówiąc: - Dziękuję, przywróciłeś mi życie!

Po pierwszym momencie zdumienia, również Oskar wyszeptał: - Także ty... przyniosłaś mi życie!

I szybko zbiegł ze schodów, aby powrócić do domu.

I zaczął żyć na nowo.

Niech Bóg nam da radość serca! (Syr 50,23).

Nad brzegiem morza

Brazowa ryba, sola trzyletnia, o wadze 1,5 kg, znalazła się w sieci pewnego żwawego, starego rybaka liguryjskiego, który żył skromnie z zasiłku społecznego.

- A więc - spytała sola, próbując zagrać kartą współczucia - co teraz? Co chcesz zrobić z biednym nieborakiem?

- Zjem ciebie dzisiaj wieczorem - odpowiedział uśmiechając się staruszek. - Nie pozwolę ci cierpieć, nie usmażę cię na patelni. Zjem ciebie ugotowaną, z odrobiną oliwy i 3 łyżkami ostrego sosu oraz z 2 bułkami.

- Ale ja, drogi dziadku - dalej szeptała sola ze łzami w oczach - ja... co ci zrobiłam złego?

- No właśnie! - potwierdził stary rybak. Ty mi zawsze robiłaś coś dobrego... i nadał to będziesz czynić dzisiaj wieczorem. Dziękuję ci maleńka...

I wsadził ją do torby.

Wyrzucał im brak wiary i upór (Mk 16,14).

Basen w Oratorium

Niektórzy cierpią z powodu ogłuszającego nastawiania TV przez sąsiadów, są tacy, którzy nie śpią w wyniku hałasów nocnych, inni skarżą się na zapachy dochodzące z hodowli świń, jeszcze inni umęczeni są hałasem związanym z pobliskim lotniskiem, wreszcie są i tacy, którzy cierpią z powodu inwazji złośliwych muszek.

Proboszcz w Bandinello, ważnej parafii, która powstała po wojnie na peryferiach dużego miasta na północnym wschodzie, na nieszczęście mieszkał na probostwie przy ulicy bardzo ruchliwej i był nagabywany przez biedaków szukających pracy, przez wędrownych Marokańczyków, przez płaczliwych narkomanów i zatwardziałych pijaczków, przez żebraków prawdziwych i fałszywych, ludzi z marginesu, Cyganów, ludzi potrzebujących wszelakiego gatunku. Wszyscy szukali jednego: pieniędzy, pieniędzy, zawsze pieniędzy.

Pomimo wzruszająco dobrego serca i wielkiej szczodroblewości, proboszcz, wikary i gospodyni nie potrafili nigdy sprostać wymogom, stłumić protestów, a czasem nawet przeciwdziałać ordynarnym scenom, wywoływanym przez niektórych włóczęgów, często wulgarnych i wymagających.

Sprawy te, które należało rozwiązać jak najspieszniej, zostały włączone jako pierwszy punkt do comiesięcznego zebrania Rady Parafialnej.

W czasie dyskusji, gdy stwierdzono, że Caritas parafialna funkcjonuje doskonale i opiekuje się już rodzinami potrzebującymi i biedakami miejscowymi, przystąpiono do omówienia propozycji przedstawionej przez proboszcza.

Było to rozwiązanie pozornie zagadkowe i podjęte w sierpniowym upale, ale praktyczne i na pewno skuteczne: budowa nowoczesnego basenu na terenie przyległym do Oratorium.

Rozsądna propozycja została przedstawiona przez inżyniera Assiano, który dobrze znał kamienisty teren, odziedziczony przez parafię przed 20 laty. Był skłonny kierować pracami i bezpłatnie opracować projekt, postarać się o pozwolenia i zapoczątkować prace związane z wykopem.

Chodziło o pracę zobowiązującą, po części wykonywaną ręcznie: należało zrobić

wykop o wymiarach 12 m x 30 m, głęboki na 3 m, a w części przeznaczonej dla skoków z trampoliny - głęboki na 5 m.

Propozycja, po długiej dyskusji, została przyjęta jednogłośnie. Przystąpiono od razu do zakupu odpowiedniej ilości kilofów, łopat, wiader, świdrów, tacek...

Wszyscy obecni, zgodnie wybrali nazwę dla nowej struktury oratoryjnej: Pływalnia pielgrzyma.

Ciężkie prace ziemne mieli wykonać naturalnie za godziwe wynagrodzenie według stawek związków zawodowych, biedni wędrowcy, szczególnie ci młodzi, zdrowi, muskularni, którzy na serio gwałtownie szukali pracy.

W ten sposób dzieło społeczne, budowane dla młodzieży, osiągnęłoby podwójny cel: okazanie miłości chrześcijańskiej i walkę z bezrobociem.

Pomysł spodobał się bardzo wszystkim parafianom, którzy sami przyczynili się do zapoczątkowania realizacji projektu dużymi ofiarami.

Prace rozpoczęto od razu, z entuzjazmem.

Jednak dzisiaj niestety - po 2 i pół roku wykop pływalni daleki jest jeszcze od ukończenia. Aktualnie uzyskaliśmy dopiero trochę ponad 2 m głębokości.

Biedacy, włóczędzy, wędrowni emigranci, Cyganie, żebracy zawodowi... dzisiaj, gdy zjawiają się w mieście, nim zbliżą się do parafii, dopytują się mieszkańców z wielkim zainteresowaniem: - Jak wyglądają sprawy w Oratorium? Czy już ukończono prace przy budowie pływalni?

Wobec odpowiedzi negatywnej, większość... potrzebujących, z widocznym żalem wewnętrznym powiada: -Szkoda! - i zawiedziona decyduje się zmienić kurs, szeroko omijając parafię. Trend żebractwa zupełnie się zmienił.

Napływ proszących o wsparcie, pukających do drzwi probostwa zmniejszył się o 85%.

Ileż problemów dobroczynności rozwiązuje budowa pływalni parafialnej!

Z próżniactwa ubytek i wielka bieda! (Tb 4,13).

Puchacz wróżbita

Stary puchacz o wadze 4 kg i o prawie półtorametrowej rozpiętości skrzydeł spędził

całe życie pośród gór Gran Paradiso, ignorując prawie zupełnie niepokalane piękno lodowców i oszałamiającą smukłość szczytów, zarysowujących się na niebieskim niebie.

Dlaczego?

Wylatywał na łowy jedynie nocą i swymi ogromnymi oczyma, umieszczonymi dziwnie na czole, potrafił wytropić jedynie myszy, wiewiórki, robaki, gryzonie, węże, świstaki, owieczki... i dokonywać rzezi spadając cichutko na zdobycz, dzięki jedwabistemu upierzeniu swych miękkich skrzydeł.

W ciągu dnia, zaszyty w ciemnościach dziupli starego modrzewia, odartego z kory przez pioruny, pełnił zawód wróżbity, czarodzieja, jasnowidza, astrologa... Wielu naiwniaków przychodziło poradzić się u niego.

Jego przewidywania były prawie zawsze zaciemnione, szare, czarne, pesymistyczne, wywołujące lęk. Typowe dla nocnego zwierzaka.

W każdym razie, by być pewnym, że nigdy się nie pomyli, małym i nieszkodliwym zwierzętom przepowiadał zawsze nieszczęścia i wypadki. Dużym zwierzętom, drapieżnym i krwiożerczym, przepowiadał tymczasem, także w celu uniknięcia ryzyka osobistego, zwycięstwa, tryumfy, sukcesy.

Z biegiem lat, stary puchacz śniegowy zapadł na postępującą formę ślepoty, która zmusiła go powoli do zredukowania nocnych wycieczek. Z dnia na dzień jego przygnębienie się powiększało.

Stary puchacz - dumny posiadacz wielkich, czarodziejskich oczu, doświadczył osobiście nie bez goryczy, jak ważne są oczy w życiu ludzi i zwierząt. Prawdziwa siła bowiem zawarta jest w spojrzeniu, może ono przekazywać lepiej od słów miłość lub nienawiść, czułość i egoizm, zrozumienie i pogardę, zachwyt i obrzydzenie.

Na szczęście jego młody wnuk, który uczęszczał na kurs okulistyki zwierzęcej na uniwersytecie w Chamonix, polecił mu, aby nie zeszpecać jego królewskiego wyglądu okularami, użycie szkieł kontaktowych.

Rezultat był wspaniały i stary puchacz zaczął nosić szkła kontaktowe przez całą dobę i wychodzić również za dnia.

I tak po raz pierwszy mógł zobaczyć i podziwiać piękno Gran Paradiso: refleksy

słońca na śniegu, zabawę chmur nad szczytami, kolory kwiatów, aksamit szarotek, intensywny niebieski kolor goryczek, srebrzyste wodospady, zieleń łąk...

Wychodząc z więzienia ciemności i otwierając oczy na światło słońca, stary puchacz odkrył nowy wymiar życia. W ten sposób powoli udało mu się wyzwolić z więzów własnego wrodzonego pesymizmu.

Zamknął swoją ciemną dziuplę nocnych konsultacji, przeniósł się do wnęki starego kasztanowca i chcąc wyzwolić się z błędów minionego życia, poświęcił swoje ostatnie lata na pełnienie dobra wobec bliźnich, angażując się w walkę uwolnienia pastwiska od górskich żmij.

Często zmiana oczu - oznacza odmianę serca.

A odmiana serca pomaga zmienić życie.

...Chociaż niszczy nasz człowiek zewnętrzny, to jednak ten, który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień (2 Kor 4,1).

Szkoła modlitwy

Dla Gianniego i jego grupy skautów tydzień szkoły modlitwy rozpoczął się o godz. 9 rano na wielkiej łące w Sant'Orso, na skraju Cogne, w najniższej części oddalonej od ulic i domów, w pobliżu strumyka.

Cierpliwy misjonarz indyjski, ekspert w technikach jogi, który przyjął tuzin młodych spragnionych łaski, przypominał im na początku, że prawdziwa modlitwa jest przede wszystkim trwaniem razem z Panem i z uczestnikami.

Ale jak można być razem tutaj, blisko tego potoku, który ciągle hałasuje swym nieustannym szumem wśród kamieni?

Drugiego dnia grupka skautów przeniosła się na środek łąki, ale nieznośna krowa przeszkadzała w tym byciu razem głośnym, metalicznym dźwiękiem dzwonka.

Trzeciego dnia misjonarz, przychylając się do prośby grupki, zaprowadził skautów do lasu świerkowego i tam, pomimo świergotu ptaków, znaleźli oni spokój i zaczęli być razem ze sobą i pogłębiać swą przyjaźń.

Czwartego dnia powrócili na skraj łąki Sant'Orso i przebywając razem z przyrodą zrywali kwiaty polne i rośliny lecznicze, podziwiali ich piękno i delectowali się ich

zapachem, rozmawiając wesoło.

Piątego dnia odkryli, że można przebywać razem, nawet nie mówiąc ani słowa: był to wspaniały, krzepiący poranek milczenia.

Szóstego dnia po raz pierwszy Gianniemu udało się pomodlić i wsłuchać się w Naszego Ojca, który pojawił się w nieskończonym błękitnie nieba i blasku ośnieżonych szczytów wokół doliny

Siódmego dnia... Gianni nie przypomina sobie zupełnie, dokąd zaprowadził ich misjonarz.

Zapomniał o wszystkim, co dotyczy tego dnia. Nie przypomina sobie, by sam coś mówił... nie słyszał hałasów... nikt do niego się nie zwracał... Wie tylko, że spędził cały dzień z Panem... Czuł Go w sobie...

Odkrył, że jest kochany i że sam kocha swego Boga ciesząc się przebywaniem z Nim.

Tydzień szkoły modlitwy pośród gór skończył się w mgnieniu oka. Gianni doświadczył, że tajemnica prawdziwej modlitwy zawarta jest w przebywaniu razem z Nim.

Wytrwajcie we Mnie, a Ja będę trwał w was! (J 15,4).

Krokodyle nad rzeką Couffo

Trzej murzyńscy chłopcy, razem z pięcioletnią siostrzyczką Joceline, która z powodu palącego słońca ubrana była w białą, ładną sukienkę i sympatyczny, słomkowy kapelusik, powracają z dziadkami (ze strony matki) do swej wsi, w starej pirodzie, wzdłuż rzeki Couffo.

Nagle cicho pod powierzchnią wody, za pirogą, ukazuje się straszny i obrzydliwie wygłodniały krokodyl, mający najgorsze intencje.

- Nie ruszajcie się, dzieci! - rozkazuje dziadek i wiosłując mocno stara się uciec zwierzakowi, który zbliżając się coraz bardziej, zaczyna uderzać groźnie ogonem i niebezpiecznie poruszać kruchą łodzią.

Widząc powagę sytuacji, stara babcina, chcąc uratować swe ukochane wnuki, podejmuje nagłą i desperacką decyzję:

- Ty - woła do męża - staraj się uratować dzieci!

W heroicznym geście nagle wstaje i rzuca się do rzeki, skierowując w inną stronę uwagę krokodyla, który jednym skokiem ją porywa i gwałtownie pożera, przyciągając inne żarłoczne bestie do uczyty.

Ofiara daremna. Po kilku minutach, na tyłach pirogi pojawiają się szybko dwa inne żarłoczne krokodyle. Dziadek, wstrząśnięty stratą żony i widząc, że nie uda mu się dotrzeć bezpiecznie do brzegu i ocalić dzieci, oddaje wiosła swym wnukom i rzuca się w kierunku krokodyli, próbując nierównej walki. Krokodyle rozszarpują go i pożerają. Przerażone, płaczące dzieci wiosłują gorączkowo do brzegu, ale wkrótce trzy krokodyle pędzą za nimi. Dzieci nie chcą się poddać, zaczynają krzyczeć z całych sił i z wielkim hałasem uderzają wiosłami po głowach krokodyli. Nawet Joceline rzuca na nich swój słomkowy kapelusik, krzycząc głośno.

O dziwo, trzy krokodyle, na nieoczekiwaną reakcję, zwalniają pościg, potem się zatrzymują i znikają w mulistej wodzie rzeki. Pokazują się daleko, na drugim brzegu rzeki Couffo, leniwie wylegając się na złotym piasku.

Dzieci zwyciężyły!

Oddanie życia za tych, których się kocha - jest heroiczną ofiarą. Jednak zachowanie go jak najdłużej dla ukochanych jest jeszcze cenniejsze i właściwsze.

Godne pochwały jest instynktowne słuchanie głosu serca, które często wypowiada pierwsze słowa. Jednak absolutnie konieczne jest też słuchanie głosu rozsądku, do którego zawsze należy ostatnie słowo.

Może najmądrzejsze.

Nic nie czyn bez zastanowienia! (Syr 32,19).

Ostatnia godzina

Ostatnią godziną nie jest godzina końca.

Nie jest nią też godzina rozstania się ze światem.

Nie jest nią godzina śmierci. Nie jest nią godzina Sądu Ostatecznego.

Ostatnią godziną jest godzina obecna.

Ta, którą teraz przeżywasz.

Jest godziną miłości, braterstwa, daru, świadectwa, nawrócenia, łaski.

Jest godziną światła przed nadejściem wieczoru.

Jest godziną radości.

Godzina "życia w Bogu pod natchnieniem Ducha Świętego.

Dzieci, jest już ostatnia godzina! (1J 2,18).

Nawrócony baobab

Stary, ogromny Baobab z Afryki równikowej wzrastał od początku swego istnienia w świecie wyłącznie animistycznym. Przeżywał swoje dwie pory roku w szacunku do kultu przodków, w świętym strachu przed złymi czarownikami, wśród sugestywnych, zachwycających czerwono-purpurowych zachodów słońca i jasnych nocy afrykańskich, usianych gwiazdami.

Pewnego dnia przybył, posłany przez Boga, młody misjonarz belgijski z gęstą, czarną brodą, w długiej białej szacie i zaczął zbierać dzieci w cieniu starego, ogromnego baobabu.

Uczył dzieci zabaw, czytania, wycierania nosa, mycia się... ale przede wszystkim opowiadał im cudowną historię Jezusa, nauczał jak żyć w łasce, jak poznawać katechizm, modlitwy i śpiewy kościelne.

Każdego dnia katecheza misjonarza otwierała nowe horyzonty w sercach dzieci i ich matek, oraz niektórych ojców, którzy zaciekawieni przychodzili również posłuchać. Mówił też do serca starego baobabu, który coraz bardziej zainteresowany był poszukiwaniem prawdy, słuchał tysiącami uszu własnych swoich, otwierając duszę na nową porę życia wewnętrznego.

Po 3 latach powolnego i dokładnego przygotowywania, w kościele udzielone zostały pierwsze chrzty święte dzieciom i dorosłym.

Były to dni wielkiej radości w całej wsi i ogromnej nostalgii dla starego baobabu. On to pewnego wieczoru, odmówiwszy pobożnie tradycyjne modlitwy, których nauczył się od misjonarza i dzieci z misji, otworzył ufnie serce przed Panem i powiedział do Niego: - Dobry Ojczy, chciałbym i ja otrzymać chrzest i łaskę bycia chrześcijaninem. Czy to naprawdę jest możliwe?

Pytał się o to z tak ogromną pasją, że Bóg wzruszył się i zesłał na niego tej nocy - choć była to pora sucha - gwałtowną ulewę. Dla baobabu była ona niczym prawdziwy chrzest pragnienia i w jego oczach stanowiła natychmiastową odpowiedź nieba.

Od tego dnia baobab z sawanny, mając pewność, że został ochrzczony, z własnego wyboru i dzięki darowi nieba, zmienił zupełnie życie i poświęcił się różnym formom miłosierdzia spełnił wiele dobrych uczynków, przyjmując na swych gałęziach setki ptaków z nieba afrykańskiego: były to czerwone i popielate papużki, jaskółki, żurawie, dropy, sokoły, pantarki, jak również wrzeszczące małpki i zmieniające kolory kameleony.

Po 15 latach Misja była już dobrze zakorzeniona. Młody ojciec misjonarz przyszedł wczesnym rankiem odprawić Mszę św. właśnie pod konarami baobabu z pierwszymi ongiś chłopcami, którzy stali się już młodymi ludźmi.

Stary baobab z sawanny, zmęczony walkami i ciężarem lat i dolegliwości, pełen radości, kontemplując i adorując z wysoka, z wiarą i radością, obecność Chrystusa na ołtarzu, wyszeptał: - Teraz, o Panie, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, bo oczy moje ujrzały Twoje zbawienie!

Tej samej nocy, podczas gdy baobab spał zmęczony pod niebem pełnym gwiazd, nagły piorun z jasnego nieba uderzył w niego i położył kres jego dniom. Ofiara została przyjęta przez Boga na stosie ofiarnym.

Po wielu latach, stary już misjonarz belgijski i wszyscy mieszkańcy wioski pamiętają jeszcze stary baobab.

Uważają go nie tylko za przyjaciela, ale prawie za świętego, należącego do rodziny. Chrystus swoją mocą wszystko co jest podporządkowuje sobie! (Flp 3,21).

Chodzący samopas Katar

Pewien wyniosły szympanś dyktował prawa w buszu. Żył w pogardliwym upojeniu przez 20 lat. Jego czarne futro zaczynało ukazywać kilka białych włosów, ale prawdę mówiąc, młodzieniec był zawsze bardzo pewien siebie, pyszny i sprawny.

Spędzał całe dni na drzewach, prawie nigdy nie schodził na ziemię (nie raczył naśladować innych szympanśów), a każdej nocy zmieniał swą sypialnię.

Był szympansem zdecydowanie różniącym się od innych: "był kimś, kto nigdy się nie mylił"! Kimś, kto żył z dala od tłumu, kto mógł pozwolić sobie na luksus wymiany zawsze tych samych opinii, o tych samych sprawach, z tymi samymi przyjaciółmi. Poza tym zawsze dyktował swe bezapelacyjne wyroki i osądzał z wysokości swej pyszałkowatej zarozumiałości każde poruszenie gromady. Nie zniżał się w żaden sposób do przyjmowania prostych reguł ogółu, również dlatego, że jego dziwaczna postawa w pewnym sensie dodawała mu aureoli wyższości nad wszystkimi. Jego życie, samodzielnej jednostki, zapewniało mu wysoką rangę i stanowiło niemałą bezpłatną reklamę. Poza tym stwarzało mu sytuację praktycznie bardzo wygodną i dochodową, która ułatwiała egzystencję. W zamian za nieliczne, zwracające uwagę i łatwe wyrzeczenia, dawano mu rozmaite przywileje. Nasz szympan - "single" - nie musiał znosić ciężaru wielu praw wspólnotowych, nie był związany żadnymi obowiązkami wobec grupy, nie był zobowiązany do nieustannych i wysokich świadczeń, nie podlegał kontroli, a przede wszystkim posiadał bogactwo nie do przecenienia: absolutną wolność, którą wykorzystywał w sposób na jaki miał ochotę. I używał jej z rozmachem: przede wszystkim, aby wydawać wyroki, by zachowywać się jak nie uznający dyskusji nauczyciel, by wysuwać projekty, by krytykować biedne, zwykle szympansy zajęte codzienną rutyną służby... Pozornie wybrał ubóstwo, ale niczego mu nie brakowało; musiał myśleć tylko o sobie, co nie było rzeczą trudną w buszu. Zdecydował się żyć w ukryciu i ukazywał się ukradkiem wśród konarów. Wybrał niepewność, ale spokojnie mógł zdrzemnąć się wśród gęstwiny liści, czyniąc jedynie to, na co miał ochotę dzień po dniu. Korzystał właściwie ze wszystkich korzyści stada, dystansując się od niego szybko, przy pierwszych oznakach wymagających jakiejś odpowiedzialności albo w obliczu najmniejszej kompromitującej sytuacji. Pewna dojrzała i silna szympansica, matka czworga dzieci, zajęta przez cały dzień opieką nad dziećmi, aby dostarczyć im pożywienie, by bronić je i pracująca nad ich wychowaniem, pewnego dnia zapytała go zdenerwowana: - czym tak właściwie jest

dla ciebie życie?

- Życie, droga pani, jest wolnością! Jest odrzuceniem wszelkich więzów! Wy jesteście niewolnikami! Ja jestem prorokiem!

- Spokojnie, synu - odpowiedziała szczerze pani szympansowa. - Twoja wolność jest jedynie wygodnym wymigiwaniem się.

Jest ucieczką przed obowiązkiem. Prawdziwe życie jest codzienną, pokorną służbą, jest odpowiedzialnością. Prawdziwi prorocy płacą osobiście, żyją w ciszy, poznaje się ich dopiero po śmierci. Nie tańczą po drzewach. Ty nie jesteś szympansem cyrkowym!

I cała gromada głośno zaczęła klaskać.

Nawet pawiany!

Uważajcie, wielu bowiem pojawiło się na świecie zwodzicieli! (2J1,7-8).

Czuła piosenka

W Fort Joachim, małym miasteczku na granicy pomiędzy Colorado a Arkansas, na początku epoki pionierskiej, życie było trudne i surowe, wypełnione głównie polowaniami na bizony i hodowlą bydła.

Za wyjątkiem gwałtownych wybryków grupki pijanych Apaszów, w czasie pełni lipcowej księżyca ubiegłego roku, w miasteczku żyło się spokojnie.

Jednak około roku 1870, gdy pracowano przy budowie kolei żelaznej i gdy pojawiło się zbyt wielu awanturników uzbrojonych w nowe kolty 38 i okropne karabiny

Winchester, przemoc zaczęła kwitnąć w miasteczku. Każdego tygodnia w "saloonie" albo wzdłuż piaszczystych dróg zabijano kogoś. Rodziny żyły w okropnym strachu. Kościółek w miasteczku został częściowo spalony. Dzwonnica zniszczona.

Pewnego dnia wybuchła tajemnicza epidemia.

Zaczęły chorować i marnieć małe jagnięta, kaczki, kury. Młode żrebaki i cielaki nie piły mleka. Dzieci nie uśmiechały się, nie bawiły się. Chudły i gorączkowały.

Stary lekarz w miasteczku, pijaczyna, ale mądry medyk, taką postawił diagnozę:

ciężkie schorzenie wywołane prochem! Absolutny i przedłużający się brak miłości.

Asfiksja serca wywołana niepowstrzymaną przemocą. W wyniku tego nieuchronna

jest śmierć.

Młoda nauczycielka z miasteczka, Manuelita Esperancia, występując przeciwko bezsilnej rozpaczce matek i rezygnacji ojców, zebrała wszystkie dzieci, do których była bardzo przywiązana i które ją bardzo kochały. Pod pretekstem towarzyszenia im w długiej przechadzce zaprowadziła je na wysoką górę.

Jej młody narzeczony, który wyprzedził grupę prowadząc trzy krowy, dwa muły i wóz w żywnością, zaprowadził ją wraz z dziećmi do starego, porzuconego szałas, znajdującego się w lesie bukowym, na stoku góry.

Tam w ukryciu żyli z dala od wszystkich przez wiele dni. Mieszkańcy miasteczka, ogarnięci czarną rozpaczą, szukali ich na próżno.

Co wieczór, aby uspić najmłodsze dzieci, nauczycielka śpiewała im cudną piosenkę, piosenkę czułości - a jej chłopak towarzyszył jej na harmonijce.

Dzieci, czując się bezpieczne i kochane, usypiały szybko. Powoli odzyskiwały siły i apetyt. Dzień po dniu rozkwitało ich zdrowie i chęć do życia, oraz pragnienie zabaw i śpiewów.

Piosenka czułości spływała każdego wieczoru z niewymownym urokiem. Ta piosenka nie była owocem jakiegoś magicznego czaru: mówiła po prostu o dobroci, pokoju, przebaczeniu, braterstwie. Dzieci odtąd już nie mogły żyć bez tej pieśni.

Gdy wreszcie rodzice odnaleźli je i sprowadzili do domów, musieli też nauczyć się tej piosenki, gdyż dzieci nie potrafiły zasnąć bez tego śpiewu radości i pokoju.

Powoli coś zaczęło się zmieniać w każdym domu i w całym miasteczku.

W Fort Joahim nadal śpiewa się piosenkę czułości, również po nabożeństwach w nowym, odbudowanym kościółku.

Czułość jest silniejsza od ołowiu.

Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój! (Mt 5,9).

Twarda głowa

Poznałem pewną dziewczynę, która miała upartą, twardą głowę, tak bardzo twardą... że nawet diament nie zdołałby jej porysować.

Nie twierdzą, by brakowało jej serca, inteligencji czy zdolności... Po prostu była

egocentryczna: jej "ja" nie uznawało rywali.

Gdy uparła się przy jakimś projekcie, osądzie czy przypuszczeniu... nikomu nie udawało się tego zmienić.

Była niczym wulkan gotujący w swym wnętrzu rozżarzoną lawę. Gdy wreszcie udaje się mu wysadzić zatyczkę, wyrzuca z siebie ogień, dym i wylewa na wszystkich i na wszystko strumienie lawy, płynącej kilometrami aż po morze.

Już od wczesnego dzieciństwa, nawet za cenę śmierci głodowej, Giulia odrzucała i wypluwała smoczek i nie było sposobu, by ją przyzwycząić do tej niewinnej namiastki matczynej piersi.

Jako pięcioletnia dziewczynka uparła się i absolutnie nie chciała chodzić do przedszkola i gdy ją siłą zaprowadzono do niego, pokopała siostrę, a następnego dnia udało jej się uciec w tajemniczy sposób. Policja znalazła ją dopiero po 6 dniach w centrum Mediolanu, szczęśliwą i zadowoloną, ukrywaną przez starego, dobrotliwego pomywacza chińskiego na zapleczu kuchni w Grand Hotelu.

Miała zdecydowanie upartą głowę, twardą niczym granit z okolicy Brescia. Nie ustępowała nikomu i przed niczym. Prawdziwa miss uporu!

Pewnego dnia, Giulia, gdy miała już 18 lat, powracała spocona i zmęczona ze wspinaczki zorganizowanej przez wolontariuszy Czerwonego Krzyża na Testa Grigia (Szara Głowa) w grupie Monte Rosa. Zatrzymała się na chwilę w małej kapliczce poświęconej Chrystusowi cierpiącemu, ukoronowanemu cierniami.

Gdy tak patrzyła z czułością na to oblicze zalane krwią i kontemplowała Jego głowę ukoronowaną cierniami, nagle wydało się jej, że słyszy jakiś głos.

Ktoś bardzo blisko wyszeptał jej do serca: Moja głowa jest bardziej uparta od twojej! Chodź... Nie można uciec przed moją Miłością!.

Było to posłanie pochodzące z daleka: jasne wezwanie do miłości. Posłanie, które potem pojawiała się z coraz to większą natarczywością.

Było to jedyne Słowo, które zdołało uczynić wyłom w upartej, twardej głowie egocentrycznej dziewczyny.

Zrezygnowała w końcu z siebie samej i umieściła w swoim sercu Pana.

Nauczycielu, pójdę za Tobą, dokądkolwiek się udasz (Mt 8,19).

Dynia kalifornijska

Pewna dynia kalifornijska typu "cucurbita maxima" osiągnęła niewiarygodną wagę: 118 kg!

A jej tajemnica? Urodziła się na ziemi piaszczystej, pobłogosławionej przez Boga, w żyznym okręgu, bogatym w wodę i słońce.

Wzrastała w spokoju, z dala od zazdrości i ambicji. Uczyła się w prostej i pełnej prawdy szkole natury i zawsze przestrzegała skrupulatnie niezmiennych jej praw.

Swą krótką łodygą pozostała związana z własnymi korzeniami, unikając zmienności życia i popisów prima-donny.

Intensywnie kochała innych, włączając się radośnie w pejzaż i ofiarowując codziennie, szcudrobliwie oczom zdumionych ludzi barwną paletę zielono-żółtą własnej piękności.

Była również nadzwyczajną propagatorką wolontariatu.

Zobowiązała się rosnać bez umiaru każdego dnia w przeświadczeniu, że będzie mogła nasycić kiedyś wszystkie najbiedniejsze rodziny nędznych peones z okolicy.

Cucurbita maxima, przeżywszy długi okres wzrostu, dotarła do całkowitej dojrzałości. Została wycięta ostrożnie przez ekspertów w czasie bardzo uroczystego święta ludowego, jakie miało miejsce w "Columbus Day".

Gigantyczna dynia, ważąca 118 kg, jest nawet w Ameryce nadzwyczajnym wydarzeniem ogrodniczym.

Lokalna gazeta w otwartym liście do prezydenta wydziału Nauk Przyrodniczych zaproponowała - podobno całkiem na serio - by udzielić symbolicznie dyni doktoratu honoris causa za szczególne zasługi i za przykładność życia.

Jedyną wątpliwością autora propozycji było, czy udzielić jej doktoratu z botaniki stosowanej czy z historii walki z zacofaniem gospodarczym.

Pomagaj bliźniemu według swej możliwości! (.Syr 29,20).

Wolność w Duchu

Przeżywamy istną inwazję głosicieli wolności.

Wolności naiwnej. Wolności taniej. Wolności ulicznej.

Łudzimy się, że jesteśmy bardzo nowocześni, zorientowani, "a la page" w udzielaniu - w słowach i bez zaangażowania - wolności wszystkim, wolności we wszystkim, wolności od wszystkiego, wolności dla wszystkiego.

Kryje się pod tym przemalowana forma nietolerancji wobec osób, które są przekonane, iż istnieją nadal określone prawa natury, współzycia, sumienia, stopniowania, życia moralnego i społecznego, które należy respektować.

Istnieje ekshibicjonistyczny tłum maitres a penser, dyktatura dziedziczna opinii maker na ekranach TV, nieodpowiedzialna, błyskotliwa, dyktatura autorów słów piosenek, przeświadczonych, że wiedzą zawsze wszystko o wszystkich i o wszystkim i sprzedają po kryjomu rozwiązłość w miejsce autentycznej wolności.

Prawie zawsze są to ludzie przyzwyczajeni do wszelkich rodzajów wolności, którzy po faryzejsku zostawiają innym kłopot niesienia własnych ciężarów.

Pewna prezenterka TV ostatnio prowadziła serię pogadanek dla matek, aby "naukowo" pouczyć je o wychowaniu dzieci, by stosowały najodpowiedniejsze techniki przystosowania dzieci do prawdziwej wolności.

W rzeczywistości pani "doktor" - jak donosiło jedno z wielu czasopism z programami telewizyjnymi - była zdecydowaną "single", która nie znosi w sposób absolutny "niemożliwego hałasu dzieci, wywołującego ból głowy" i pozwala umrzeć z głodu własnemu pieskowi, kosztownemu pudelkowi, który został zapomniany w garażu, w czasie, gdy sama wyjechała na wakacje.

Wolności nie sprzedaje się na kilogramy jak kawony na południu.

Ani też nie tworzy się strzałami pistoletu czy reklamami.

Prawdziwa wolność jest owocem Ducha.

Lepiej jest mało mówić o wolności, ale budować ją codziennie, zaczynając od siebie, poprzez poważne i stałe zaangażowanie, by pozrywać setki małych łańcuchów, które nas przywiązują do naszego egoizmu.

Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli! (J 8,32).

Pełnia księżyc

Dmitrij Lubinow był najsprytniejszym handlarzem koni i najdoskonalszym oszustem z całego Kazachstanu. Żył w wygodnej jurcie, zagubionej pośród stepów, w pobliżu Amangeldy, o dwa kroki od jeziora Sarykopa. Spędził całe życie na handlowaniu wspaniałymi końmi mongolskimi, kaukaskimi, syberyjskimi. Znał każdą ich tajemnicę.

Od dziecka żył na koniu. Ożenił się - można powiedzieć na koniu, porywając dziewczynę starodawnym zwyczajem "ulagu", corocznych, dzikich wyścigów, które gromadziły na stepie dziesiątki jeźdźców, rywalizujących w galopie i uderzaniu biczem o chwałę zagarnięcia skóry barana.

Na jarmarkach - od Kurganu po Taszkient - znano go jako legendarnego znawcę koni, mułów, osłów, pamiętano o jego oszustwach i o głośnych żartach.

Będąc już stary, zmęczony i bez sił, zaczął odwiedzać od czasu do czasu klasztor świętego Sergiusza w Radonezie. Co wieczór, jeśli nie był zbyt zmęczony, klękał przed starą ikoną Naszej Pani Kazańskiej, którą nabył w zamian za dwa konie na jarmarku w Rudnym, starając się odzyskać za pośrednictwem dobrego interesu, ubitego in extremis, tę gwarancję zbawienia wiecznego, którą przez tyle lat zaniedbywał.

Pewnego dnia o świcie Dmitrij usłyszał, że ktoś go woła głosem przenikliwym i mrozącym krew w żyłach. Któż go szukał? Wyszedł z domu i znalazł przed sobą... śmierć. Błada, chuda, z szyderczym uśmiechem na ustach, przynosiła mu ukaz żelazny i bezapelacyjny. Powiedziała mu tylko obojętnie: - Nadszedł twój dzień. Dziś wieczorem, gdy nastanie pełnia księżyca, będziesz musiał stanąć przed Najwyższym! Śmierć przybyła na nędznej, siwej szkapie. Zwierzę nie warte było złamanego szeląga. Dmitrij zbadał je uważnie, w sposób fachowy. Był to konik zezowaty, daleki potomek jakiegoś syberyjskiego Altaia. Zwierzę wychudzone i dychawiczne, prawdopodobnie chore na gruźlicę. Nawet rzeźnik z Samarkandy nie kupiłby go za 4 kopiejki.

Intuicyjnie Dmitrij wyczuł interes. Uprzejmie poprosił Śmierć, by weszła do jego "biednej jurty", aby pogawędzić trochę, pijąc dobrą herbatę. Śmierć zgodziła się chętnie, zdjęła ze swych kości zakurzony płaszcz, usiadła obok niego na armeńskim

dywanie i powoli delektowała się herbatą, rozmawiając o tym i owym.

Nagle Dmitrij, z udawaną nonszalancją, przedstawił jej nęcącą propozycję. Jak mogła pani tak wysokiego urodzenia jak ona, posiadająca tak wielką, bezdyskusyjną władzę, o tak wielkim rozgłosie - wędrować po świecie na szkapie tak nędznej? Dlaczego nie miałyby zaakceptować korzystnej propozycji?

- Posłuchajmy więc - Śmierć połknęła haczyk...

- Ja - ciągnął Dymitr - w zamian za waszego konia dam wspaniałego, czarnego ogiera, gwałtownego jak ogień, szybkiego jak błyskawica, silnego niczym granit.

Wabi się Piekło. A wy...

- A ja...? - zapytała Śmierć.

- Wy... zostawcie mnie w spokoju, jako dobra przyjaciółka i powróćcie razem... gdy będę gotowy... albo raczej, gdy was zawołam!

- Dobrze - odpowiedziała śmierć, nie mrużąc oka (widocznie nie była intrygantką bez skrupułów i nie znała szachrajstw jarmarku w Taszkencie) - Interes ubity!

Po wyjściu z jurty, kazała przyprowadzić sobie pięknego ogiera, Piekło; pogłaskała go serdecznie po lśniącej grzywie, wskoczyła na siodło i znikła w oddali, gdy słońce zaczęło wschodzić.

Dymitr odetchnął głęboko z ulgą i ukoronował kolejne (i najważniejsze) oszustwo swego życia szepcząc: -Możesz czekać, straszna czarownico... aż cię zawołam!

Potem założywszy cugle starej szkapie, zaprowadził ją do zagrody, do swych 32 koni rasowych i z głęboką pogardą szepnął jej do ucha: - zostań tu... biedny nieszczęśniku...

Zostawił szkapę pośród innych koni, ale stare konisko wydało dziwne, suche rzenie.

Dymitr odwrócił się nagle, a szkapa uderzyła go dwukrotnie podkutymi kopytami prosto w twarz. Zrobiła to ze złością i z nadzwyczajną siłą. Uderzenie było tak bardzo gwałtowne, że rozbiło mu twarz i rzuciło go na ziemię w kałuży krwi.

Po 2 godzinach, gdy Dymitr oprzytomniał, krwawiący i gorączkujący, leżał na posłaniu w jurcie. Żona, lekarz i czterech sąsiadów krzątało się wokół niego. Ból głowy był straszliwy, przeszywający, nie do zniesienia: tak, jakby w głowie zagnieździł się rój szerszeni, zżerających mu mózg. Prawdopodobnie wykańczał go

jakiś wylew wewnętrzny.

Można stawić czoła wielu cierpieniom życia, ale nie łatwo jest wytrzymać straszliwą agonię. Ból jest katem najbardziej wyniszczającym i bezlitosnym. Udręczony i wyczerpany, późnym popołudniem Dymitr zrezygnował z walki i gdy przeszywający ból nasilał się, poczuł, że zbliża się koniec. Wezwał pośpiesznie śmierć.

Wezwał ją jako wybawienie!

Natychmiast posłyszał rytmiczne, szybkie, dobrze znane uderzenia kopyt swego wspaniałego, czarnego ogiera. Nadleciało Piekło. Po chwili otworzyły się drzwi i oto zgodnie z umową zjawiała się Śmierć.

Na stepie powoli wyłaniał się księżyc w pełni.

Nad dniem śmierci (człowiek) nie ma mocy (.Koh 8,8).

Trzeba wyjść na zewnątrz

Po długim śnie zimowym, młody świstak Klemens powoli się rozbudził. Poczuł się osamotniony, w sposób zatrzważający wychudzony, pogrążony w ciemności. Dusił się stęchłym powietrzem źle funkcjonującej klimatyzacji, bez perspektyw, które dawałyby nadzieję i bez programu rozwoju na jutro.

W swym pierwszym roku doświadczeń życiowych nie wiedział jeszcze, że po nocy wstaje słońce, że po requiem przychodzi zawsze resurrexit!.

Rzeczywiście, po odsunięciu dużej ilości ziemi i listowia, które go oddzielały od świata, młody świstak otworzył z trudem oczy i zobaczył wreszcie fragment błękitu: niebo.

Gdy potem zbliżył pyszczek do otworu własnej norki, odkrył... wiosnę! Z bujną zielenią, ze świeżą wodą szemrzających strumyczków, odkrył mrówki, świerszcze, motyle... ptaki na niebie... brzęczenie pszczół... i tyle oślepiającego światła. Blask życia!

Człowiek również często zapada w letarg.

Czasami nierozsądnie wierzy, że wszystko już dla niego się skończyło.

Zapomina, że po Zmartwychwstaniu Chrystusa, nic już nie umiera na zawsze.

Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem! (J 11,25).

Ponad prawem

Do surowej wspólnoty cysterskiej św. Brunona, kanonicznie powiązanej z Grandę Chartreuse, dotarł nowy postulant, Alzarczyk, pełen zapału dzięki swemu niedawnemu powołaniu.

Był dotąd młodym, świetnym lekarzem chirurgiem. Spotkawszy Chrystusa w momencie próby, postanowił żyć jedynie dla Niego, zawsze z Nim, cały dla Niego. Rygory życia cysterskiego i jego rytm, tak odbiegające od normalności, nie zraziły go, co więcej umocniły jego pragnienie, by dzień po dniu pogłębiać całkowite i bezgraniczne oddanie się miłości Chrystusa.

Pod koniec pierwszego roku nowicjatu, przyswoiwszy już sobie trochę regułę klasztorną, spędzał dni w całkowitym milczeniu, na modlitwie adorującej i w ciężkim trudzie prac, wymagających pokory.

Ojciec Opat, wykorzystując jego doświadczenie zawodowe, powierzył mu między innymi służbę pielęgniarza wspólnoty i młody nowicjusz - lekarz, pełnił ją z wielką delikatnością, kompetencją, miłością i całkowitym oddaniem.

W czasie okresu wielkopostnego, gdy dla cystersów praktyki pokutne i całkowite milczenie stanowią normę surową i nieodwołalną, pewien zakonnik, bardzo sędziwy, po świętym życiu spędzonym na wielbieniu Boga, na pokucie i pracy w polu, poważnie zachorował i zbliżał się do końca swych dni.

Spędzał je na modlitwie i kontemplacji. Od czasu do czasu otwierał oczy i chłonał uśmiech nieba. Młody nowicjusz opiekował się nim i służył mu ze szczególnym oddaniem i czcią. Tak jakby czuwał przy samym Jezusie. Wydawało mu się chwilami, że to sam Jezus cierpi i ciężko oddycha za zbawienie świata.

Pewnej nocy, stary zakonnik bliski już śmierci nagle otworzył oczy, rozpostarł ramiona i położył rękę na ramieniu nowicjusza.

Potem ciężko dysząc wyszeptał: - Proszę cię, bracie mój, proszę... zaśpiewaj mi jakąś pieśń do Madonny!

- Ojczy mój - odpowiedział szeptem nowicjusz - jest noc... jest godzina pierwsza w nocy. Czas wielkiego milczenia. Jesteśmy w Wielkim Poście! W klasztorze nie

można absolutnie rozmawiać... To reguła... nie można tym bardziej śpiewać! Jednak umierający, z oczyma pełnymi łez, głosem chrapliwym i prawie że zanikającym błagał, powtarzając z uporem: - zaśpiewaj mi pieśń do Madonny...

Po długiej chwili wahania, nowicjusz wzruszony, drżąc, zaczął śpiewać po cichu wspaniałą gregoriańską Salve Regina.

Powoli popłynęły dźwięki cudownej modlitwy maryjnej. Nasiliły się w błaganiu, a melodia rozchodziła się wszędzie, rozbrzmiewała na korytarzach, pod arkadami klasztoru. Docierała aż do chóru i cel zakonników. Zasłuchany i szczęśliwy stary umierający mnich uśmiechał się. Uśmiechał się nawet wtedy, gdy skrzydło śmierci już się przesunęło, by zamknąć jego zmęczone oczy.

W następny piątek, w czasie kapituły win, która zgodnie z regułą odbywała się przed Opatem i całą wspólnotą, młody nowicjusz, zawstydzony i pełen pokory, ukląkł pośrodku refektarza i z głową głęboko pochyloną opowiedział o tym, co się wydarzyło i przeprosił ojca Opata i wszystkich zakonników za przekroczenie świętej Reguły, przerywając w nocy wielkie milczenie.

Opat i niektórzy bracia uśmiechali się ze zrozumieniem, słysząc szczerą prośbę o przebaczenie. Na koniec ojciec Opat po ojcowsku i poważnie powiedział do nowicjusza, uśmiechając się leciutko: - Nie zapominaj synu, że Duch Święty, Duch Miłości stoi u podstaw każdej drogi świętości i Jego natchnienie zawsze jest ważniejsze od wszelkiego Prawa, również od reguły wielkiego milczenia!

Jednak za pokutę, abyś nie popadł w pychę, po akcie miłości okazanej w nocy, umyjesz podłogę klasztoru, śpiewając trzykrotnie "Magnificat" i "Nasza Pani Kartuzów!".

Tym razem dyskretnie uśmiechnęła się z zadowoleniem również trzynastowieczna Madonna z drzewa dębowego, umieszczona od wieków w środkowej wnęce klasztoru Cystersów Św. Brunona.

Dobrze jest... głosić z rana Twoją łaskawość! (.Ps 92,3).

Echa łajdactwa

Spotkanie nastąpiło zupełnie przypadkowo na nasłonecznionym tarasie schroniska

Indren, w dzień Św. Ambrożego.

Obaj byli mieszkańcami Mediolanu, obaj po kilku kuflach piwa. Sergio i Luciano stali się przyjaciółmi po jednym dniu znajomości i postanowili wspólnie na nartach dotrzeć do Plateau Rosa. Śnieg był dobry i zachęcający, niebo lazuruwe, wspaniałe słońce.

Jednak w czasie drogi, gdy przepawali się przez oblodzoną ścieżkę pod występami skalnymi, Luciano zgubił niespodziewanie prawą nartę, która odczepiwszy się nagle, poleciała w przepaść, aż na dno wąwozu. W tym samym przejściu Sergio, który szedł za nim, również zgubił nartę: lewą.

Co robić? Sergio, sprytny sprzedawca używanych aut, nie musiał się bardzo trudzić, by przekonać naiwnego towarzysza wycieczki do pożyczenia mu pozostałej narty, zapewniając, że w kilka minut dotrze do schroniska, poprosi o pomoc i natychmiast powróci, by pomóc przypadkowemu przyjacielowi.

Jednak nieszczęśnik, gdy zniknął na horyzoncie, nie pojawił się już nigdy.

Po długim oczekiwaniu, Luciano zdradzony, okradziony i przybity, po ryzykownej i wyczerpującej wędrówce dotarł z trudem pod wieczór do schroniska. Twarzy tego podłego łajdaka nie zapomniał.

Trzy miesiące później, z okazji meczu Interu o puchar UEFA, Lucianowi wydało się, że rozpoznaje tego spryciarza Sergia w podnieconym kibicu, który miotał się i wrzeszczał na bocznej trybunie w San Siro, w odległości około 50 m.

Zaślepiiony złością, Luciano przeskoczył przez barierę i jak pocisk rzucił się na pechowca i wymierzył mu 12 policzków.

Biedak (nigdy nie stwierdzono z całą pewnością, że to był rzeczywiście ów przyjaciel Sergio) z nosem krwawiącym i podbitym okiem został natychmiast doprowadzony do ambulatorium przy stadionie. Udzielono mu pierwszej pomocy, naturalnie pechowiec nie zobaczył meczu i musiał zapłacić za taksówkę, która odwiozła go do domu.

Zbolały i wściekły, obrzucił wyzwiskami żonę, która domagała się wyjaśnień, źle potraktował też teściową, tę swoją durną matkę. Żona zaczęła płakać i tak kłócili się przez większą część nocy. Zasnawszy dopiero nad ranem, żona wstała za późno i zdenerwowana wysłała synka pośpiesznie do szkoły, podawszy mu tylko odrobinę

zimnego mleka. Zapomniała też zapakować mu drożdżówkę i pocałować na drogę. Dziecko niezasłużenie źle potraktowane i obrażone, tego ranka zachowywało się niespokojnie w klasie, było wręcz nieznośne. Kręciło się, dokuczało kolegom, denerwowało nauczyciela i rozzłościło wszystkich.

Uczniowie zdenerwowani i niespokojni, po powrocie do domu narozrabiali co się zowie... I tu historia łańcucha błędów mogłaby ciągnąć się w nieskończoność.

Rezonans jakiegoś złego uczynku rozszerza się koncentrycznie, niczym brudna plama ropy naftowej na błękitnym morzu i rozchodzi się niczym toksyczny smog, który przenika wszędzie i atakuje małych i dużych, biednych i bogatych, dobrych i złych.

Każdy dobry uczynek podobny jest tymczasem do anioła, który przebiega drogami świata, wypędza chmury z nieba, maluje stworzenia pędzlem nadziei i migotliwością miłości.

Odstąp od złego, czyń dobro! (Ps 34,15).

Na wysokości

W obszernej sali schroniska im. Quintino Sella, na wysokości 3585 m, po powrocie z Colle Felix w masywie Monte Rosa przeczytałem w kronice kilka linijek napisanych ręką młodzieńczą i zdecydowaną. To był ogromny wysiłek. Jeśli tak pięknie jest móc dojść tutaj, kto wie, jak cudnie będzie dotrzeć tam, do niebios!

Podpis był następujący: Grupa Ci Elle - Verona.

Co za wspaniała modlitwa!

Szeroko będzie wam otworzone wejście do wiecznego Królestwa Pana naszego! (2 Pt 1,11).

Najlepszy wybór

Pewien młody przemysłowiec włoski postanowił zostać świętym, wielkim świętym i to szybko!. Pod wpływem Ewangelii porzucił wszystko (dom, dziewczynę, bogactwo, interesy, rodzinę, Ferrari Testarossa, perspektywy sukcesu...) i rozpoczął życie pustelnicze w starym, opuszczonym domku na stokach Pratolungo, o kilka

kilometrów od klasztoru franciszkańskiego.

Schodził do doliny, do wsi jedynie dwa razy w miesiącu, aby zaopatrzyć się w chleb i trochę koniecznych rzeczy. Cały dzień spędzał na modlitwie i pracy (w ogrodzie, w oborze, w kurniku, przy rąbaniu drzewa...) w ciszy i kontemplacji.

Na początku swego pierwszego Wielkiego Postu, przeżywanego w pustelni, w środę popielcową z całym zapalem neofity sporządził program postu, umartwień, pokuty, modlitwy i medytacji, ogromnie surowy i wyczerpujący.

Jednak po trzech dniach nagły poryw wiosennego wiatru spowodował u niego bardzo bolesny atak nerwu trójdzielnego. Przeszywający ból blokował mu szczękę górną i prawą stronę twarzy, kurcząc jej mięśnie.

Zmuszony był udać się do lekarza w miasteczku. Musiał potem stosować silne środki przeciwbólowe i uspokajające, które go osłabiły i otepiały przez miesiąc. Nie mógł nawet zejść do klasztoru na Mszę Św. niedzielą.

Jego bogaty wielkopostny program pokuty, postu i modlitwy spalił na panewce i nie został zrealizowany nawet w części. Poczul się lepiej dopiero w Niedzielę Palmową. Młody pustelnik zszedł do miasteczka zniechęcony, zły na siebie, ukląkł przed figurą Matki Boskiej Bolesnej i wyszeptał z dziecięcą ufnością: - Najświętsza Panienko, przebacz mi! Zrobiłem wiele dobrych postanowień, ale w czasie tego Wielkiego Postu nie udało mi się niczego zrealizować. Ani pokuty, ani umartwień, do jakich się zobowiązałem.

Matka Boska Bolesna uśmiechnęła się i odsuwając lekko czarny welon, powiedziała do niego: - Najcenniejszym umartwieniem, mój synu, nie jest to, które się tobie podoba. Jest nim pełnienie zawsze woli Bożej.

Nasz wybór dobra - nawet najszlachetniejszy - niesie ze sobą pewne ryzyko. Lepiej pozostawić Bogu wybór. Ma lepszy gust od naszego!

Jeżeli Pan zablokował ci nerw trójdzielny w czasie Wielkiego Postu, może chciał, byś uśmiechał się jeszcze radośniej z okazji Paschy Zmartwychwstania!

Unikniesz chłosty języka, nie strwoży cię nieszczęście, gdy spadnie! (Job 8,21).

Bliscy go nie chcieli

Mały, biały baranek miał zaledwie parę dni. Był bardzo miły i ładny, wzbudzał tkliwość.

Niestety różnił się od innych. Miał czarne cętki na futerku.

Jego bliscy nie chcieli go zaakceptować.

Karmiła go z trudem przez kilka dni wałęsająca się, wychudzona suka, która utraciła szczeniaki i miała pokarm.

Gdy tylko baranek nauczył się chodzić, próbował zbliżyć się do własnego stada i wielokrotnie starał się pozostać wśród młodych baranków. Całe stado jednak odpędzało go zdecydowanie złowrogim beczeniem.

Jego bliscy nie chcieli go.

Baranek jeszcze długo wędrował za stadem, mając nadzieję, że któregoś dnia wreszcie go zaakceptują. Nadzieje były jednak płonne. Przy różnych okazjach obrzucano go obelgami, a barany arogancko bodły go rogami.

Wraz z upływem czasu sytuacja nie ulegała zmianie.

Jego bliscy odrzucili go.

Minęło parę lat. Powoli w sercu cętkowanego baranka niesprawiedliwość, która stała się jego udziałem, przekształcała się w urazę. Przewlekła uraza zmieniła się w nienawiść, nienawiść przekształciła się w przemoc. Przemoc w codziennym życiu, przerodziła się w pragnienie krwi.

I tak zrodziły się hieny pustynne.

Z białego baranka, z czarnymi cętkami, odrzuconego przez bliskich.

Swoi Go nie przyjęli!

(J 1,11).

Dar z siebie

Wyrosły o dwa kroki od siebie. Na zielonej półce skalnej w wysokich górach, wśród świstu wiatru, żaru słońca, pobrzękiwania dzwonków krów.

Stanowiły oryginalne przeciwieństwo wśród kwiatów: dzika orchidea, o płatkach pstrokatych koloru czerwono-różowo-fioletowego, elegancka niczym modelka i dumna jak sztandar wojskowy oraz arnika górską o wielkich, błyszczących kwiatach

żółto-pomarańczowych, wysokich i zgrabnych, dobrze zakorzeniona w krzemowym terenie.

W związku z nagłymi zmianami temperatury i zbliżającą się jesienią, te dwa kwiaty górskie sąsiadujące ze sobą, często pytały się nawzajem: - Co się z nami teraz stanie? Nieoczekiwana śnieżycą, która wraz z morzem z północy pojawiła się w pierwszych dniach września, przyniosła zniszczenie i przygnębienie. Dwie rośliny, prawie o tej samej godzinie umarły i obudziły się w Raju kwiatów. (Z pewnością wiecie, że istnieje również Raj dla wszystkich stworzeń, małych i dużych, dla tych, które wypełniają doskonale wolę Bożą.)

Co je zbawiło? Dar z siebie samych!

Dar piękności: ofiarowała go wspaniała orchidea turystom, świstakom i kozicom, sokołom i stadom owiec, wszystkim oczom doliny.

Dar uzdrawiania: arnika, ze swymi właściwościami leczniczymi, przyniosła radość, ulgę ludziom gór, uśmierzając ból, zapobiegając krwawym wybroczynom, wywołując krzepnięcie krwi, płynącej w wyniku zadrapań, otarć i zacięć.

Gdy dociera się tam, do góry - nie liczy się realizacja wielkich zamierzeń czy planów. Liczy się dobre wypełnienie swojej części.

Uczynimy wszystko, co Pan nakazał! (Wj 19,8).

Siostra Angelica i jedna z tych...

Siostra Angelica, sędziwa ekonomka Pobożnych Owieczek Jezusa, co czwartek udawała się poza miasto, by dokonać tygodniowych zakupów dla swej wspólnoty w "Discount Pernice & C". Korzystała z klasztornej furgonetki, prowadzonej przez siostrę Carmelę, młodą siostrzyczkę, z drugiego roku junioratu.

Tego dnia dwie siostry wracały późno, pod wieczór. Słaby deszczyk, pierwsze światła wieczoru i coraz większy ruch miejski utrudniały prowadzenie starego pojazdu.

Dwie zakonnice odmawiały po cichu trzecią dziesiątkę tajemnic bolesnych różańca, gdy nagle auto, które je wyprzedziło - biała Fiesta - zatrzymało się gwałtownie.

Mimo umiejętności siostry Carmeli, małe zderzenie było nieuniknione. Na szczęście było niegroźne i spowodowało tylko uszkodzenie zderzaków i zbitcie światła

pozycyjnego.

- Matko Święta! - wykrzyknęła przerażona siostra Angelica. Siostra Carmela, bledziutka, wyszeptała tymczasem z długim westchnieniem: - mogło być gorzej! - i otworzyła drzwi furgonetki, by oszacować szkody. Wysoka dziewczyna o blond włosach, wyskoczywszy z białej Fiesty, obrzuciła ją gradem epitetów i obelg. Z trudem opanowała się nieco, gdy zauważyła, że ma do czynienia z dwoma zakonnicami.

Z wulgarnych słów, z rodzaju makijażu, z zawrotnie krótkiej skórzanej spódniczki, z wymyślnych bucików i z całego dziwaczego stroju, siostra Carmela wywnioskowała od razu, że blond dziewczyna była "jedną z tych, które wystają na poboczach autostrad". Również siostra Angela wkrótce to zrozumiała.

Odzyskawszy spokój, młoda siostra zwróciła uwagę w sposób bardzo grzeczny: - Proszę pani, nie należy hamować tak nagle!

- To prawda - odpowiedziała kobieta - ale zdawało mi się, że po chodniku idzie moja znajoma... Może zawiniłam... Ale również siostra powinna była zachować bezpieczną odległość!

W tym miejscu mogło dojść do wyliczania pogmatwanego splotu błędów i racji, gdyby nie zjawił się - przysłany z pewnością przez Opatrzność - przedstawiciel Straży Miejskiej. Po stwierdzeniu małej szkody, zapytał dziewczynę: - Słuchaj dziewczynko, ile masz forsy w torebce? - Trzysta tysięcy lirów!... Daj je siostrze: unikniemy w ten sposób protokołów, mandatów i innych kłopotów dla obu stron. Spór został zażegnany.

Dwie zakonnice odjechały swoją furgonetką. Po przejechaniu około 2 km, matka ekonomka spytała milczącą siostrę Carmelę: - A więc wracamy do odmawiania różańca?

Piękną duszę młodej siostry gnębił jednak ból i w końcu wyszeptała: - Matko, czy matka uważa, że dobrze zrobiłyśmy biorąc te pieniądze?... Według mnie są to brudne pieniądze. Są owocami grzechu! Są diabełskie!

I obie siostry zaczęły tak się dręczyć, że przy pierwszym rondzie zawróciły i pojechały na miejsce wypadku.

Biała Fiesta stała niedaleko, na parkingu, ale dziewczyny nie było.

Na szczęście pojawił się ów dobry Strażnik Miejski, spotkany poprzednio i obie siostry korzystając z uprzejmości mężczyzny, wręczyły mu 300 000 lirów z prośbą o oddanie ich tej "biednej, nieszczęśliwej dziewczynie".

Strażnik zdębiał. Potem trochę się wzruszył, wreszcie zawołał: - Siostry, zawsze jesteście takie same!... Dobrze, oddam te pieniądze tej biedaczce... ale wy... przyjmijcie mój czek na wasz klasztor.

I szybko wyciągnąwszy książeczkę czekową, wypisał czek na sumę pół miliona lirów. Wręczył go siostronom mówiąc: - Módlcie się za moją biedną matkę! Siostra Carmela ośmieliła się zapytać: - Umarła? - Nie - odpowiedział - ale jest z nią bardzo źle! Zadowolone i wdzięczne Opatrzności, która nigdy nie pozwala się prześcignąć w szczodrości, dwie siostry powróciły do klasztoru, gdy już było zupełnie ciemno. Zadowolone opowiedziały o cudownej dobroci Boga.

Po dwóch miesiącach, czytając w tygodniku diecezjalnym o obławie policji, która zatrzymała 20 prostytutek i 4 sutenerów, siostrę Angelikę ogarnęły nagle wątpliwości. Wydało się jej, że nazwisko jednego z sutenerów dziwnie podobne było do podpisu złożonego przez owego strażnika miejskiego na czeku, na sumę pół miliona.

Czyżby był to wypadek homonimii, czy żart pamięci, która zaczynała się zaciemniać?

Siostra Angelica nie dowiedziała się nigdy. Jednak nie powiedziała o tym młodej siostrze Carmeli, aby nie mącić jej panińskiej czystości i ogromnej ufności w Boską Opatrzność, jak również, by nie być zmuszoną do powtórnego skontrolowania księgowości klasztoru.

Zobowiązała się jednak codziennie, w modlitwie wieczornej pamiętać o matce tak zwanego "Strażnika Miejskiego", która prawdopodobnie nadal czuła się źle.

Bardzo źle.

Błogosławiony każdy, kto boi się Pana, kto chodzi Jego drogami (Ps 128,1).

Bankiet dyrektora

Bardzo bogaty dyrektor sektora przemysłu naftowego z Texasu, z okazji inauguracji swej willi, zbudowanej na skraju Huston, wysłał służących z zaproszeniami na wspaniały bankiet dla ścisłej grupy przyjaciół, dobrze wyselekcjonowany ch. Pierwszy odpowiedział telefonicznie: - Wybacz mi; dopiero co kupiłem jacht (8000 ton), istny klejnot techniki japońskiej. Właśnie go wypróbujemy na redzie Galveston. Jednak przyjdę na twoje przyjęcie i jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyprowadzę razem z rodziną również nową załogę mojego jachtu. Będzie nas, sędzę, około 30 osób. Dziękuję!

Drugi z zaproszonych wysłał szybko fax: - Właśnie nabyłem trzy konie wyścigowe, czystej krwi angielskiej, które biegają niczym wiatr. Wypróbuję je na torze wyścigowym. Przybędę na godz. 13, na obiad i jeśli pozwolisz, przyprowadzę ze sobą około 20 przyjaciół z "Horse Club". Dziękuję, jesteś prawdziwym przyjacielem! Trzeci posyłając mu bombonierkę z 5 obowiązkowymi migdałami, napisał: - Dzisiaj się żenię, ale chętnie z moją żoną i zaproszonymi gośćmi będę uczestniczył w przyjęciu. Wprowadzimy do twojej willi dużo radości. Jest nas około 120 osób... ale nie martw się, zmieścimy się wszyscy. Są to ludzie młodzi i umieją się zachować! Dziękuję!

I tak bogacz naftowy z Texasu, który marzył, by zjeść elegancki obiad w towarzystwie rodziny i kilku wybranych przyjaciół, w swej nowej willi przeżył inwazję hap-peningową - około 200 osób, głośnych, wygłodniałych. Rozmieścił ich na werandzie, w garażach, w parku. Istny Big-One!

Wieczorem, zmęczony rozgardiaszem wywołanym przyjęciem, rozgoryczony haniebnym pasożytnictwem przyjaciół i głęboko rozczarowany ich brakiem wrażliwości, zwierzył się żonie i dzieciom: - Naprawdę powiadam wam, że nikt z tych ludzi, którzy zostali zaproszeni, nigdy nie zasiądzie do mojego stołu!

Słusznie.

Otwarcie szeroko drzwi dla przyjaciół, jest źródłem radości. Dawanie schronienia darmozjadom i naciągaczom jest głupotą.

Jeżeli chcesz mieć przyjaciela, posiadź go po próbie, a niezbyt szybko mu zaufaj! (Syr 6,7).

Jeziorka i kałuże

Stary, znany przewodnik alpejski, o twarzy otwartej i lojalnej, ale mocno pomarszczonej, spalonej słońcem, siedział na stopniach schroniska górskiego, ozdobionego kaskadą kwitnących pelargonii. Od czasu do czasu podnosił oczy na ośnieżone szczyty Grandes Jorasses i dzielił się z grupą turystów mądrymi refleksjami:

- Samotność jest źródłem bogactwa niedocenionym przez młodych. Odizolowanie się - jest ryzykiem zagrażającym ludziom starym. Samotność jest tajemnym fermentem dojrzewania i rozwoju wewnętrznego; izolacja jest ostatnim etapem drogi od celi śmierci - na miejsce egzekucji.

Samotność jest przezroczystą siostrą wody krystalicznej, która iskrzy się w jeziorkach górskich. Ileż ich widziałem na dużych wysokościach! Woda źródłana, zamknięta w małym zagłębieniu, otoczona zielenią, za dnia odzwierciedla lazur nieba i tysiące otwartych oczu kwiatów, splendor słońca. W nocy odbija bladość księżyca i nieskończoną ilość gwiazd.

Żyje z niczego, pachnie kontemplacją, oddycha ciszą. Odbija swym czystym srebrzystym lustrem wszystko i wszystkich.

I pomaga wszystkim wniknąć w siebie i się zastanowić.

Tymczasem odizolowanie jest jak przyrodni, zepsuty brat - czarną kałużą, śmierdzącym bagnem. Przypomina cuchnącą wodę błotnistej stawu.

Żyje dzięki swemu nikczemnemu wyborowi na płyciznach; jest atakowane przez ropuchy i śliskie węże, pomiędzy gnijącym sitowiem i trzcinowymi zaroślami.

Odizolowanie jest kałużą zdradliwą, zbiorowiskiem brudu i wyziewów.

Jego brudna i zielonawa powierzchnia nie odbija niczego. Nie pomaga nikomu w refleksji. Co więcej - odpycha z niesmakiem.

Samotność jest młodym pędem. Izolacja jest grobowym kamieniem.

Jezus wyszedł na górę, aby się modlić i całą noc spędził na modlitwie (Łk 6,12).

Prawdziwa przyjaźń

Andrzej, gdy miał 12 lat, otrzymał w podarunku kosa

Wspaniałego kosa w kolorze kruczo-czarno, o błyszczących piórach, o dziobie żółto-żółtym, jak dojrzałe zboże. Ptak pogwizdywał często wesoło i głośno, szczególnie wczesnie rano i pod wieczór.

Andrzej przygotował dla niego obszerną, dużą, wygodną klatkę.

Był to jedyny przyjaciel i często przemawiał do niego, powierzał mu w tajemnicy przeżycia szkolne i przygody, własne marzenia i rozczarowania. Kos patrzył na niego wówczas swymi niespokojnymi, głębokimi i miłymi oczkami i wydawało się, że rozumie go doskonale.

Z biegiem czasu, gdy był już coraz starszy, przekazywał w jakiś sposób swoje osobiste problemy ukochanemu ptakowi i pewnego dnia zauważył, że kos miewa teraz smutne oczy, że nie jest całkowicie szczęśliwy. Czegoś mu brakowało.

Tak, brakowało mu wolności!

- Jak można - zastanawiał się Andrzej - trzymać w klatce przyjaciela? Jak można zmuszać kogoś, by był zamknięty i mimo to ciebie kochał?

- Czy słusznie jest zniewalać kogoś, kogo się kocha?

Pewnego więc wiosennego, słonecznego popołudnia, wyciągnął kosa z klatki, przycisnął go do serca, pocałował serdecznie i wypuścił w błękit nieba.

W głębi duszy - prawdę mówiąc - miał nadzieję, że kos powróci do niego, choć na parę chwil. Tymczasem Ptak zginął prędko na horyzoncie. Oczy Andrzeja napełniły się łzami. Chłopak pomyślał: - kto pospiesznie przestaje być przyjacielem, może nigdy nim nie być!

Jednak pewnego jesiennego dnia, zupełnie nieoczekiwanie usłyszał, że jakiś kos gwizdże na parapecie okna. Andrzej rozpoznał go natychmiast.

Szybko otworzył okno, wziął go, pogłaskał i delikatnie postawił na stole kuchennym, pokruszył dla niego kawałek ciasta, przyniósł na talerzyku trochę wody... Był to moment niezapomniany.

Teraz kos powraca codziennie, zawsze o tej samej godzinie. Są szczęśliwi obydwaj. Wolność stwarza prawdziwych przyjaciół.

Gdzie jest Duch Pański - tam jest wolność! (2 Kor 3,17).

Rzecz najważniejsza

W małej gromadce przyjaciół zebranych w sercu buszu kongijskiego, wokół błotnistej kałuży, z której wydobywała się woda, służąca za wodopój zwierząt, głośno dyskutowano.

- Najważniejszą rzeczą w życiu - stwierdził z przekonaniem lew - jest wynalezienie jakiejś dużej antylopy albo jakiejś smacznej gazeli i rozprawienie się z nimi!

Jaguar natomiast powiedział: - dla mnie... najważniejszą sprawą jest posiadanie zwinnych łap i mocnych boków, by móc rzucać się na młodego bawoła, złamać mu jednym uderzeniem kość szyjną i pożreć go!

- Najważniejszą sprawą mego życia jest móc wyteńczyć wzrok - szeptał ryś - umieć zawsze zobaczyć zdobycz z odległości, nawet w czasie nocnego polowania!

Wspaniała rusałka żałobnik, cudowny motyl o wielkich, aksamitnych skrzydłach koloru ciemno-niebieskie-go, obramowanych na żółto, który żyje jedynie miesiąc (30 dni!) z westchnieniem smutku, udreki stwierdza: -Najważniejszą sprawą jest... móc żyć!!!

Wobec gmatwaniny przemocy i zepsucia, panoszących się na naszej planecie, zmuszeni patrzeć na dramaty eutanazji i aborcji, prowokowani przez ciemny terror jutra bez nadziei, jesteśmy pogrążeni w największej tragedii roku 2000: w tragedii radości życia, zagubienia radości istnienia.

To właśnie Ty mój los zabezpieczasz! (.Ps 16,5).

Niebezpieczne roztargnienie

Od 6 lat był stałym diakonem w pewnej diecezji toskańskiej.

Wysoki, o czarnych wąsach. Miał żonę i trójkę dzieci. Pracował jako kierowca ciężarówki. Był jej właścicielem i utrzymywał rodzinę jeżdżąc dniami i nocami po szosach Europy.

Poświęcał niedzielę i trochę wolnego czasu na rzecz duszpasterstwa pracy, na działalność apostołską, jaką biskup powierzył mu, we współpracy ze swym

asystentem.

Długo trwały przygotowania do stałego diakonatu, w niezapomnianym dniu wyświęcenia, prosił Ducha Świętego o jeden dar: dar pobożności.

Widocznie Pan wysłuchał go w stopniu nadzwyczajnym, gdyż nasz diakon modlił się nieustannie i z takim zapałem, że nawet długie podróże ciężarówką zupełnie go nie męczyły i czas mijał mu niepostrzeżenie.

Co więcej, jego gorący zapal powodował nawet pewne kłopoty. Wiele razy zdarzyło mu się przez nieuwagę zmylić drogę i musiał nadrabiać wiele kilometrów.

Kilka razy ocierał się ciężarówką o "guard-raill" a nawet zdarzyło mu się znaleźć z przyczepką w rowie. Jego towarzystwo ubezpieczeniowe zaczęło zwracać uwagę na niego i zaliczać go do kierowców raczej roztargnionych.

Poważniejszy wypadek zdarzył się, gdy powracając do Włoch z Limousine tirem pełnym cielaków, przeznaczonych dla wielkiej hodowli w okolicach Lodi, podczas odmawiania modlitwy do Najświętszego Sakramentu tak pochłonięty był kontemplowaniem jednej z wielu dzwonnicy romańskich, że wypadł z drogi na zakręcie i wywrócił cielaki na zieloną łąkę.

Szkody wywołane tym wypadkiem okazały się poważne. Diakon - szofer zrozumiał, że tak dalej nie wolno mu postępować.

Udał się z pielgrzymką pokutną do Sanktuarium w La Salette i przed wizerunkiem Matki Bożej zaczął płakać, modląc się z całego serca, błagał Madonnę, by uzdrowiła go z niebezpiecznych roztargnień.

Najświętsza Panna długo na niego patrzyła i wysłuchiwała słów płynących z serca umiłowanego diakona. Przekonana, że jego niebezpieczne roztargnienie polegało na intensywnej modlitwie, poruszona głębokim duchem jego pobożności, pewna zgody Pana, oddelegowała jednego ze swych Aniołów, należących do Chóru (Anioła Stróża odpowiednio wyposażonego w międzynarodowe prawo jazdy) i przeznaczyła go dla ochrony diakona, aby w czasie jego długich podróży, towarzyszył mu jako drugi szofer.

Nie dziwcie się więc, jeśli przypadkowo wzdłuż dróg Europy, spotkacie przy kierownicy pewnego zielono-pomarańczowego TIRa, szofera z wąsami, który przy

kierownicy modli się gorąco z wielkim zapalem.

Prawdopodobnie jest to właśnie on: ten diakon, który prowadzi ciężarówkę w towarzystwie Anioła Stróża, posiadającego międzynarodowe prawo jazdy.

Bądźcie spokojni. Nie ma mowy, by zdarzył się wypadek!

Wśród wszelkiej modlitwy i błagania módlcie się w Duchu (Ef 6,18).

Anioł kościelnego

Głęboka, piękna przyjaźń łączyła prostego kościelnego ze wspaniałej bazyliki św. Barnaby, znajdującej się w samym sercu Marino, w cudownej okolicy Castelli Romani - z Aniołem Stróżem. Przyjaźń szczerą, braterską za dnia.

Jednak późnym wieczorem nieuchronnie załamywała się. Następował kryzys zniechęcenia, momenty niezrozumienia. Stawała się źródłem ciągłych załamań, a czasem również niepokojących wyrzutów sumienia.

Faktycznie bowiem, gdy kościelny zagłębiony wygodnie w fotelu po godz. 22.00, przed butelką mocnego, musującego wina z okolic Castelli, dochodził do trzeciego kielicha, zaczynał widzieć siedzącego naprzeciw niego z wyrazem wymówki, własnego Anioła Stróża.

Anioła Stróża, uprzejmego i eleganckiego blondyna w białym fraku z westką ozdobioną złotymi arabeskami, w białej koszuli z hiszpańskim, koronkowym kołnierzem koloru kości słoniowej.

Zaczynali od gorących dyskusji, które przeciągały się z coraz to intensywniejszym nasileniem. Wpierw były wyważone i ożywione, potem stopniowo coraz gwałtowniejsze i burzliwe.

Temat wiodący był prawie zawsze ten sam: - Co przeważa w sercu Boga?

Sprawiedliwość czy miłosierdzie?

Anioł Stróż otwarcie skłaniał się ku sprawiedliwości. Tonio tymczasem - kościelny pijaczyna - opowiadał się z wyrachowaną stronniczością - za nieskończonym miłosierdziem Bożym.

Czasami dyskutowali aż do późna w nocy, dokładnie aż do czasu, gdy kościelny zmęczony dyskusją, a przede wszystkim kielichami wina z Castelli, zapadał w pijacki

sen aż do rana, gdy musiał dzwonić na Ave Maria.

W ubiegłym roku na początku Wielkiego Postu, poprosiwszy oficjalnie o audiencję u Dobrego Boga, Idąc przed barokowym ołtarzem bazyliki, kościelny Tonio wyzalał się z całego serca: - Panie - powiedział - to nie jest w porządku, by mój Anioł zawsze miał rację! To nie jest w porządku!... Jak można dyskutować i zwalczać argumenty czystego Ducha? Aby rozpocząć uczciwą, bezstronną, obiektywną konfrontację, jest absolutnie konieczne, byśmy dyskutowali z równych pozycji! - A więc dobrze - wydało mu się, że usłyszał te słowa odpowiedzi z nieba.

Następnego wieczoru, po raz pierwszy, rzecz zupełnie niesłychana, Toniowi udało się skłonić swego Anioła Stróża do wypicia kropelki, jedynie kropelki wina z Castelli. Był to pierwszy wyłom, który zaczynał rozbijać masywną zaporę.

Z wieczoru na wieczór "kropelka białego wina" powiększała się w postępie geometrycznym również w kieliszku Anioła Stróża, który coraz bardziej delectował się bachusową radością ziemską. Wesołość i braterskie zrozumienie wzrastało szybko, powiedziałbym... błyskawicznie.

Pod koniec Wielkiego Postu, po paschalnych uroczystościach Wielkiej Soboty, nasi przyjaciele wypili... każdy całą butelkę wina z Castelli! Byli zgodni we wszystkim, gdy nastał świt Wielkanocy.

Zrównani zupełnie w poglądach, uznali jednogłośnie nieskończone miłosierdzie Pana.

A około godz. 4.00 nad ranem, ku ogromnemu niezadowoleniu zaspanych sąsiadów, śpiewali na cały głos, jednym sercem i jedną duszą aż po ranne dzwonicie, psalm 135: Chwalcie Pana, wieczne jest Jego miłosierdzie!.

Bo jak wysoko niebo wznosi się nad ziemią, tak można jest Jego łaskawość dla tych, którzy się Go boją (Ps 103,11).

Biegnij siostró Bianco!

W wyniku długich poszukiwań, prowadzonych w sposób naukowy przez pewne mediolańskie biuro marketingu i po długiej selekcji przeprowadzonej przez matkę Przełożoną wśród zakonnice, siostra Bianca została wybrana i wysłana do Afryki

Saharyjskiej wraz z jeszcze jedną siostrą. Miały tam ożywić biedną, małą stację misyjną.

Przekonana, że jedna tylko rzecz jest konieczna, pobłogosławiona przez Matkę Generalną siostra Bianca przybyła do misji, zagubionej wśród baraków zbudowanych z pni drzewnych, trzciny i gliny, na skraju buszu równikowego. Przybyła tam z dwoma ogromnymi kontenerami o pojemności 180 kwintali każdy, pełnymi rozmaitych rzeczy pierwszej, drugiej i trzeciej potrzeby.

Zawsze w biegu, niestrudzona, z małą tylko pomocą nieśmiałej siostry, która umiała się tylko modlić, siostra Bianca w krótkim czasie urządziła ładny domek wśród palm, maleńką kapliczkę, dużą kuchnię z instalacją elektryczną i słonecznymi panelami, kazała zbudować nowoczesne ambulatorium, szkołkę dla murzynków i salkę dla chóru misji. Naturalnie zorganizowała wszystko... po mediolańsku, w sposób szybki, porządny, dokładny, skuteczny.

Siostra Bianca nie wiedziała, co to jest odpoczynek. Pod prażącym słońcem, niczym strzała jeździła na "montaine-bike" po czerwonym, piaszczystym trakcie, podczas gdy małpki na drzewach skakały i towarzyszyły jej wesołym pokrzykiwaniem.

193

Również murzyni, dzieci i dorośli, starcy na jej widok śmiali się radośnie. Jednak nie w sposób normalny, śmiali się na cały głos.

A wiecie dlaczego?

Wydawało im się, że siostrę ukąsiła tarantula, gdyż nigdy nie zatrzymywała się choć na chwilę. Była ciągle w biegu. A kto ciągle biega - według starych, miejscowych wierzeń afrykańskich - jest głuptasem.

Głuptasem jak małpy, które nieustannie się poruszają, usuwają sobie pchły.

Głuptasem jak wiatr, który przybywa z pustyni i biega przynosząc czerwone chmury piasku i nie wiadomo dokąd się spiesząc.

- Bóg - powtarzają starcy ze wsi - stworzył czas i stworzył go dużo.

Ciągłe bieganie oznacza, że nie ufa się Bogu. Zapomina się, iż On chodzi powoli, ale dociera punktualnie. W odpowiednim momencie.

Niepokój wywołany zbytnim pośpiechem jest szkodliwy, niepotrzebnie niszczy.

Wywołuje śmiech, nie tylko na ziemi afrykańskiej.

Również w niebie.

Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem! (J 13,15).

Serenada

Janos Feier był biednym wieśniakiem węgierskim, który spędzał całe życie w nędznej wsi Alföld, niedaleko Cegled.

Jego egzystencja była twarda, naznaczona ciężką pracą w smutnym pejzażu bezkresnego i milczącego stepu. Mieszkał z żoną i dziećmi w skromnym domu, zbudowanym z trzciny i gliny, pokrytej białym wapnem. Przed domkiem znajdowało się małe podwórko, na skraju którego stała studnia.

Janos uprawiał ziemniaki, zboże, kukurydzę, trochę tytoniu na własny użytek i mały ogródek z sałatą, bakłażanami, pomidorami i papryką.

Po cudownym powrocie ze straszliwej wojny w Rosji zaczął hodować trochę koni na stepowych pastwiskach. Jednak okupacja w 1956 r. i przymusowa kolektywizacja, odebrały mu również jego skromną własność razem z możliwością wyznawania wiary i modlenia się w kościółku we wsi, zamienionym na kino ludowe.

Jedyna pociecha, jaka mu pozostała - to możliwość gry na starych skrzypcach z czerwonego drzewa czereśniowego, spuścizna rodzinna. Grywał w czasie długich zimowych wieczorów w gospodach miasteczka, akompaniując ognistemu czardaszowi wieloma melodiami i wzmacniając się potem ogromnymi porcjami gulaszu i paprykarza, podlewanymi morzem tokaju.

Po wyzwoleniu udał się z żoną i dziećmi (dwoma synami i trzema córkami) na pielgrzymkę do starożytnego opactwa Thiany, nad Balatonem. Tutaj w podzięce zrobił ślub.

Ponieważ był zwykłym starym wieśniakiem, zmęczonym i niewykształconym i nie znał odpowiednich słów modlitwy, przyrzekł Madonnie z Thiany, że będzie grał wyłącznie dla Niej, co wieczór przed udaniem się na spoczynek, serenadę miłości na swych starych skrzypcach z czerwonego drzewa czereśniowego.

Dotrzymał słowa.

Co wieczór, podczas gdy jego stara żona odmawiała różaniec, Janos Feier brał skrzypce i zaczynał grać dla Madonny jedną ze swych gorących serenad cygańskich, pełnych uczucia, na wzór miłosnych deklaracji.

Były to te same melodie, które grywał pod gwiazdzistym niebem dawno temu, pod oknami swej narzeczonej. Te same, które grywał w czasie hałaśliwych uroczystości weselnych swych dzieci, wśród krzyków radości, tłuczonego szkła, tańców i wystrzałów i harców młodzieży na koniach. Jednak z biegiem lat jego wieczorna serenada do Maryi nabierała charakteru długiej, melodyjnej, gorącej modlitwy.

Gdy umarł, mając 85 lat, Janos Feier został pochowany z różańcem oplatającym jego dłonie i ze skrzypcami z czerwonego drzewa czereśniowego, ułożonymi obok jego serca, w trumnie z białej brzozy, w trumnie ludzi ubogich.

Jednak gdy tylko dotarł do nieba na tego biednego grzesznika, który objadał się gulaszem i nadużywał tokaju czekała niezwykła niespodzianka: niezliczona ilość aniołów wyszła mu naprzeciw, grając na skrzypcach koloru perłowego serenadę cygańską, która zalała ognistą melodią i rytmem czardasza całe niebo.

Najświętsza Maryja Panna osobiście przyjęła go, uśmiechając się i podając mu jego stare skrzypce z czerwonego drzewa czereśniowego, mówiąc: - Dziękuję ci Janosie... chodź! Co wieczór nadal będziesz grywał dla Mnie!

W bezkresnym stepie węgierskim, wzdłuż brzegów Dunaju opowiadają, że niekiedy w majowe wieczory, słyhać jeszcze dzisiaj w oddali, pod gwiazdami, echo zachwycającej melodii czardasza węgierskiego, granego przez Janosa Feiera.

Wówczas będę zawsze imię Tve opiewał i dnia każdego wypełniał me śluby! (PS 61,9).

Morderca myszy w niebie

Młoda małżonka dzielnego rybaka sycylijskiego została wdową w wieku 28 lat.

Zginął on w czasie straszliwej burzy na morzu, w ostatni czwartek marca.

Wyłynął pod wieczór razem ze swym przyjacielem, zarzucił sieci i złowił wiele ryb: cefali i śledzi, ale w drodze powrotnej stara łódź z wygaszonymi światłami

"lamparami" znalazła się w centrum nagłej, gwałtownej burzy.

Gigantyczna fala wyrzuciła łódź i rozbiła ją, a dwaj doświadczeni rybacy zginęli w szalejących falach. Ich biedne ciała morze wyrzuciło na ląd dopiero po upływie 10 dni.

Zrozpaczona żona została sama z dwójką małych dzieci, szybko opuszczona przez wszystkich.

Mieszkała w małym pomieszczeniu na parterze trzypiętrowego domu, o dwa kroki od plaży. Emerytura po mężu była bardzo niska i biedna kobieta była zmuszona pracować jako służąca w hotelach i pensjonatach miasteczka. Jedno z jej dzieci uczęszczało do przedszkola, drugie do szkoły podstawowej.

Pewnego dnia, gdy młoda wdowa była sama w domu, usłyszała podejrzany szelest. Zauważyła, że ogromna, szaro-różowa mysz, prawdopodobnie przybyła z piwnicy, gryzła coś pod dywanem. Kobieta krzyknęła ze strachu i wybiegła z domu, w poszukiwaniu pomocy.

Na szczęście na pierwszym piętrze mieszkał stary emeryt, dawny doker i wielki miłośnik piwa, rumu i innych likierów. Szybko znalazł się na parterze i mocnym kijem z młodzieńczą werwą zabił wielką mysz. Potem delikatnie wziął za ogon i zakopał w ogródku.

Niestety była to tylko zapowiedź całej serii inwazji, które z powodu jakiejś awarii zaistniałej w starym kanale ściekowym, przebiegającym w pobliżu, stały się coraz częstsze.

Biedna wdowa, która czuła nieopanowane obrzydzenie, wywołane tymi zwierzakami, była sterroryzowana. Na szczęście stary emeryt z pierwszego piętra, ilekroć słyszał jej wołanie o pomoc, szybko starał się uwolnić ją od gryzoni.

Ciągnęło się to przez kilka lat.

W końcu dwóm synom wdowy, którzy w międzyczasie wyrosli i zmeźnieli, udało się znaleźć radę i zapewnić spokój matce.

Pewnego dnia stary emeryt z pierwszego piętra, po obfitym uraczeniu się rumem z Jamajki z okazji jakiegoś święta rodzinnego, umarł nagle w czasie snu, bez jednego lamentu i znalazł się nieoczekiwanie w przedśionku nieba.

Obok niego znalazł się młody, blady zakonnik, zmarły nagle po krótkim, ale intensywnym życiu zakonnym, bogatym w umartwienia, pokuty i wyrzeczenia. Zdziwił się bardzo widząc się w przedsionku raju w towarzystwie tego muskularnego dokera portowego, śmierdzącego alkoholem, o rumianej twarzy pożeracza makaronu, okraszonego sardynkami, pieprzem, cebulką oraz zjadacza kolosalnych ilości dymiącej zupy rybnej.

- Panie - spytał zniecierpliwiony Dobrego Boga, gdy wreszcie znalazł się przed Nim. Co się dzieje? Ja spędzałem wszystkie młode lata rezygnując z przyjemności świata. Żyłem w milczeniu, wędrowałem po pustyni. Biczowałem moje ciało i umartwiałem je postami, wyrzeczeniami, umartwiałem mój umysł... Jak to możliwe, że teraz znajduję się w towarzystwie tego pijaczyny? Gdzie się podziała Twoja sprawiedliwość?

- Widzisz synu - odpowiedział mu Pan z niebieskim spokojem - znajdujesz się w niebie, czy to ci nie wystarcza? Może jesteś zazdrosny, że pragnę dać coś twemu bratu?

To, co uczyniłeś ty, młody, szlachetny zakonnik, uczyniłeś, jeśli się nie mylę, przede wszystkim dla siebie, dla dobra twojej duszy, dla twego zbawienia, aby uzyskać nagrodę wieczną. Otrzymałeś ją? Tak? A więc jesteś zaspokojony.

Natomiast ten portowy robotnik, który przez lata nosił na piecach całe kwintale w workach, dodając sobie sił kieliszkiem rumu i kiłkoma wielkimi popijawami, w starości zabił wiele myszy i przez swą pomoc uwolnił biedną wdowę od strachu. Czy to wydaje ci się mało?

Ty braciszku pracowałeś dla siebie. On pracował dla Mnie.

Jak mógłbym wypełnić moje przyrzeczenie bez Niego?

Zdumiony i oszołomiony braciszek spytał zaciekawiony: - Jakie przyrzeczenie, Panie?

W tym momencie chór aniołów zaczął śpiewać na 12 głosów z wielkim zapalem psalm 67: Ojcem dla sierot i dla wdów opiekunem jest Bóg w swym świętym mieszkaniu!

I tak stary pijaczyna, morderca myszy, wszedł z podniesioną głową i pełnym prawem

do królestwa Niebios.

Pan ... chroni sierotę i wdowę (Ps 146,9).

Przymusowy pobyt bociana

Młody, zakochany bocian, urwis i roztrzepaniec jak wszyscy młodzi, został nagle wezwany do Urzędu Doręczeń Ośrdka Niebieskiego - "Dar życia" i posłany pospiesznie z paczuszką zawierającą rodzące się dziecko do młodej pani zamieszkałej pod nr 78 m. 14 na 6-Ave-nue w Nowym Jorku.

Był to adres znajdujący się na jego stałej liście pospiesznych doręczeń Niebo - Nowy Jork. Już od 3 lat pracował na niej.

Młody bocian udał się z numerowym kwitem do magazynu i wesoło pogwizdując odebrał swój cenny pakunek w białym, lnianym płótnie, materiale otrzymanym od Aniołów Stróżów dzieci i poleciał na ziemię, kierując się do Stanów Zjednoczonych i lądując w Nowym Jorku.

Oddawszy delikatnie cenną przesyłkę pod nr 78 m. 14, na 6 Avenue, powrócił szybko do nieba.

Wkrótce potem zaczął się dramat.

W pośpiechu, w wyniku lekkomyślności, młody bocian pomylił pakunek i zamiast zanieść białej pani jej białe niemowlę, zaniósł jej dzieciątko, które po paru dniach okazało się czarne. Dziecko było śliczne i miłutkie, ale czarne. Zdrowe i żwawe... ale koloru czekoladowego.

Możecie sobie wyobrazić konsekwencje tej pomyłki! Zamęt, podejrzania, kłótnie w rodzinie, oskarżenia, niechęci, interwencje teściowych, adwokatów z rozprawą w sądzie, dotyczącą separacji małżonków z winy żony i w końcu rozwód!

Rodzina zrujnowana z powodu błędu popełnionego w Niebieskim Ośrodku

Bocianów! Nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło!

Błąd był zbyt poważny, by można było przejść nad nim do porządku dziennego.

Pan życia, zawezwawszy niedbałego bociana, skazał go ipso facto na przymusowy pobyt w Europie przez 6 miesięcy, z zadaniem budowania sobie co 15 dni całkiem nowego gniazda na kominach kliniki ginekologicznej, w jednej z wielkich stolic

Francji, Hiszpanii, Włoch, Austrii i Niemiec.

Była to straszliwa lekcja!

Młody bocian przez 6 miesięcy był zmuszony z wysokości swych europejskich gniazd, oglądać z obrzydzeniem i oddychać niebieskawym i zepsutym powietrzem owoców aborcji niszczonej w piecach szpitalnych. Miał też możliwość z wysokości obserwowania łez i wyrzutów sumienia matek i ojców, bojących się nowego życia. Był zmuszony rejestrować egoizm świata, zamkniętego dla nadziei i pozbawionego okien otwartych na jutro.

Gdy skończyła się twarda pokuta i bocian mógł wreszcie wrócić do nieba, podzielił się z towarzyszami pracy swym doświadczeniem na zebraniu bocianów rozprawiających o pakunki z nieba. Opowiedział wśród łez, jak poważną jest sprawą wśród ludzi... i również wśród bocianów, ryzyko utracenia wiary w drogocenne życie.

Od tego czasu, jak nam wiadomo, pomyłka podobna do tej, jaka wydarzyła się w Nowym Jorku, nigdy się nie powtórzyła.

Przynajmniej... z winy bocianów.

Cenne jest w oczach Pana moje życie! (.1 Sm 26,24).

Stacja tranzytowa

Młody, 20 letni globe-trotter, syn bardzo bogatego tatusia, jednego z wielu królów kawy brazylijskiej, od 3 lat wędrował po drogach świata w poszukiwaniu sensu życia i w celu znalezienia miejsca stałego pobytu.

Zwiedzał miasta i wsie, stacje klimatyczne i getta narkomanów, campusy uniwersyteckie i śmierdzące "bidonvilles" biedoty i przestępców, parki rozrywki, biblioteki i miasta rozpusty, pola golfowe i wschodnich guru, zebrania polityków i skupiska strajkujących.

Ale nikt nie umiał odpowiedzieć na jego poszukiwania sensu życia. Nikt nie potrafił wskazać mu kierunku drogi młodzieńca takiego jak on, który się czuł powołany do wielkich rzeczy.

Stwierdził jednak i upewnił się co do jednego: nikt tu na ziemi nie wydawał się mu

całkowicie szczęśliwy i zadowolony. Spotykał jedynie ludzi niezadowolonych. Skarżyli się wszyscy: biedni i bogaci, nędzarze i miliarderzy, dziennikarze i gospodynie domowe, uczeni i dzicy, dzieci i starcy, żony i mężowie, zdrowi i chorzy, generałowie i komedianci... Absolutnie wszyscy! Było to stwierdzenie na poziomie uniwersalnym.

Widocznie ziemia była jedynie stacją tranzytową. Stacja docelowa - musiała więc znajdować się poza ziemią.

Glob-trotter, przeszedłszy wszystkie drogi naszej planety, rozpoczął poszukiwanie dróg niebieskich.

Rozpoczęła się trudna wędrówka. Ale wytrwale kontynuując ją, każdego dnia coraz lepiej rozumiał, że wysiłek nóg nie wystarcza. Koniecznym było rozpalenie pragnieniem serca. Korzeń każdej prawdziwej zdobyczy i przystań każdej autentycznej radości znajdują się "wewnątrz" nas.

I zauważył, że Ktoś przyciąga go do góry. Słodyczą podmuchu wiatru i siłą płomienia ognia.

Potężniejszą od siły grawitacji, była siła Miłości.

Pewnego dnia odkrył, że posiada skrzydła u serca, dar Ducha Świętego.

Glob-trotter powrócił do domu, pomiędzy swoich, pomiędzy tylu ludzi niezadowolonych, aby świadczyć dzień po dniu, że jedynie ten, kto wierzy w Miłość, znajdzie swoją stację docelową.

Myśmy poznali i uwierzyli miłości, jaką Bóg ma ku nam! (1 7 4,16).

Nomen omen

Ostatni potomkowie starego plemienia Indian z południowej Dakoty, rodzina składająca się z 3 osób rozbiła namiot na wpół opuszczonej wsi nad brzegami Missouri. Postanowili definitywnie porzucić swój dziki świat i wejść dobrowolnie do tak zwanego świata cywilizowanego. Zamieszkali w miasteczku Morbridge.

Postanowili zmienić obyczaje i język, nawyki pracy, ubrania i mieszkania, tradycje i zwyczaje, ale chcieli absolutnie zachować swe imiona.

Imienia... nie. Imienia nigdy się nie zmienia!

I to stało się ich ruiną.

Ojciec zwyczajem indiańskim nazywał się Serce kogucie, matka Skórka chleba, a syn Palce w nosie.

Serce kogucie po przybyciu do Morbridge został przyjęty jako strażnik nocny w miejskim Supermarkecie. Jednak gdy zauważono, że przy każdym wybuchu petardy karnawałowej, przy każdej błyskawicy, przy każdej kłótni nocnej kotów - Serce kogucie był przerażony, wzywał policję i straż pożarną, poruszał pół miasta - zwolniono go. Do tej pracy potrzebny był ktoś inny, a nie Serce kogucie! Potrzebna była Wątroba liva! I Serce kogucie został bezrobotnym.

Matka Skórka chleba znalazła pracę w Domu Opieki Kwiat czułości. Jednak jej twardy charakter, surowy, anachroniczny, szybko znalazł się w konflikcie z większością starców, którzy uznali Skórkę chleba, za niezbyt odpowiednią dla ich słabych szczęk i wymogów pogody ducha i czułości, a więc szybko ją zwolnili.

Nie lepiej powiodło się ich synowi Palce w nosie, gdy postanowił zapisać się do Szkoły Hotelarskiej. Jak mógł jutro zostać przyjęty jako kucharz lub kelner do restauracji o dobrej reputacji. Kto zaufałby kucharzowi Palce w nosie?

Dyrektor Instytutu, poparty jednomyślnym zdaniem Rady uznał Palce w nosie za osobę psychologicznie nie przystającą do dyplomu Szkoły Hotelarskiej i odrzucił podanie.

Co robić? Trzej członkowie małej rodziny indiańskiej po tylu rozczarowaniach zostali zmuszeni do zmiany imienia.

Ta zmiana, biorąc pod uwagę przywiązanie do zwyczajów, początkowo nie wiele pomogła. Wreszcie postanowili zmienić zupełnie swój charakter, mentalność i zmienić swój styl życia, a przede wszystkim serce.

Dzisiaj ojciec ma na imię Konrad i jest listonoszem. Przez cały dzień biega po dzielnicy, którą mu przydzielono. Matka przybrała imię Angelica i jest cierpliwą baby-sitter trójki dzieci państwa Latery. Syn, teraz 25-letni, ma na imię Armando, jest w policji strzelcem wyborowym, zawsze odpowiednio uzbrojonym. Jest prawą ręką szeryfa.

Nomen omen! Imię również jest życzeniem, programem życia.

Właśnie dlatego jest tak trudno nazywać się i być autentycznym chrześcijaninem. Jeśli mnie prześladowali, to i was będą prześladować! (J 15,20).

Notes służbowy

Krótkie, coroczne wakacje przysługują również - tak nakazują związki zawodowe - mojemu Aniołowi Stróżowi.

Zdałem sobie z tego sprawę w związku z uczuciem pewnego osamotnienia i zakłopotania, które ogarnia mnie czasami jesienią, gdy opadają liście, gdy niebo ubiera się w tysiące kolorów.

Anioł - zastępca, może z powodu nieśmiałości, jak to się przydarza wszystkim nowicjuszom, trzyma się raczej z daleka i nieświadomie wywołuje we mnie pewne poczucie odosobnienia i jakby opuszczenia.

W tym roku - rzecz nie do pomyślenia - nigdy nie zaistniała w przeszłości, mój normalny Anioł Stróż, w wyniku pośpiechu, zapomniał zabrać swój osobisty notes służbowy i pozostawił go pod lampą, na stoliku nocnym.

Jak powstrzymać się od zaglądnięcia do notatek, by przekonać się, co też On pisze o mnie na temat mojego codziennego zachowania?

Rozczarowałem się.

Każda strona notesu mojego Anioła Stróża zawierała sporządzone na komputerze, różne kolorowe wykresy, inne każdego dnia: wykresy czerwone, białe, czarne, żółte, zielone, szare... a nawet (nieliczne) w kolorze złotym.

Poprosiłem o konsultacje kilku docentów z wydziału Administracji, ale nikt nie potrafił mi podać prawidłowego klucza do odczytania zapisu komputera, będącego w użyciu w niebie.

Co wieczór jednak, kładąc się do łóżka, pytałem siebie: - Jakiego koloru był dzisiejszy dzień?

I mam wrażenie, że Ktoś stojący przy mnie, powróciwszy z wakacji, uśmiecha się nieznacznie.

Jeżeli zaś sami siebie osądzimy, nie będziemy sądzeni! (1 Kor 11,31).

Drogi Pana

Mufti z El Kabar został wysłany przez Allaha, który w czasie zwyczajowej sjeisty popołudniowej wezwał go i przeznaczył do ważnej pracy misyjnej. Udał się on na wielbłądzie drogą karawan na pustynię Arab Ek Elos, aby nawracać wieś niedowiarków.

Wziął ze sobą wszystko, co było potrzebne w trudnej i szlachetnej misji zdobywcy dusz: tekst Koranu, kilka kilogramów soli, daktyle, wodę w dużych ilościach, placki i różańce, mały namiot, trochę drzewa i naftę, strzelbę i sztylet, cukierki dla dzieci, tytoń dla dorosłych, lusterka i koraliki dla zwierząt.

Podróż pośród wydm pustyni, według wskazówek uzyskanych od starych ludzi z El Kabar, miała trwać 6 dni. Wszystko przebiegało doskonale aż po wieczór czwartego dnia, gdy nagle Mufti zauważył, że jest otoczony przez zgraję wygłodniałych hien. Wystrzelił kilkakrotnie ze strzelby i zabił kilka z nich. Reszta oddaliła się skowycząc. Potem rozpaliwszy ogień, próbował zasnąć. Jednak nad ranem nagle pojawił się straszny wiatr pustynny Ghibli i zawył z taką siłą, że porwał mu namiot, księgę Koranu, drzewo, dary dla ludzi ze wsi Sullanah. Biedny Mufti zdołał uratować jedynie trochę wody, wielbłąda, strzelbę i sztylet.

Na wpół zagrzebany w piasku, dobry muzułmanin był uwięziony przez Ghibli trzy dni i trzy noce. Gdy skończyła się burza piaskowa i mógł podnieść się z wydmy, zauważył, że zniknął wielbłąd, a z nim reszta wody i wszystko inne.

Ukląkł na piasku i zwrócony ku dalekiej Mekce, Mufti błagał zrozpaczony: - Wszchemocny i miłosierny Allahu! Dlaczego wysłałeś mnie na zgubę? Ja usłuchałem ciebie, ale ty... dlaczego mnie opuściłeś?

Potem podniesiony na duchu, powtarzając z wiarą inwokację "Inshallah", starał się zorientować w tym morzu piasku i rozpoczął trudną wędrówkę boso. Następnego dnia jednak, pod parzącym słońcem, straszliwie spragniony, wyczerpany, na granicy obłądu, rzucił się na gorący piasek, godząc się na śmierć.

Znaleźli go przypadkowo, pod koniec następnego dnia, Beduini z karawany wielbłądników, powracających do własnej wsi w oazie Sullanah. Był zemdłony, dogorywający, odarty ze wszystkiego, rozgorączkowany, cierpiący na halucynacje.

Gdy wreszcie przyszedł do siebie po trzech dniach, Mufti z El Kabar leżał na wygodnym posłaniu, w cieniu palm, w oazie Sullanah.

Cała ludność wsi zgromadziła się wokół niego, klęcząc pełni czci wobec tego męża Bożego, który wyruszywszy bez żadnego środka ziemskiego, огоłocony ze wszystkiego, bezbronny i bez środków do życia, uzbrojony jedynie w wiarę w pomoc Allaha wszechmogącego, zdołał boso i bez zapasów przejść przez pustynię, by przynieść im słowo Koranu i dar wiary w Allaha wielkiego, jedyne, miłosiernego. Mufti naturalnie zamilczając prawdę, ograniczył się do odwzajemnienia im czci, radosnym, długim uśmiechem refleksyjnego zadowolenia.

Niewierząca wieś Sullanah, nieoczekiwanie i to w krótkim czasie nawróciła się. Któż opowie dzieła potęgi Pana, ogłosi wszystkie Jego pochwały? (.Ps 106,2).

Stuletni mnich

Był dziekanem prawosławnych mnichów w klasztorze na Górze Athos.

Liczył prawie sto lat, miał zrujnowane zdrowie, był prawie zupełnie ślepy, całkowicie głuchy, potrafił wymówić półgłosem zaledwie kilka niezrozumiałych słów. Jedynie Bóg umiał go dobrze zrozumieć.

A on nieustannie z Bogiem rozmawiał.

Każdego dnia po południu kazał wozić się do kościoła, przed główny ołtarz i tam siedział nieruchomo w adorującym milczeniu aż do wieczora.

Podczas gdy mnisi śpiewali uroczyste nieszpory, wielką liturgię utkaną ze świateł i śpiewów, bogatych szat liturgicznych, paramentów, ozdób, ceremonii i okadzeń, pokłonów i przyklęknień, stary, prawie stuletni mnich, wyłączony ze wszystkiego, modlił się tak każdego dnia z głębi serca:

- Panie Wszechmocny, kochający i miłosierny. Oto stoję przed Tobą, biedny grzesznik, bez głosu i bez możliwości uwielbienia Ciebie śpiewami mojej młodości. Moje usta z powodu sędziwego wieku i wielu chorób, stały się suche i nieme. Proszę Cię, Panie: spraw, by huk fał, szumiące i pieniające się wszystkie morza świata, śpiewały Ci i powtarzały nieustannie moją miłość. Spraw, by nuty skrzące się tysiącami melodii, śpiew wszystkich ptaków, szelest

każdego listka na drzewach w lasach - wyrażały moje uwielbienie i moją miłość.

Panie, nie mogę już wznosić ku Tobie moich oczu. Zagasły. Jestem zupełnie ślepy.

Lśniące kolory wszystkich kwiatów, rozliczne barwy pór roku, cudowna gra kaskad i palety tęczy całego świata, niechaj mówią Ci o miłości, jakiej moje oczy zamglone i szare nie umięją Ci wyrazić.

Wysłuchując z czułością przez te lata zawsze tej samej deklaracji miłości, pewnego dnia, Pan powiedział do niego: - Ojcie Atanazy, ty powtarzasz od zbyt dawna te same słowa. Ale zapominasz powiedzieć mi, że ty... nie jesteś tylko ślepy i niemy. Jesteś też głuchy.

Otóż - mówił dalej Pan - od dzisiaj będę ci o tym przypominać.

Nadszedł dla ciebie wielki dzień. Wreszcie po tak długim Moim milczeniu, będziesz mógł posłyszeć Mój głos. Twoimi uszami! I będziesz go słyszał zawsze! Przez całą wieczność!

W ten sposób przepełniony radością ojciec Atanazy, poznał w tym dniu wielką tajemnicę: zbliżała się do niego śmierć. Drzwi Raju otwierały się wreszcie dla jego pragnienia Miłości.

Na całą wieczność!

W ucisku bądźcie cierpliwi, w modlitwie wytrwali! (Rz 12,12).

Kim ty jesteś?

- Mistrzu, kim jesteś? - zapytał pewien młodzieniec, spragniony światła starego Mędrca, który żył samotnie na Górze. - Jest to pytanie, które mnie gnębi w dzień i w noc. Pytam o to siebie nieustannie: "kim ty jesteś"?

Ale nie potrafię dać sobie jasnej odpowiedzi.

Mistrz odpowiedział:

- Jest to ważne pytanie i nie pozostanie bez odpowiedzi.

Gdy budzisz się rano, jak podchodzisz do życia? Czy wstajesz z łóżka jedynie po to, by "coś zrobić"?

Wówczas jesteś niewolnikiem.

Może wstajesz, "by kochać"?

Wówczas jesteś Synem Boga: wolnym i bogatym w dobro.

Jedni drugich gorąco czystym sercem miłujcie! (1 P 1,22).

Kot księdza

Naturalnie kot proboszcza był czarny.

Ponieważ pochodził ze starej rodziny kapłańskiej, która od zawsze mieszkała na probostwie, miał na czarnym futerku wokół szyi długą, wąską, białą smugę, tak dobrze zaznaczoną, że przypominała koloratkę na czarnym "clergyman".

Kot przebywał zazwyczaj w ogrodzie, polując na jaszczurki i myszki polne i przechadzał się w oznaczonych godzinach, zatrzymując się na dłużej, na dachach kościoła parafialnego, na Oratorium i przyległym probostwie, jakby był zatopiony w modlitwie.

Tego roku, gdy kończył się zbyt długi okres Wielkiego Postu, nasz Pippo (tak został nazwany na cześć Św. Józefa Robotnika) był chudy jak śledź wędzony i wyleniały jak małpka z Gibraltaru.

Jego ksiądz - świątły człowiek Boży - który brał wszystko zbyt poważnie i żył postanowieniami pokutnymi, postami nie tylko w piątek, ale we wszystkie dni Wielkiego Postu, nędznie go odżywiał, tak, że kot stracił prawie 2 kg tłuszczu i bardzo osłabł. Zauważyła to nawet biała kotka, którą Pippo spotykał od czasu do czasu.

Co zrobić?

W wigilię Wielkanocy, z sercem płaczącym, Pippo postanowił przejść do stanu świeckiego i opuścić na zawsze służbę na probostwie. Poszedł poszukać sobie innego pana.

Znalazł go bez trudu, przymilając się kilka razy i liżąc nogi (bardzo grube) potężnej pani Bertoldi, żony bogatego przemysłowca, który posiadał kwitnącą fabrykę zmywarek. Po zainstalowaniu się w willi nowej pani Pip-po spędził niezapomniany tydzień wielkanocny, jedząc za czterech, prowadząc życie nieroba i w kilka dni powrócił do pierwotnej wagi.

Nie miał nic innego do roboty jak jedzenie, spanie, zaspokajanie kaprysów swej pani.

Prawdę mówiąc kaprysów miała ona mnóstwo.

Kazała służącej kąpać Pippa dwa razy w tygodniu, topiąc go w morzu piany brzydtko pachnącej i zawierającej środek przeciwko pchłom. Kazała go strzyć elegancko w specjalistycznym zakładzie "Beauty dog". Pippo czuł się absolutnie śmieszny, ale co było robić?

Gdy minęły pierwsze zaległości apetytu, smakołyki państwa zaczęły Pippa nudzić: resztki kawioru, sałatka z sepii, francuskie sery z gałką muszkatołową, rosółki z żab... i zaczął myśleć z tęsknotą o resztkach flaków, którymi delektował się w każdą sobotę w probostwie, o tych smakowitych kostkach króliczych i z drobiu, który parafianie przynosili proboszczowi. Marzył o talerzach polenty i o gorgonzoli, które od czasu do czasu, przede wszystkim z okazji zebrań księży, pozwalały mu śnić o zakątkach raj. Jednak tragedia wydarzyła się, gdy pani Bertoldi wyjeżdżając na miesiąc nad morze, wśród tysięcy pieszczot (wykonanych długimi paznokciami, polakierowanymi na czerwono, które wywoływały nieprzyjemne odczucia), przyniosła do domu świecący, srebrny łańcuszek z obrozą i nałożyła ją na szyję kota.

Potem wsadziła go do jasnego Mercedesa i zawiozła do Wenecji, na Lido, do luksusowego hotelu, powierzając go przechowalni psów i kotów. Najwięcej w niej było gości zagranicznych, nie znających języka włoskiego.

I tak nasz Pippo, objedzony, wyczesany, ozdobiony kokardkami, musiał towarzyszyć swej pani na plaży, prowadzony na smyczy, jakby był jakimś złoczyńcą. Co to za wstyd! I jakie upokorzenie! Czy warto było zamieniać głód odczuwany w poście na ten typ wolności? Czy ten wybór nie był sprzedaniem siebie?

Tej nocy Pippo uciekł.

Wiadomo, że koty posiadają nadzwyczajny zmysł orientacji i udaje się im powrócić do własnego domu nawet z odległości setki kilometrów.

Dzięki temu kociemu charyzmatowi, pewnego wieczoru proboszcz rozpoznał dobrze znane mu miauczenie, pochodzące z dachu. Wydawało mu się, że zobaczył w blasku księżyca na dachu kościoła parafialnego swego dzielnego Pippa w towarzystwie bardzo miłej kotki, nieśmiałej i białej, jakby owiniętej w welon.

Brakowało jedynie marsza weselnego Mendelsohna.

Był to jedynie powrót do domu, czy prawdziwy obrzęd ślubny?

Gdzie jest Duch Pański, tam jest wolność! (2 Kor 3,17).

Najlepsza Księża

Pewna pobożna pani, należąca do Towarzystwa Św. Wincentego, znana z ciągłego narzekania - od rana do wieczora, udała się po Mszy Św. do zakrystii, aby przedstawić proboszczowi, już po raz któryś z rzędu, spis swoich codziennych nieszczęść: istny cahier de doléances.

Już nie potrafiła tak dłużej żyć. Całe jej życie było jedną doliną łez.

Mąż, nałogowy palacz papierosów, kaszlał we dnie i w nocy niczym szary niedźwiedź, w sposób nie do wytrzymania. Ukochana suczka Marilina nabawiła się nosacizny, ona sama, pobożna pani cierpiała codziennie na meteoropatię i kryzysy alergiczne, szczególnie rano, wiosną i jesienią.

Ostatniej nocy jakiś kret wędrownik zrujnował jej ogród, niszcząc pięć wspaniałych róż Windsor i cały zagonek różnokolorowych tulipanów. Wreszcie jedna z sąsiadek grała Mozarta przez całe popołudnie w sposób dość męczący. Nawet nowa pralka, jeszcze na gwarancji, od kilku dni funkcjonowała wadliwie.

- Co mam robić, ojcze? - spytała, cierpiąc ogromnie, pobożna pani. Wobec pytania tak precyzyjnego, kategorycznego i wymagającego, odpowiedź proboszcza była również kategoryczna i zaskakująca: - Niech pani zmieni okulary!

Niedowierzając, dobra kobieta chciała upewnić się, czy dobrze zrozumiała. - Co ksiądz dobrodziej powiedział?

- Proszę zmienić okulary! - potwierdził kapłan, ciągnąc dalej: - Pani umie dostrzec wszędzie jedynie przykrości i nieszczęścia. Proszę zmienić okulary swego pesymizmu! Niech pani spróbuje spojrzeć na wydarzenia przez okulary cierpliwej i pozytywnej wiary chrześcijańskiej!

Dlaczego nie spróbuje pani dostrzec we wszystkich tych próbach uczestnictwa w krzyżu Jezusa? On jest podarunkiem nieba.

Pani skarży się na wszystko, co powinno być dla prawdziwego wierzącego znakiem umiłowania przez dobrego Boga.

Tajemnicą świętości jest umiejętność odkrycia, przyjęcia i uświęcenia krzyża straszliwej codzienności.

Krzyż nie jest oznaką nieszczęścia: jest znakiem zbawienia!

Otwórz moje oczy, abym ujrzał dziwy Twojego Prawa! (.Ps 119,18).

Wystrojony osioł

Na uniwersytecie w Salamance, kiedyś znanym z subtelności swych szczegółowych analiz bizantyjskich i z sybaryckich spekulacji filozoficzno-teologicznych, dyskutowano długo w 1438 r. (podobno nieprzerwanie przez cały tydzień w czasie sesji jesiennej) nad vexata quaestio biblijno-kościelno-duszpasterską: - Czy osioł, który miał zaszczyt niesienia na swym grzbiecie Jezusa w czasie Jego tryumfalnego wjazdu do Jerozolimy, był przyozdobiony, czy też nie.

Była to dyskusja gorąca i delikatna, z wielu powodów mozolnie prowadzona i podniecająca. Dyskusja, która zachowuje do dziś swą zadziwiającą aktualność.

Według kronik ówczesnych, rozpoczęto dyskusję od skrupulatnego sprecyzowania tak zwany status quaestionis.

Następnie można było rozwinąć obszerną analizę, dzięki szczegółowym badaniom zoologiczno-przyrodniczym, dotyczących różnych gatunków, które obecne są w części wschodniej basenu Morza Śródziemnego. Szczególną uwagę zwrócono na zwierzęta, najczęściej występujące w opowieści biblijnej: od muła po osiołka palestyńskiego, od źrebięcia osła po dzikiego pół-osła.

Eksperti różnych szkół biblijnych mówili potem obszernie o różnych "somari", pośrednich protagonistach historii zbawienia: począwszy od osłów egipskich, podarowanych jako odszkodowanie Abramowi, po tysiąc oślic, które wzbogaciły cierpliwą wiarę Joba. Od proroczej oślicy Balaama po oślice zagubione w Kis, które podkreślały wspaniałą karierę Saula; od królewskiego muła Salomona po nieszczęsnego muła Assalona...

Nie zabrakło poza tym znawców ekonomii politycznej, przypisujących szczególne uznanie wielkiej i sławnej rodzinie osłów, gdyż te zwierzęta przy minimalnym zużyciu "paliwa" (trawy, siana, zarośli) wykonywały zawsze ogrom pracy. Były

odporne na choroby, żyły niewiarygodnie długo, dawały mleko bogate w cukry i proteiny Oraz bardzo smaczne mięso. Nawet po śmierci były użyteczne dzięki swej skórze, z której wyrabiano cenny pergamin, bębny, tam-tamy, tamburiny - na chwałę Pana.

Jednak gdy doszło do punctum dolens (czy osioł, który niósł na grzbiecie Jezusa w czasie Jego tryumfalnego wjazdu do Jerozolimy, był przyozdobiony?), opinie różnicowały się, a ponieważ nie chodziło o zagadnienie ściśle teologiczne, nie było zgody. Spór zakończono, sprowadzając problem do złożonej kwestii celowości. Uczni, filozofowie, egzegeci, humaniści, "laudati scriptores" szkoły "nordyckiej" ukazali cały wachlarz opinii i sądów, raczej rygorystycznych i ascetycznie sprzecznych z wszelkim rodzajem błahych świecidełek i próżności ekshibicjonistycznych. Osiołek Jezusa - powiedziano - miał najwyżej zwykły czaprak z surowej wełny, utkanej przez święte ręce Maryi Panny, (podobny do szaty bez szwów) albo przez pobożne niewiasty (poprzedniczki ubóstwa św. Brygidy czy cierpień św. Urszuli).

Teologowie ze szkoły "śródziemnomorskiej" uczynili z tego kwestię godności. Oportet et decet, by Syna Bożego przedstawiać zawsze w majestacie Jego blasku, a więc stwierdzono - osioł bez wątplenia wybrany do tryumfalnego wjazdu musiał być ozdobiony insygniami królewskimi i wytwornymi wykończeniami.

Długimi oklaskami ukoronowano wystąpienie znanego teologa sycylijskiego, który pomny może na wesołe wózki z Palermo, stwierdził, że wierzchowiec użyty przez Jezusa w czasie wjazdu do Jerozolimy, musiał mieć co najmniej wędzidło, kaganiec, guzy ozdobne po obu stronach wędzidła i srebrne strzemiona, okulary, siodło i naczolnik z czystej skóry cielęcej. Siodło i podogonie miały być z drzewa libańskiego, cugle haftowane srebrem pozłacanym i pióropusz biało-żółty.

Nie udało się jednak osiągnąć ustaleń definitywnych i jednoznacznych.

Co więcej, różne szkoły i różni znawcy, szczególnie, gdy teologia duchowa zaczęła dopatrywać się w wierzchowcu Jezusa "postaci" i "znaku" Kościoła wędrującego w czasie, który nadal przynosi Pana, Posłańca zbawienia na drogach światła - pozostają nadal podzieleni, przy swoich poglądach.

I tak - u wielu osób Kościoła - kwestia ozdób osiołka, od czasu do czasu jeszcze góruje (a może to tylko takie wrażenie) nad problemem, w jaki sposób należy przyjąć Boską postać Zbawiciela.

Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie! (Mi 21,9).

Biblioteka pytań

Dawno temu, wśród studentów filozofii na Sorbonie w Paryżu, rozeszła się wiadomość, że w starym klasztorze w Sabudii, pewien mądry ojciec przeor, z pomocą kilku współbraci, cierpliwie zgromadził całą bibliotekę ksiąg, zawierających wiele ludzkich pytań, dotyczących spraw ziemskich, życia ludzkiego i tajemnic niebieskich.

Trzej młodzi studenci, zakochani w wiedzy, podjęli długą podróż, by się tam dostać i po wielu trudach i ryzykownych perypetiach, dotarli wreszcie do bram klasztoru, ukrytego w górach. Zapukali do drzwi z niepokojem, ale i z nadzieją, że uda im się wreszcie rozwiązać tysiące zagadnień, które nękały ich umysły i niepokoiły ich ducha.

Zakonnik, który przyszedł im otworzyć, powiedział: -Tak, młodzi przyjaciele - biblioteka różnych "dlaczego?" znajduje się tutaj. Wejdźcie, proszę. - I zaprowadził ich przez klasztor do biblioteki, w której oczekiwał na nich mądry ojciec przeor. Był to starzec czcigodny, wychudzony i surowy, o długiej, siwej brodzie. W jego oczach i na twarzy widoczne były oznaki świętości. Obszerna biblioteka, jasna i cicha, pełna była ogromnych półek z drzewa orzechowego, na których znajdowały się kodeksy, rękopisy, księgi, druki.

- Czego sobie życzycie, synowie? - spytał przeor.

Trzej młodzieńcy osaczyli go równocześnie wieloma "dlaczego?".

Starzec pozwolił im się wypowiedzieć, potem uśmiechnął się i po bardzo długiej chwili ciszy powiedział: - Synowie, trafiliście pod niewłaściwy adres!

-Jak to możliwe? - pytali zaniepokojeni. - Czyż ta biblioteka nie jest "biblioteką pytań dlaczego"?.

- Tak - odpowiedział zakonnik - jest to biblioteka pytań "dlaczego?", ale nie jest

biblioteką "odpowiedzi na każde dlaczego". Jest to biblioteka, która gromadzi wielkie "dlaczego", dotyczące egzystencji ludzkiej.

To tu człowiek uczy się dorastać do wielkich pytań i stawiać sobie prawdziwe pytania, dotyczące spraw odwiecznych, które gnębią serca ludzkie. Dzisiaj ludzie nie stawiają sobie pytań. Są zbyt pewni siebie. Pozwalają sobie na życie często lekkomyślne. Zadawają się odpowiedziami banalnymi, by móc upić się przyjemnościami. Tutaj chcemy im pomóc w zastanowieniu się, w zamyśleniu, w poszukiwaniu.

Odpowiedzi muszą zrodzić się z badań, z refleksji, z sumienia, z wiary każdego człowieka, który uczciwie poszukuje za pomocą swego intelektu.

Wiele codziennych pytań może zostać zaspokojonych przez naukę, filozofię, historię, ludzką wiedzę, która otwiera się powoli, z postępem czasu, na coraz to nowsze i fascynujące zdobycze.

Jednak pytania, które przewyższają ograniczoność twórczości ludzkiej, znajdują się poza zdolnościami poznawczymi i nie mogą uzyskać innej odpowiedzi jak tylko tę, która wypływa z wiary i miłości.

Dlaczego więc my mielibyśmy rościć sobie prawo do takich odpowiedzi?

Jak mogliście zapomnieć, że Bóg Ojciec pozostawił bez odpowiedzi ostatnie pytanie, najbardziej niepokojące - pozostawione Mu przez Jego Syna na krzyżu!

Ostatnie odpowiedzi zna wyłącznie On!

Przeor, ze swą tajemnicą, pozdrowił studentów serdecznym znakiem życzliwości i błogosławieństwa.

Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił? (Mt 27,46).

W Shiu Kiang

W cienistym wnętrzu restauracji chińskiej "Dom cesarski", stary właściciel, sympatyczny staruszek o pomarszczonej twarzy, o oczach w kształcie migdałów i z dwoma cienkimi, zwisającymi wąsami, opowiedział mi starą legendę swojego kraju. W Shiu Kiang, wzdłuż żyznych brzegów Żółtej Rzeki, mężczyźni i kobiety całego regionu, przyzwyczajeni do milczącej pracy przy przesadzaniu i oczyszczaniu ryżu,

wraz ze wzrostem dobrobytu zaczęli stopniowo rozmawiać, plotkować, osądzać bliźnich niewłaściwie, potępiać się wzajemnie bez ograniczeń. I tak powoli cały region został porażony ciężką i nie dającą się opanować epidemią: Libido trajkotania. Dyskutowano coraz bardziej zajadle używając obraźliwych słów. W ten sposób rodziła się zazdrość, obficie z rozmachem rozsiewano dotkliwe zniewagi, podsycano zawziętość i gwałtowne obelgi, rozniecano złośliwą nienawiść i okrutną zemstę. Kapłan ze świątyni Konfucjusza, zmęczony wysłuchiowaniem złych słów, trujących niczym korzeń imbiru i iluzorycznych jak "ginseng" - pewnego dnia, po długiej modlitwie kontemplacyjnej, zadzwonił w dwa dzwony świątyni, by wezwać Niebo na pomoc.

I oto nagle Niebo zaciemniło się i nad całym regionem przestał wiać wiatr. Zanikł zupełnie. Cały region pozbawiony został... wiatru!

Wszyscy znaleźli się pośród absolutnej ciszy. Podmuch Boży przestał spływać na ziemię. Nagle zanikł wszelki podmuch, również bryza rzeczna zamilkła. Powietrze straciło wszelki oddech. Wszystko znieruchomiało.

Wobec ogromu złych słów ludzkich, zamilkł wiatr dobroci Pana.

Gdy wiatr przestał wiać, wszystko stanęło. Nad Żółtą Rzeką we wsiach, w miasteczkach, w całym Shiu Kiang.

Nie pojawiały się chmury, nie przynosiły deszczu na pola; łodzie żaglowe i "shampang" w tej zupełnej ciszy zostały unieruchomione. Kominy domów "nie wykazywały ciągu" i ogień bez pomocy wiatru szybko wygasał. Zanikł letni chłodek, liście jesienne pozostawały na zeschniętych drzewach. Stanęły młyny, obory cuchnęły, a inwazja much i bąków bydłęcych utrudniała życie zwierząt. Nawet dzieci zostały pozbawione radości z biegania i puszczenia w niebo latawców.

Wreszcie ludzie zrozumieli. Zbyt dużo mówili. I źle. Ich serca stały się puste, wyschnięte. Utracili ufność w Boga, zawierzyli zbyttno sobie samym.

Jedynie ten, kto odkrywa mądrość milczenia, uczy się nieskończonej mądrości słuchania.

Przez trzy dni mężczyźni i kobiety, dzieci i dorośli, pogrążeni w nieszczęściu, gorzko żałując, w wielkim milczeniu modlili się w różnych pagodach i prosili pokornie Pana

o łaskę wysłuchania we wietrze, o podmuch Jego słowa i o odzyskanie ogromnego i życiodajnego daru Jego Ducha.

Dobry Bóg, jak zawsze, wysłuchał ich. Wiatr znów zaczął wiać. A w nim spłynął Duch Święty, który jest wietrzykiem i wichrem, pieszczotą i huraganem.

Wszystko się zmieniło. W pejzażu i w sercach.

Życie wewnętrzne każdego człowieka, białego czy złotego, o skórze oliwkowej czy czarnej, nie jest nigdy bezwładnym żelaznym monolitem. To drzewo życia, które rozwija się w sposób nieprzewidziany i niepohamowany pod tchnieniem wiatru Bożego.

Błogosławiony mąż, który ma upodobanie w Prawie Pana... jest on jak drzewo zasadzone nad płynącą wodą... a liście jego nie więdną! (Ps 1,3).

Walka wyzwolenicza

Carlandrea De Dominicis ubierał się u Versace, jeździł Ferrari 3000, posiadał akcje we Włoszech, Stanach Zjednoczonych, Francji i Luksemburgu. Żył bogato, był kawalerem, ale przede wszystkim... był nieszczęśliwy.

Zdał sobie z tego sprawę pewnego kwietniowego wieczoru, w wigilię swych trzydziestych urodzin, gdy starał się zrobić szybki bilans swych młodych, bezużytecznych lat. Wiele pracy, wiele pieniędzy, kobiet, rozrywek, sukcesów, ale tego wieczoru miał jasną świadomość, że znajduje się w jakimś ciemnym więzieniu. Odkrył, że jest więźniem swego kalendarza spraw do załatwienia, więźniem tylu terminów, tylu ważnych działań i śmiesznych błahostek, więźniem polityki i mody swego establishmentu, więźniem rozgłosu i własnego wizerunku, więźniem telefonów komórkowych, masmediów i internetu, więźniem konwenansów i tysiąca lilipucich tyranii życia światowego, płytkiego, głupiego...

Jak się z tego uwolnić?

Paradoksalnie podpowiedziało mu z pół tuzina kotów, które na dachu domu stojącego naprzeciwko, w świetle księżyca, zaczęły się gonić, bawić, miauczeć, wyrażając swe młodzieńcze pasje. Był to koncert przedłużających się lamentów, uniesień, deklaracji miłości i radosnych pomrukiwań namiętnego szczęścia.

- Oto prawdziwa wolność! - stwierdził Carlandrea De Dominicis. - Trzeba oderwać się od wszystkiego, poświęcić się miłości.

Poczuł wręcz na twarzy policzek zasłużonego upokorzenia, uświadamiając sobie, że nie doszedł dotąd do poziomu wolności wewnętrznej, osiągniętej przez pół tuzina kotów.

Czy jednak istnieje autentyczna, inteligentna, całościowa, trwała miłość, która mogłaby mu zapewnić definitywny pokój serca?

Zdał sobie sprawę, że posiada dyplom lekarza i że nigdy nie pomógł żadnemu choremu, że jest bardzo bogaty i że nigdy nie zbliżył się do biedaka, że zawsze marzył o tym, by bujać w niezmierności życia i że zamknął własne serce w kasie pancерnej.

Tej nocy, podczas gdy pełen tęsknoty koncert kotów nadal trwał na dachach, Carladrea De Dominicis nie mógł zasnąć.

Rano, po odnalezieniu adresu dawnego kolegi z uniwersytetu, który wezwany przez Boga, został misjonarzem, przesłał mu krótki telegram: - Przyjadę na misję, aby pracować z tobą jako lekarz. Stop. Będę jutro na lotnisku w Nairobi godzinie 17,15. Przyjedź po mnie. Dziękuję.

Przekazał sekretarce kilka dyspozycji, przygotował walizkę z lekką odzieżą, zaważwał taksówkę, by udać się na lotnisko i wyjechał z prawie niepotrzebną kartą kredytową, lekki niczym wiatr.

Minęły cztery lata. Carlandree De Dominicis jeszcze jest w Kenii.

Koty w kwietniu nadal miauczą na dachach.

Carlandrea pracuje, śpiewa i uśmiecha się pośród gromady murzynków, którzy nazywają go ojcem.

Ku wolności wyswobodził nas Chrystus! (Ga 5,1).

Nowicjuszka na rowerze

Młoda nowicjuszka sióstr kanadyjskich St. Mary, może niezupełnie wyzwolona z pewnego infantylnizmu, na usprawiedliwienie własnych słabości i braków, albo chcąc uzyskać pozwolenie od matki przełożonej - miała zwyczaj, wymyślać niemądre

kłamstewka.

Nie chodziło - prawdę mówiąc - o wielkie kłamstwa, ale o małe kłamstewka, które nowicjuszka wymyślała błyskawicznie i z taką niewinną miną i fantazją, że przewyższały filmy animowane Walta Disney'a.

Posługiwała się nimi przede wszystkim po to, by móc uciec przed rutyną klasztorного życia i by przyjechać się swobodnie na rowerze. Był on jej pasją, odkąd w wieku 3 lat podarowano jej czerwony rowerek na trzech kółkach. Bez trudu więc, od czasu do czasu wymyślała jakiś pretekst, by pojeździć po ulicach miasta albo powłóczyć się po okolicznych polach.

Kłamstwem, jakim najczęściej obdarzyła matkę przełożoną było: - Muszę odwiedzić chorą dziewczynkę!... Muszę pojechać do apteki po leki dla chorej siostry... Jadę na zebranie do parafii na zebranie katechetek... Mam zamówioną wizytę u dentysty dla zaplombowania zęba... Proboszcz prosił mnie, bym odwiedziła rodzinę staruszków... Muszę pójść do spowiedzi...

Jak można było nie udzielić pozwolenia wobec takich niecierpiących zwłoki spraw? I nowicjuszka wychodziła, szybko niczym wiatr i cieszyła się swymi pięknymi wycieczkami rowerowymi.

Jednak pewnego kwietniowego dnia, młoda nowicjuszka, podczas jazdy obwodnicą została potrącona przez ogromny motor, upadła na ziemię, uderzyła nieszczęśliwie głową o bruk i... już więcej się nie podniosła.

Niespodziewana śmierć nowicjuszki, w zasadzie nie zmieniła jej marzeń. Zaniósła je poza grób.

Otóż mała kłamaczucha znalazła się natychmiast na tamtym świecie, pedałuując zawzięcie wśród białych i puszystych chmur na rowerze anielskim: bardzo lekkim, białym, świecącym, z automatycznymi przerzutkami.

Droga była szeroka, zupełnie wolna, wyasfaltowana na niebiesko, ze srebrną linią środkową. Jednocześnie jednak była stroma, twarda, trudna, ciągle pod górę. Na każdym zakręcie, dla zachęty znajdował się jeden z dobrych uczynków, które nowicjuszka spełniła w czasie życia: akty miłości, służba biednym, gorące modlitwy, ofiary, wyrzeczenia ofiarowane z miłości do Boga. Często jednak natrafiała na

skrzyżowania, drogi poprzeczne... Na szczęście dużo było tablic, wskazujących kierunek, wypisany złotymi literami: Niebo. Nowicjuszka posłusznie jechała wskazaną drogą, śpiewając szczęśliwa na chwałę Bożą.

Po wielu, wielu wysiłkach dotarła w końcu do ostatniej alei i zobaczyła z daleka transparent, umieszczony na frontonie pałacu ze złota. Napis złożony z perłowych liter głosił: Raj.

Końcowym wysiłkiem, godnym Cipolliniego, nowicjuszka przekroczyła metę i znalazła się... (co za rozczarowanie!) w czyścúcu! Tak, tak - w czyścúcu!

Dlaczego? Jak można było zmylić drogę? Czyż nie śledziła skrupulatnie wszystkich wskazówek na drodze do nieba?

Otóż napisy na drodze i sygnały świetlne umieszczone specjalnie dla niej przez wielkiego Kłamcę - były kłamliwe! Wszystkie napisy kłamliwe! Tyle ich było, ile kłamstw wypowiedziała nowicjuszka w swym życiu.

Tyle też tygodni dziewczyna musiała spędzić w czyścúcu.

Zalewając się łzami skruchy, była zmuszona pedałowac na ciężkim "rowerze" o płonących kołach.

Wstrętne dla Pana są usta kłamliwe! (Prz 12,22).

Stacja rozdzielcza

Z uwagi na tłum ludzi, którzy każdego dnia opuszczają ziemię w najrozmaitszy sposób i zjawiają się w zaświatach (około 80 mln osób rocznie), dla usprawnienia procedur końcowego przeznaczenia, dekretem Najwyższego Ojca Przedwiecznego, urząd pierwszego rozdziału w niebie został powierzony świętej Łucji i bratu Ave Maria.

Zadanie przyjęte przez dwóch świętych i ich współpracowników jest raczej proste, ale niezmiernie delikatne i ważne: chodzi o segregowanie w przedsionku Królestwa Niebieskiego na pasach ruchu, dających obowiązkowe pierwszeństwo, wielkich strumieni osób przeznaczonych (z uwagi na rychły Sąd Boży) do Raju albo do Czyścúca czy Piekła.

System ten w jakiś sposób przywodzi na myśl metodę, wypróbowaną przez wielkie

przedsiębiorstwa rolne na Sycylii i Kalabrii. One to automatycznie, poprzez przejście owoców i jarzyn na taśmach, prowadzących do sit o różnej gęstości, gromadzą je bezpośrednio w pojemnikach według wielkości i jakości.

Pierwszy rozdział powierzony jest świętej Łucji i bratu Ave Maria i innym świętym, którzy w czasie życia, przyjmując radośnie wolę Bożą, cierpieli z powodu ślepoty. Dlatego teraz, w Niebie, ich oczy, które na ziemi były niewidome, są szczególnie czyste, przenikliwe i badawcze. Pierwsze ukierunkowanie ku ogromnej platformie wieczności jest powierzone tym, którzy umieją odczytać w oczach, w sposób cudowny, przejrzystość dusz.

Docierają tam oczy rozmaitych kolorów, kształtów, wymiarów i blasku. Są zwierciadłem duszy, nie zawsze łatwo zrozumiałym.

Istnieją oczy ciemno brunatne, uwodzicielskie i rozkoszne; oczy podkrążone wycieńczeniem i zmęczeniem; wielobarwne oczy klaunów, tryskające wesołością; oczy dobre, przyzwyczajone do kontemplowania nieba; oczy pachnące kadzidłem; dzikie oczy osób torturujących i zabójców; smutne oczy dzieci porzuconych; oczy zgaszone skandalami; pogodne oczy starych, kochających się małżonków; mętne oczy ludzi zniszczonych nałogami i nienawiścią; oczy pełne zazdrości; oczy wypełnione łzami.

Najbardziej cenne i zachwycające są zawsze oczy ludzi o czystych sercach: są to oczy osób najszcześniejszych: Gdyż Boga oglądać będą.

Święta Łucja, brat Ave Maria i ich współpracownicy, czytając głęboko w oczach swych "klientów", wydają zaraz białą, zieloną lub czerwoną przepustkę, wskazując w ten sposób drogę, jaką muszą przejść.

Czy wiecie, że nie mylą się prawie nigdy? Z ostatniej statystyki wynika, że możliwy błąd dotyczący wyboru przeznaczenia jest rzędu 1,56 promila.

Oczy są lustrem duszy. Musimy strzec ich z większą starannością, używać lepiej, nie niszczyć chciwością, nienawiścią, otwierać je dla uśmiechu, czynić z nich poszukiwaczy mądrości i dawców dobroci.

Twoje oczy są pierwszym dowodem osobistym i stanowiącą pierwszą przepustkę do nieba.

Strzeż ich każdego dnia.

Szczęśliwe oczy, które widzą to, co wy widzicie! (Łk 10,23).

Sen każdej nocy

W przedsionku Raju, w głębi głównego korytarza, pierwsze drzwi na lewo prowadzą od zawsze do biur Departamentu Snów Zagubionych.

Ali Kabał, młody piętnastoletni uciekinier z Afganistanu, we francuskim centrum przyjęć, prowadzonym przez Lekarzy bez granic, wie o tym bardzo dobrze. Po wielu prośbach, przekonał swego Anioła Stróża, by stawił się tam w górze przy okienku "Rezerwacje snów" i zamówił dla niego stały sen, w kolorze. Pragnął śnić go co noc. Nie pragnie śnić o bogactwach ani o uśmiechniętych odaliskach, ani o zastawionych stołach, ani o stadach wielbłądów, ani o sukcesach i karierze, ani o ziemskich rajach. Chciałby jedynie śnić każdej nocy o słodkiej rzeczywistości: śnić, że może biegać niczym wiatr!

Biec naprzeciw mamusi, biegać z przyjaciółmi, biegać aż do utraty tchu także po stepie, z wiatrem wśród włosów, biegać jak chart po górach aż do całkowitej utraty sił.

I obudzić się rano, zmęczonym, ale szczęśliwym.

Tak szczęśliwym, by móc co rano spuścić z łóżka swoje blade, straszne kikuty nóg, by usiąść na tym okropnym wózku inwalidzkim z pewnością (albo przynajmniej z iluzją), że ta mina, która mu zgruchotała stopy, nie zniszczyła mu możliwości, nadziei i radości życia tak jak człowiek.

Albowiem nieprzyjaciel mnie prześladowa, moje życie na ziemię powalił! (.Ps 143,3).

Kamień młyński

Był stary i pęknięty. Został przeniesiony na emeryturę zaraz po wojnie.

Ten stary i szary kamień młyński, utrzymywał nieustanną codzienną pracę, różne generacje młynarzy i całe rodziny wieśniaków z okolicznych wsi.

Często niesłusznie oskarżany o nieczułość i kamienną twardość, dawał piękną, białą mąkę przez ponad 100 lat biednym i bogatym, nędznym stołówkom i ołtarzom

katedralnym, producentom makaronu i pizzy, gospodyniom domowym i cukiernikom.

Nie pozbawiał też swych darów ubocznych: kaszki, otrębów darowanych biednym ludziom i koniom dobrej rasy.

Zniszczony, zużyty, zastąpiony nowoczesnymi urządzeniami elektrycznymi, stary kamień został usunięty, bezlitośnie wyciągnięty i bez odrobiny wdzięczności zaciągnięty na brzeg urwiska a potem brutalnie zrzucony na dno wąwozu.

Rozbił się tam o kamienie strumienia.

Dopiero po wielu miesiącach, pewien chłopczyk, syn młynarza, o wrażliwej duszy, kochający przygody harcerskie, zszedł ścieżyną aż na brzeg strumienia pełnego zawirowań, aby sprawdzić, co się stało z kamieniem młyńskim.

Okazało się, że kamień rozpadł się na dwie części.

Chłopiec, badając uważnie zauważył, że właśnie pośrodku kamień... posiadał serce. Małe serce z kamienia koloru ochry, delikatne, czułe, które biło leciutko, z wysiłkiem, ale jeszcze biło.

Bilo czule dla osób kochanych w czasie całego życia i kołatało zadowolone z pracy skromnej, ale pożytecznej, wykonywanej przez całe lata dla wszystkich.

Niestety! Nikt tego nie zauważył!

Jeżeli będziesz służył Bogu, On tobie odpłaci! (Tb 4,14).

Kaczki na słońcu

Późnym, słonecznym popołudniem, na brzegu stawu ocienionego płaczącymi wierzbami, setka kaczek daje przedstawienie. Podzielone na wyraźne grupy społeczne, wydają się doskonale naśladować styl życia dzisiejszych ludzi.

Młode kaczątka i próżne, młode gąsiory, opryskują się wesoło, grupując się w małe, gęgające klany. Popisują się w sportach wodnych, emocjonują się na spotkaniach piosenkarskich, na improwizowanych dyskotekach wodnych, gąsiory zaś dziobią się wzajemnie, aby podziwiałały ich nieśmiałe kaczątka.

Dorośle kaczki pływają na wodzie majestatycznie, parami, na środku stawu. Czasami gwałtownie nurkują, aby złowić "rybkę powszednią". Kryją się pod wieczór w

zakolach jeziorka, aby uczestniczyć w milczących spotkaniach miłosnych. Leniwie ciągną za nimi kaczątka i kaczorki, które dopiero co wykluły się z szarych jaj, aby nauczyć się w życiu trudnej sztuki pływania.

Stare, zgrzybiałe kaczki, nadające się do przytułku, przytłoczone latami i zmęczone różnymi dolegliwościami, prawie zawsze znajdujące się w pobliżu starych, niesprawnych kaczorów, pływają samotnie, bardzo powoli, pozbawione piór, w zupełnym opuszczeniu, na oczach wszystkich.

To obraz różnych okresów życia.

Zasadniczo są równe dla wszystkich: dla ludzi, zwierząt i roślin.

Każde stworzenie posiadające duszę - ludzką, zwierzęcą, roślinną - jest obdarzone tym samym znakiem fabrycznym.

I w pewnym sensie jego udziałem jest podobny los: ziemski i wieczny.

Wszystko, co Bóg stworzył jest dobre i niczego, co jest spożywane z dziękczynieniem nie należy odrzucać! (1 Tm 4,4).

Siostrzyczka od miotły

Umarła właściwie niespodziewanie, w czasie zamiatania ostatnich stopni potężnych schodów Macierzystego Domu. Jej nagłe odejście, prawdę mówiąc, nie zrobiło wielkiego zamieszania i przeszło prawie niezauważenie.

Była bowiem siostrą, która nigdy nie robiła niczego nadzwyczajnego. Była poza tym stara i schorowana.

Pełniła jedynie funkcję Siostrzyczki od miotły (tak nazywały ją wychowanki) i spędziła całe swe życie zakonne (57 lat!) na porządkowaniu kuchni, wycieraniu podłóg, zamiataniu sal i refektarzy, sypialni i pokoi gościnnych, korytarzy i łazienek. W piękne, wiosenne dni, znajdowała nawet czas, by zamieść podwórze, podcienie, garaże i ścieżki w parku.

Gdy dotarła swym szybkim i lekkim krokiem przed Św. Piotra, stary, pomarszczony Rybak uniósł brwi, spojrzał na nią spod oka, zwrócił uwagę na zaczerwienione ręce, uśmiechnął się z zadowoleniem zawodowym i nacisnąwszy zielony klawisz na niebieskim komputerze, przytakując z wiekowym doświadczeniem, natychmiast

potwierdził też zdecydowanie: Raj. Trzecie Niebo. Pierwsza winda na prawo. Jedna z wielu dyżurnych wind (na służbie była Brygada Aniołów Recepcji) towarzyszyła nowoprzybyłej do nieba. Jednak prostoduszna siostrzyczka, pomyślawszy przez chwilę, wróciła do Św. Piotra i powiedziała: - Przepraszam Jego Świątobliwość - czy mogę się dowiedzieć, gdzie tutaj znajduje się skrytka na miotły? Święty Piotr wytrzeszczył oczy i przez chwilę zaniemówił. Gdy ocknął się z zaambarasowania, ze zrozumiałą i usprawiedliwioną dumą odpowiedział: - Droga siostro, tutaj w niebie wszystko jest czyste niczym lustro. Nic brudnego nie może tutaj wejść. Wszystko tu jest niepokalane i doskonale. A więc nie ma potrzeby... Właśnie w tym momencie na rybackim stole Św. Piotra zadzwonił nagle czerwony telefon (linia bezpośrednia z Szefem).

Stary Rybak z Galilei rzucił się do aparatu, wysłuchał z szacunkiem głosu Pana, potem odkładając słuchawkę, potrząsnął głową obramowaną siwymi włosami i wyszeptał z uśmiechem: - Koledzy, odwołuję rozkaz. Pan jest zawsze taki sam. Nie zmienia się nigdy! Jest naprawdę Panem!

Zwracając się do siostrzyczki i do windy powiedział: -Winda centralna. Siódme niebo!

I siostrzyczka od miotły, w jednej chwili dotarła do Raju.

Zupełnie blisko Pana!

Kto bowiem jest najmniejszy wśród wszystkich, ten jest wielki! (Łk 9,48).

Obsesja

Mogłaby należeć godnie do Ordo Virginum, owa staruszczyzna, która spędziła całe życie na służbie Pana, poświęcając się zupełnie swej rodzinie i codziennej pracy, oraz ofiarowując siebie innym. Tak w małym świecie szkoły, jak i w tym szerszym - w swej parafii.

Dreczyła ją jednak pewna obsesja. Jej duszę toczył rodzaj nerwicowego mola.

Ani święci kapłani, ani doświadczeni neurologowie, ani rozgrzeszenia, ani tabletki uspokajające, ani napary, ani środki usmierzające nie potrafiły rozpoznać jej ani uspokoić jej serca.

Dniem i nocą, pogrążona w morzu skrupułów, powtarzała sobie, to męczące

wszystkich zdanie: - Ja się nie zbawię!

Zdenerwowany i zdecydowanie zmęczony tym codziennym stanem umiłowanej duszy, Pan Jezus pewnego dnia osobiście się jej ukazał i powiedział po ojcowsku: - Moja droga Candido... z pewnością sama się nie zbawisz. Sama niczego nie możesz zrobić!

Dlatego Ja pomyślałem o wszystkim, umierając za ciebie na krzyżu. Ty już jesteś zbawiona. Dzisiaj, tutaj, na zawsze! Jesteś zbawiona!

Tego dnia sędziwa nauczycielka Candida, wyleczyła się ze swej obsesji, żyła jeszcze długo i umarła w pokoju.

Znasz Pisma święte, które mogą cię nauczyć mądrości wiodącej ku zbawieniu przez wiarę w Chrystusie Jezusie! (2 Tm 3,15).

I przyszedł anioł..

W ubiegłym roku, w marcu, Anioł został posłany przez Boga do Lourdes, miasteczka w Pirenejach i stanął przed poważnym panem, działającym w ratuszu, przed burmistrzem miasteczka.

- Je vous salue, Monsieur! - powiedział Anioł.

Burmistrz bardzo zatrwożył się tym niespodziewanym pojawieniem się i spytał siebie, jakie znaczenie może mieć ta wizyta.

Anioł powiedział: - Niech się pan nie boi, panie burmistrzu. Bóg zawsze będzie rządził na tej błogosławionej ziemi w Lourdes. Prawdę mówiąc jednak, są tu pewne rzeczy, które w mniemaniu Chórów Anielskich nie wyglądają zbyt dobrze i należałoby je absolutnie zmienić.

W Niebie, my Aniołowie Pańscy, choć nie mamy żadnej władzy decyzyjnej, żyjemy wokół naszej Królowej, wielbiąc Ją. Od pewnego czasu jesteśmy zaniepokojeni.

Zdumiony burmistrz zapytał: - Jak to możliwe?

- Widzisz - powiedział Anioł - na początku tutaj było inaczej. Dziewica ukazała się w Massabielle, w biednej i ogołoconej grotcie. Lourdes było wtedy biednym i nędznym miasteczkiem, jak Betlejem. Dzisiaj mnóstwo w nim hoteli o wielu gwiazdkach, kawiarni, bogatych restauracji, sklepów jubilerskich, muzeów, międzynarodowych

supersamów i prostych straganów, butików i punktów wymiany, kin i pubów... Chyba to jest przesada.

Wszędzie handluje się górami pamiątek: obrazkami, figurkami, książkami, fotografiami, różańcami, kasetami, wszelakiego rodzaju świecami i kiczowatymi drobiazgami, wybrakowanymi towarami...

W niebie, my Aniołowie śmiejemy się, ale i gorszymy, widząc, jak obrazki Najświętszej Panny i Bernardety Soubirous są profanowane przez umieszczanie ich na wszystkim: na flaszkiach i korkociągach, na gwizdkach i mydelniczkach, na perfumach i słodyczach, termometrach i laleczkach, na nożach i świeczkach, na zabawkach i apaszkach, na butelkach i na tabletkach wzmacniających, na bluzeczkach i na popielniczkach...

Panie burmistrzu, w niebie, niektórzy z otoczenia Matki Bożej, zaczynają wam życzyć małego trzęsienia ziemi.

Trzęsienia ziemi ściśle określonego, ma się rozumieć, które wywołałoby dobroczynne poruszenie wśród tych wszystkich luksusów światowych, niektórych witryn iskrzących się marnościami tego świata, niektórych sprzedawców i właścicieli kantorów zainstalowanych właśnie na obrzeżach placu świątyni.

- Panie burmistrzu - zakończył Anioł. - Moje wystąpienie nie ma być ostrzeżeniem, ale jedynie zachętą do umiaru.

Warto byłoby rozpatrzyć na serio te sprawy i włączyć do porządku dziennego najbliższego posiedzenia Rady, może w połączeniu z Izbą Handlową.

Bez obecności wielu ekspertów finansowych, a raczej z konsultacją religijną waszych kapelanów.

Zawsze czai się ryzyko skażenia bogactwa, ukrytego niczym perła drogocenna w Lourdes i w wielu innych sanktuariach.

Człowiek został powiadomiony...

Anioł oddalił się od niego.

Trwajmy w łasce, a przez nią służmy Bogu ze czcią i bojaźnią! (Hbr 12,28).

Jak pizza!

Jeden z 250 uczestników światowego konkursu Złota pizza w Salsomaggiore, dzielny

chłopak, który rozwijał się i kształtował w braterskim środowisku grupy "Focolarini", zwierzył mi się:

- Realizowanie miłości jest trochę podobne do robienia pizzy. Dzisiaj można ją zrobić na tysiąc różnych sposobów i z najrozmaitszych składników.

Jednak, jeśli zabraknie serca eksperta i odpowiednio dobrego pieca, opalanego drewnem i dającego odpowiednią temperaturę, zamiast autentycznej pizzy neapolitańskiej, zostaje ci w ręku ciasto bez smaku, produkt, który rozczarowuje.

Podobnie każdy gest miłości, jeśli nie rodzi się ze szczerego serca i jeśli nie jest ogrzany wielką miłością Boga, traci swą wartość. Jest jedynie zwiotczalym produktem instynktownego współczucia, letnim, tanim alibi, uciszającym niespokojne sumienie, jest ekshibicjonizmem o małej wartości; zawsze pozostanie tylko łatwą próbą uwolnienia się od czyjejs uporczywej prośby.

Nawet sztuka kulinarna związana z robieniem pizzy, poprzez proste, młodzieńcze, powtórne chrześcijańskie odczytanie, może przyczynić się do smakowitej refleksji. Pożycz samemu Panu, kto dla biednych życzliwy! (Prz 19,17).

Szczęście czy nieszczęście?

Pewien włóczęga, przeszukując ukradkiem pojemnik na śmieci (zwykł to czynić wieczorami w dni targowe), znalazł stary karton Monopoli państwowego, pełen podartej odzieży i staromodnych ubrań.

Znajdowała się w nim również biała, jedwabna koszula w niebieskie paski, trochę sprana, ale jeszcze do noszenia. Oglądając ją uważnie, stwierdził, że w rękawach tkwiły dwie świeące spinki do mankietów.

Widocznie ktoś nieuważny zapomniał je odczepić. Włóczęga spieszenie spakował wybraną odzież i później, przypatrując się koszuli stwierdził, że spinki nie były wcale tandetne. Wprost przeciwnie! Były to dwie małe, ładne, złote monety, każda z trzema brylancikami, tworzącymi trójkąt.

- Co za szczęście!

Następnego ranka wszedł do sklepu jubilerskiego w centrum miasta i pod uważnym, podejrzliwym wzrokiem właściciela poprosił o wycenę tych dwóch skarbów. Jubiler,

stwierdziwszy, że nie chodzi o wulgarną imitację, pod jakimś pretekstem udał się na zaplecze i zatelefonował po policję. W pięć minut później biedak został zatrzymany i doprowadzony na komisariat.

- Co za nieszczęście!

Bóg sprawił, że policjant był dobrym, doświadczonym człowiekiem, a przede wszystkim znał swego ptaszka -włóczęgę od dawna i wiedział, że jest nieszkodliwy i niezdolny do kradzieży. Z zeznań włóczęgi (miejsce pojemnika, karton Monopolu Państwowego, typ odzieży...) szybko dotarł do roztargnionego właściciela wyrzuconych do śmieci spinek. Wezwał go do siebie i zwrócił mu cenną zgubę. Radość i wdzięczność właściciela były ogromne i natychmiast wypisał czek dla włóczęgi na 300.000 lirów!

- Co za szczęście!

Zadowolony włóczęga udał się do banku ale nie będąc posiadaczem konta, ani nie mając jakiegokolwiek dokumentu tożsamości nie mógł pobrać nawet jednego lira.

- Co za nieszczęście!

Zdesperowany, pomyślał, że uda się do Siostry Rosanny, z Centrum Pomocy z myślą, że ona pomoże rozwiązać ten problem i - wymieniając czek - wręczyła mu 300 000 lirów.

- Co za szczęście!

Naturalnie z tyloma pieniędzmi w kieszeni, nigdy przedtem nie oglądanymi, włóczęga zapragnął uczcić to wydarzenie ze swymi bezdomnymi przyjaciółmi. Udał się więc do pewnej knajpy na przedmieściu i razem z kolegami urządził niezapomnianą popijawę "la Gargantua". Powracając późną nocą do publicznej noclegowni, w wyniku zamroczenia pijackiego nie zauważył jednego stopnia i upadł na chodnik, rozbijając sobie nos. Zakrwawiony leżał na bruku.

- Co za nieszczęście!

Pewna kobieta, nie mogąc zasnąć, stała na balkonie i była świadkiem tego wypadku. Zatelefonowała na pogotowie i po kilku minutach przyjechała karetka z dwoma sanitariuszami, którzy zawieźli biedaka do szpitala.

- Co za szczęście!

Mógłbym tak długo jeszcze kontynuować.

Jest to historia, która się powtarza w różnych wariantach i również nas dotyczy.

Prawie każdego dnia. Nasze życie jest splotem następujących po sobie szczęścia i nieszczęścia. Radość i ból, uśmiechy i Izy, słońce i chmury, szczęście i rozczarowanie, splatają się w życiu każdego stworzenia.

Nasza egzystencja wije się niczym zygzak, wśród uciech i doświadczeń, światła i cieni. Nie można tego zmienić!

Trzeba jedynie umieć wyczuć prawdziwy kierunek drogi i zmierzać ku właściwemu celowi.

W każdej chwili uwielbiaj Boga i proś Go, aby drogi twoje były proste! (Tb 4,19).

Bawoły

W czasie popołudniowej przechadzki na wsi - kierownika wydziału przyrodniczego Uniwersytetu w Neapolu zaskoczył deszcz wiosenny. Profesor musiał schronić się szybko w podziemiach starego gospodarstwa z okolic Caserty.

Na szczęście został przyjęty z szacunkiem, serdecznością, typową dla tych stron, przez mężczyznę, który pracował przez całe życie jako hodowca bawołów. Był to człowiek silny, o twarzy jowialnej, spalonej od słońca.

Stary hodowca, bez zbędnych uniżoności, posadził swego gościa na beli słomy i poprosił żonę o przyniesienie dwóch czystych szklaneczek i butelki wina. Czekaając na koniec deszczu, zaczęli rozmawiać.

Naturalnie dziekan nie omieszkiał przedstawić się i szeroko omówić, bez fałszywej skromności, wszystkie sukcesy, które były jego udziałem w czasie długiej i pięknej kariery uniwersyteckiej. Przez 30 lat prowadził trudne i męczące badania.

- Jak wam zazdroszczę, profesorze - zawołał hodowca szczerze. - Umieć wiele rzeczy, to wielki dar Boga!

-No - stwierdził pobłaźliwie profesor - w tych sprawach Bóg działa jedynie marginalnie. To jest przede wszystkim kwestia silnej woli, zaangażowania, inteligentnych poszukiwań, wyważonego programowania...

- Jest pan szczęśliwy, mając nadzwyczajną głowę -ciągnął dalej hodowca ze szczerym podziwem. - Ja niestety, tu na wsi znam jedynie moje biedne bawoły. Dla

mnie są one niczym dzieci. Spędziłem z nimi całe życie. A wy, profesorze, znacie się na bawołach?

- Tak... trochę - powiedział, czerwieniąc się zawstydzony dziekan.

W tym momencie naiwny hodowca, w swej wiejskiej gwarze, zaczął szeroko mówić o swym ukochanym zajęciu, opisując swoje bawoły tak, jakby mówił o członkach rodziny.

- Mam stado złożone z 45 sztuk. Dla mnie stanowią całe moje życie. Widzę jak rosną przed moimi oczyma, znam je, każdą sztukę z osobna.

- Bawół włoski - jak pan wie - pochodzi od bawoła indiańskiego. Może dojść do 3 m długości, licząc w tym ogon. Może osiągnąć 1,70 m wysokości i wagę prawie 10 kwintali.

Posiada królewskie rogi: długie, zastrzone, zwrócone ku górze, niczym wąsy króla Wiktora Emanuela. Moje bawoły lubią bardzo brodzić w stawie pełnym kaczek albo w jakimś bagnie. Ale niech mi pan wierzy, profesorze, w przeciwieństwie do wielu ludzi, którzy uciekają się na przykład do łapówek, te zwierzęta są brudne jedynie na zewnątrz. Wewnątrz są czyste niczym cherubiny!

Bawół nie jest podatny na choroby, daje wspaniałe mięso i świetne mleko. A jada pan, profesorze, mozzarellę?

- Tak - odpowiedział dziekan, raczej skonsternowany tak nieoczekiwaną lekcją zootechniki. - Tak, czasami rano z plasterkiem pomidora... aby zachować linię...

- Świetnie - ciągnął dalej niewzruszenie hodowca. - Pan wie, że laktoza uzyskana z serwatki mleka bawoła może być przydatna jako surowiec do przygotowania ciastek, lodów, makaronów... Czy pan wie, że mięso bawole posiada własności farmakologiczne, przede wszystkim ze względu na swą niską zawartość tłuszczu i cholesterolu a dużą ilość żelaza? Czy pan wie...

W tym momencie, pan dziekan oszołomiony i pełen podziwu dla tej wiedzy dotyczącej bawołów, przerwał pytając się: - Ale... gdzie pan, wiejski hodowca, nauczył się tych wszystkich rzeczy?

Widzi pan, profesorze - odpowiedział hodowca - umiłowanie wiedzy rodzi się z miłości.

Miłość obdarza wiedzą wrodzoną, która jest darem Ducha Świętego. Gdyby pan wiedział, ilu rzeczy sam Bóg uczy bezpośrednio swych synów, którzy Go szukają, poprzez lekcje, jakich udziela nam przyroda!

Biedni ludzie, profesorze, czytają mało książek, ale często znają lepiej od innych wielką księgę stworzenia, która jest Księgą Boga.

A w niej jest wszystko!

Każda mądrość pochodzi od Pana! (Syr 1,1).

Dusze w komputerze

Nowy, młodziutki wikary, który zjawił się w parafii, jest mistrzem komputera.

Spędza całe dni przed tą klawiaturą i ciągle zapalonym monitorem.

Na jego CD są zawarte wszystkie problemy młodzieży: od nowych katechizmów po wychowanie seksualne, od mistrzów sportu po piosenki Zucchero i Lisy.

Swymi kolorowymi wykresami, zdołał sklasyfikować wszystkich młodych parafian, biorąc pod uwagę ich adres, wiek, rodzinę, klasę w szkole, przynależność do ruchów, grup, stowarzyszeń - a nawet rekordy sportowe.

Listy, zawiadomienia, inicjatywy religijne, biuletyny parafialne - wszystko rodzi się w komputerze wikarego, wyposażonego w modem, drukarkę, podłączonego do internetu, w którym młody ksiądz informatyk spędza całe godziny, serwując po świecie i wysyłając pocztę elektroniczną.

Jego Oratorium jednak, jeśli wyłączy się grupkę dzieci prowadzonych przez katechetki - jest puste.

Co na to powiedzieć?

Kościół młodych księży, technologów zbyt mocno zanurzonych w socjologizmie turystycznym, kibiców problemów euro-finansowych, zainteresowanych przede wszystkim otwieraniem okien na ciekawostki świata... nie sądzę, by za pomocą takich środków zdołał przejść długą drogę.

Łódź Piotrowa, na początku swego istnienia huśtana uderzeniami wiatru libańskiego, który szalał na wodach morza Galilejskiego, posiadała tylko jeden motor i jedną pewność: głębokie przekonanie, że wszystko jest darmowe i że w imię Jezusa

wszystko jest możliwe.

Jest to prawda wiary, którą rozumie się dobrze jedynie wówczas, gdy klęczy się przed Tabernakulum.

Czy spisek jakim jest sekularyzacja zdoła w jakiś sposób wyrwać tę pewność z naszych serc?

Pan mi powiedział: wystarczy ci mojej łaski! (2 Kor 12,9).

Grzech bezbożności

Natrudziłem się sporo, by dotrzeć tutaj, na wzgórze o wysokości 1750 m.

Wzdłuż niekończącej się ścieżki górskiej, która zaczynała się wśród lasów kasztanowych i bukowych, a potem wiała się przez coraz rzadsze lasy sosnowe i modrzewiowe, spotykałem łąki pełne kwiatów. Dostrzegałem palec Boży, który narysował wspaniałe obrazy płynących chmur, strumyków i wodospadów.

Rozpoznałem Jego silne ramię, które wzniosło wysokie skały i szczyty gór.

Rozkoszowałem się wszechmocną ręką Pana.

Gdy dotarłem na szczyt, nagle pejzaż radykalnie się zmienił.

Znalazłem się wobec ogromnej, suchej polany, częściowo wyrównanej buldożerem.

Zobaczyłem wokół warczące traktory, ogromny parking, plakaty reklamowe w trakcie ustawiania. Usłyszałem trzeszczące płyty i radia nastawione na cały regulator.

Odkryłem hałas wywołany przez chłopaków i półnagie dziewczyny, leżące na słońcu, a wszędzie na łące zobaczyłem papiery, puszki, odpadki.

Co za rozczarowanie!

Zrozumiałem, dlaczego niszczenie przyrody jest grzechem bezbożności.

Bezbożność - to odrzucenie Boga.

Jak wielkie są dzieła Twoje, Panie! (.Ps 92,5).

Perfumy miłości

Bardzo bogaty przemysłowiec amerykański, właściciel całego łańcucha supermarketów i setek luksusowych butików, zauważał od pewnego czasu niepokojący i nienormalny kryzys w sektorze perfumów w Shopping Center w Los

Angeles. Mała ilość klientek, nikła sprzedaż, zastraszające pasywa. Co robić? Próbował nowatorskiej i nadzwyczajnej reklamy. Nie było żadnego rezultatu. Spróbował formy "trzy za dwa" - ale i ona okazała się bezowocna.

Kazał sprowadzić nowe, egzotyczne perfumy ze Wschodu. Na próżno!

W czasie odwiedzin najstarszej siostry, będącej od lat przeoryszą bardzo biednego zakonu klauzurowego benedyktynek w okolicach San Francisco, bogaty przemysłowiec wspominał rozgoryczony o handlowych kłopotach w sektorze perfumów, należącym do łańcucha supermarketów.

- Próbowałem wszystkiego. Nie znalazłem żadnego lekarstwa na tę sytuację - stwierdził rozgoryczony.

- Może - powiedziała spokojnie przeorysza, uśmiechając się - należałoby spróbować pewnego rozwiązania.

- Jakiego? - spytał brat, znając wielkie doświadczenie przeoryszy.

- Wystarczyłoby podarować każdemu klientowi mały, ładny upominek. Na przykład "Le parfum de l'amour"! Perfumy miłości.

- To jest zupełna nowość! - zawołał bogacz. Nigdy nie słyszałem o takich perfumach. Kto je produkuje?

- Dzięki Bogu - odpowiedziała przeorysza - wiele osób je tworzy. Na Wschodzie i również na Zachodzie. Trudność polega na szybkim zamknięciu buteleczki, gdyż niestety ulatnia się bardzo szybko.

Na szczęście, wśród moich postulantek z Tajlandii mam cztery dziewczęta pochodzące z Birmy, które są wyspecjalizowane w zamykaniu małych buteleczek. Jeśli chcesz, z uwagi na krytyczną sytuację naszego klasztoru, mogłabym wysłać je jako sprzedawczynie na okres 6 miesięcy.

W ten sposób uzyskalibyśmy dwie korzyści: ty będziesz mógł rozwiązać twój problem, związany ze sprzedażą a my - dodała czerwieniąc się - uzyskamy opatrnościową pomoc w postaci ich wynagrodzenia.

Birmańskie imiona tych dziewcząt oznaczają: Miła uprzejmość, Promienny uśmiech, Umiejętność słuchania i Delikatna czułość.

Chcesz spróbować? Zgadzasz się?

Niezupełnie przekonany, a raczej tylko dopingowany wewnętrznie, by zrobić coś dobrego dla siostry przeoryszy, przemysłowiec zgodził się. - Targ ubity!

10 dni później, cztery postulantki incognito zaczęły pracować w butik.

Wielki napis nad Shopping Center w Los Angeles głosił: Gratis dla każdego kupującego "Le parfum de l'amour"! Perfumy miłości!

Napływ kupujących już od pierwszego dnia przekroczył wszelkie oczekiwania. W ciągu tygodnia stał się imponujący. Trzeba było wręcz uciec się do pomocy Straży Miejskiej, by zaprowadzić porządek wśród oczekujących klientów, kobiet i mężczyzn i kierować ruchem na 48 Avenue.

Cztery nowe sprzedawczynie obsługiwały klientów -jak łatwo się domyśleć - zgodnie ze stylem dobrych postulantek. Z miłą uprzejmością, z promiennym uśmiechem, umiejętnie słuchając. Wszystkie odnosiły się do klientów z wytworną delikatnością. Żegnając klientów i wręczając im paragon do kasy, dawały również oczekiwany upominek: "Le parfum de l'amour" (Perfumy miłości).

Była to różowa buteleczka, mała i zgrabna, ozdobiona złotym sznureczkiem. Do niej dołączony był bilecik tajlandzki, który zalecał: Uwaga! Należy dobrze zamykać.

Perfumy szybko się ulatniają.

W rzeczywistości wszyscy panowie i panie podświadomie już zaczęli delektować się zapachem perfum, dzięki uprzejmości, uśmiechowi, zrozumieniu i delikatności sprzedawczyń - postulantek.

Ale co faktycznie zawierała tak reklamowana buteleczka perfum miłości?

Nikt się tego nie dowiedział.

Nieliczne nierozważne osoby (najczęściej kobiety!), otwierały buteleczkę i stwierdzały, że jest... pusta! Zapach ulotnił się, tak jak głosiła dołączona ulotka.

Ci natomiast, którzy zachowali zazdrośnie buteleczkę, ilekroć powracali do niej, myśleli o czterech tajemniczych dziewczętach tajlandzkich, zawsze uśmiechniętych, wyrozumiałych, uprzejmych, delikatnych i przez krótki moment wyczuwali jeszcze zapach... perfum miłości.

Jesteśmy bowiem miłą Bogu wonnością Chrystusa! (2 Kor 2,15).

Trzy atramenty

Dziekan zakonu benedyktynów na Monte Cassino, sędziwy już i obdarzony doświadczeniem i licznymi łaskami, pewnego dnia uchylając rąbka niektórych tajemnic, dziennikarzowi telewizyjnemu z NBC powiedział:

- Widzi pan... w życiu istnieją trzy atramenty do pisania. Jeden czarny, drugi czerwony, trzeci biały.

Wszystko, co pisze się atramentem czarnym zanika i ulatnia się szybko, niczym dym. Nie pozostaje długo. W najlepszym razie leży uśpione przez kilka wieków w ciemności szuflad biblioteki. Ale skazane jest na niebyt.

To, co napisane jest atramentem czerwonym, czerwienią krwi ofiar i cierpienia albo czerwienią szczerych dowodów miłości, pozostaje zapisane aż po ostatni dzień, dzień sądu. I będzie stanowić niezachwiany dowód wiary, przypieczętowany cennym znakiem krzyża. Będzie przepustką do zbawienia.

Wszystko, co pisze się atramentem białym...

-Atramentem białym? - spytał zdumiony dziennikarz NBC. - Atrament biały jest niewidoczny!

- No właśnie - uśmiechnął się zakonnik. - Jest to atrament pokory, ubóstwa, dziecięctwa duchowego, czystości, łaski. Gdy pisze się białym atramentem... można go odczytać dopiero w królestwie niebieskim.

- Ale trwa przez całą wieczność!

Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego (Mt 18,3).

Zmiana reżimu

Niedawno dopiero skończyła się pora deszczowa.

Król Lew zwołał więc listem poleconym wszystkie zwierzęta buszu podzwrotnikowego na obszerną polanę, która rozciągała się na obrzeżach nieprzeniknionej, zielonej gęstwiny drzew.

Miały się odbyć wybory. Na to zebranie wyborcze zjawili się wszyscy zaopatrzeni w regularną kartę wyborczą, trochę ze strachu, trochę dla korzyści - słonie, żyrafy,

nosorożce, kozice, szympany, strusie, różnokolorowe ptaki, wiewiórki, myszy, hipopotamy, jaguary, mrówki...

Z wysokości łoża królewskiej, stary Lew zdecydowanym i potężnym rykiem, uciszył całe zgromadzenie.

Potem zgodnie z rytuałem, który powtarzał się od wielu lat, zabrał głos: - Drodzy przyjaciele, jak wiecie, również w Afryce z nastaniem demokracji, co roku zbieramy się, by wybrać króla puszczy.

Również w tym roku jak zawsze, dokonamy w sposób swobodny wyboru jedyne go przywódcy, który będzie prawnie rządził całym buszem i sawanną... to jest niżej podpisanego, Jego Królewską Mość Lwa!

Wyberzmy go jak zawsze jednogłośnie...

Jednak w tym momencie, w absolutnej ciszy ogromnego zgromadzenia, rozległ się dźwięczny głosik, który dochodził z góry, z jednej z gałęzi baobabu, jakby z łoża teatralnej. Głosik naiwny pytał króla Lwa: - Dlaczego?

Wszystkie zwierzęta buszu odwróciły się instynktownie ku maleństwu, które ośmieliło się mówić. Co więcej, przerwało królowi! Była to maleńka małpka z rodziny szympanów, Pan Troglodytes, uczipiona gałęzi, uczęszczająca do klasy czwartej szkoły podstawowej, mająca brunatne futerko i zaczerwienione oczka.

Król Lew otwierając dobrotliwie masywne łapy w geście wyrozumiałego i pobłażliwego ojcostwa, obdarowując wszystkich wymuszonym uśmiechem, ukazującym 46 zębów, powiedział: - Kochana małpko, jesteś maleńka. Dzieciom wybacz się wszystko, ale gdy niedługo dorośniesz, zrozumiesz i ty!

Każde królestwo potrzebuje króla. Każda wspólnota potrzebuje przewodnika, kondotiera, wodza!

Przekonany, że odpowiedział wyczerpująco, miał zamiar powrócić do swojego krótkiego wystąpienia przedwyborczego, gdy ten sam głosik, z naciskiem znów zapytał: Dlaczego?

Zdumiony i urażony Lew, tym razem z pomrukiem nacechowanym złością zaryczał głośno: - Mała impertynentko! Kto ci udzielił głosu? Czy nie wiesz, że tutaj tylko ja mogę mówić?

- Dlaczego? - zapytała znów zalekniona i drżąca mała małpka.

- No właśnie, dlaczego? - zapytały chórem wszystkie inne małpy i małpki, powodowane swą atawistyczną wadą naśladowania. Dlaczego? Dlaczego?

- Dlatego - ryknął dumnie ze złością Lew, - dlatego, że jestem najsilniejszy! Dlatego, że tu rządzą Ja! Dlatego, że do mnie należy zawsze ostatnie słowo! Dość!

W tym momencie prawie wszyscy obecni, zdenerwowani taką pychą i chcąc wziąć udział w nowej zabawie, po raz pierwszy ośmielili się podnieść głos i zapytać chóralnie, najpierw kilku, a potem wszyscy: - Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

W ten sposób, jak zapisano w księdze historii fauny afrykańskiej, rozpoczęła się wielka, polityczna rewolucja zwierząt. Ex król Lew, trzęsąc się ze złości, odkrył, że jest nagi, opuszczony przez wszystkich, zupełnie sam. I po porażce schronił się wściekły na sawannie, by tam działać w sposób szczególnie okrutny.

Wszystkie zwierzęta buszu - od słoni po kolibry - nauczyły się wreszcie pytać dlaczego? i wspólnie szukać odpowiedzi na wszystkie pojawiające się wątpliwości.

Odkryły w ten sposób dwie zasady życia społecznego: wartość

współodpowiedzialności i owocny trud angażowania się dla zdrowej demokracji.

Każde poważne dlaczego? pomaga zawsze zmienić wszystko na lepsze.

Królestwo moje nie jest z tego świata! (J18,36).

Jest moje!

Już od pierwszych miesięcy, gdy tylko dziecko zaczyna żyć, popłakiwać, wierzgać nóżkami, nieustannie chwyta i przytula się do kogoś czy do czegoś.

A gdy zaczyna mówić, jednym z pierwszych słów, których się uczy, wrodzonych dziedzicznie, jest niewątpliwie deklaracja posiadania: - To jest moje!

Gdy człowiek dorasta, nadal łudzi się, że jest centrum i podstawą świata. Ma przeświadczenie, iż jest królem i absolutnym władcą wszystkiego i wszystkich.

- Ten dom jest mój... ten ogród jest mój... ta osoba jest moja... moje dzieci, moje auto, moja praca, moje pieniądze, mój dzień, moje zdrowie, moje wakacje...

Rzadko, albo prawie nigdy, zadufany w sobie człowiek potrafi dosłyszeć głos wewnętrzny, który pełen pociechy i radości spływa z góry, będąc codziennym refleksem Opatrzności i twórczego Ojcostwa Bożego i który powtarza czule: -

Również ty... jesteś mój!

Będę wam Ojcem, a wy będziecie moimi synami i córkami, mówi Pan wszechmogący! (2 Kor 6,18).

Zagraniczna podróż

Za wyjątkiem tej nieszczęsnej, nieoczekiwanej i pospiesznej ucieczki do Egiptu, Św. Józef nigdy nie był za granicą.

Co więcej, jak wynika z dobrze znanych faktów z Ewangelii, nie mógł nawet odbyć podróży poślubnej.

W związku z Jubileuszem dwutysięcznej rocznicy urodzin Jezusa, św. Józef postanowił (wreszcie!) wziąć krótki urlop i spędzić go z Dziewicą Maryją swą Małżonką w Ziemi Świętej.

Oczywiście, jako oficjalny Patron Kościoła Powszechnego, powinien zjawić się w Rzymie, by spotkać się z Papieżem, a może przyjrzeć się dobrotliwym okiem finansom watykańskim.

Najświętsza Maryja jednak, swym spontanicznym bogactwem serca i zdolnością perswazji wszystkich matek, przekonała Go, by po opuszczeniu Nieba, zatrzymać się u najbiedniejszych dzieci z małej misji w Bukawi, w Burundi, tam gdzie okrucieństwo walk pomiędzy plemionami siało ofiary, zniszczenie, grabieże.

Również dom sióstr, mały kościółek, przychodnia, szkoły i sierociniec poniosły poważne straty, ponieważ zostały częściowo spalone i zniszczone. murzynków burundyjskich, w większości sierot, a wśród nich wielu ciężko chorych, razem z siostrami znalazło się w opłakanych warunkach.

Dla Niebieskich Małżonków, którzy znaleźli się w Bukawi incognito, nie były to wakacje radosne.

Święty Józef stanął na czele grupy wolontariuszy z Caritasu, musiał ubrać ciężki fartuch z niebieskiej tkaniny i wziąć do ręki hebel, pilę i młotek drewniany, skrobak i świder ręczny, gwoździe... Dzięki obfitości drzewa tekowego, uzyskanego z ogromnych lasów, rozciągających się w pobliżu, zdołał naprawić stoły w refektarzu, ławki szkolne, krzesła..., udało mu się też zrobić na nowo cztery wspaniałe huśtawki i

dwie karuzele dla najmłodszych.

Była to praca męcząca i uciążliwa.

Madonna ze swej strony poświęciła się opiece nad murzynkami, ze szczególną troską nad najciężej chorymi, kalekami, chorymi na AIDS, na polio, beri-beri i inne choroby tropikalne i nie chcąc dokonywać cudów poza niebem, pielęgnowała je z całą miłością i oddaniem najlepszej Matki wśród matek afrykańskich.

Dramat żółto-różowo-niebieski wybuchł przy końcu... tak zwanych wakacji zagranicznych.

Madonna bowiem, z powodu zbliżającego się powrotu, zaczęła przemyśliwać, nie spać, cierpieć na serce, często płakać i za wszelką cenę, pomimo pewnych nieśmiałych wątpliwości św. Józefa - chciała wziąć ze sobą do nieba małych murzynków najciężej i nieuleczalnie chorych.

Uczyniła to nocą, korzystając z współdziałania gwiazd.

I tak w Bukawi, pomimo wielkiego smutku wywołanego wyjazdem dwóch "dzielnych Małżonków", którzy powrócili do Ojczyzny, w końcu wszyscy byli zadowoleni. Zarówno chore dzieci, które znalazły się od razu w Raju dzięki Madonnie, jak i mali Burundczycy, którzy pozostali na ziemi, wśród huśtawek i ładnych mebli zrobionych przez św. Józefa.

Gdy matka przełożona wspólnoty z Bukawi, siostra Monika, skończyła opowiadać współtowarzyszkom ten wspaniały sen, jaki przyśnił jej się ostatniej nocy, wszystkie siostry Niepokalanki wzruszone zaczęły klaskać i wycierać sobie łzy radości. Ale jedną z nich, znającą nadzwyczajną świętość matki przełożonej, ogarnęło zakłopotanie. W głębi serca pojawiło się pytanie.

Czy chodziło rzeczywiście o jakiś sen? Czy nie był to może znak zapowiadający nowe łaski niebieskie?

Kto wie?

Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych! (Łk 1,52).

Wielkie osobistości

Był dziennikarzem cieszącym się sukcesami.

Błyskotliwy, cyniczny, oportunista.

Wśród możliwych rozpływający się i słodki, dla słabych kąśliwy i złośliwy.

Profesjonalny, złośliwy krytyk Kościoła. W otoczeniu innych ludzi odznaczał się nieczułością serca, które nadawało jego oczom blask diabelskiej nienawiści.

Był w pełni zadowolony z siebie, nadęty i zaspokojony jedynie wówczas, gdy w bezpiecznym miejscu, z dala od wszystkich możliwych ataków ze strony Kościoła (zemsta zjawia się prawie wyłącznie ze strony możliwych z zakresu finansów, polityki lub profesjonalistów przemocy) mógł rzucać na pastwę publiczności jakiś występki księzowski, jakiś skandal z zakrystii, prawdziwy czy wydumany.

Był nieodpowiedzialny jak głupi syn Noego, który śmiał się ze wstydu ojcowskiego. Zrozumiał to zbyt późno.

Wtedy, gdy pożerany przez raka, który niszczył mu lewą szczękę, znalazł się sam, zrozpaczony, opuszczony przez wszystkich. Przez swe kochanki przede wszystkim, a potem też przez własną rodzinę.

Jedynie pewna siostra miłosierdzia codziennie po matczynemu, nie zważając na fetor ropy, robiła mu opatrunki z wielką delikatnością, uśmiechając się do niego i dodając odwagi. Robiła to w imię Pana Jezusa, którego on tak często wyśmiewał i który teraz, w głębi jego udręczonego sumienia, ciągle mu powtarzał miłosiernie, nazywając po imieniu, jak to uczynił z Szawłem: Dlaczego Mnie prześladowałeś?

Wybaw mnie Panie od prześladowców! (Ps 142,7).

Książę tego świata

Na piątym Kongresie Regionalnym (producentów jabłek) w Val di Non, wśród wielu sprawozdań na temat fitoiatrii sadów jabłoniowych, na temat opłacalności owoców i jarzyn na rynku Zjednoczonej Europy, na temat nawadniania skomputeryzowanego, na temat konserwacji jogurtów zawierających jabłka itd. - znalazło się również krótkie, ale interesujące doniesienie, przedstawione przez dr Erikę Stortz, która posiadała dyplom z teologii moralnej na uniwersytecie w Tebingen.

Oto temat krótkiego wystąpienia: "komentarz teologiczno-fito-antropologiczny, dotyczący Księgi Rodzaju (3,1-13)", która opowiada o słynnym kuszeniu jabłkiem w

Raju. Na kongresie producentów jabłek, w środowisku tradycyjnie katolickim, nie można było wygłosić niczego lepszego.

Wypowiedź dr Stortz skoncentrowała się na mądrej refleksji i dokładnej analizie zasadniczego pytania: Dlaczego szatan wybrał właśnie jabłko, by kusić Ewę?

Odpowiedź wyłoniła się z trzech logicznych stwierdzeń i jednocześnie wystarczająco realistycznych, mimo że nie była pozbawiona ukrytego celu promocyjnego. W każdym razie stwierdzenia były przekonujące nie tylko dla handlowców jabłek z Val di Non, ale również dla nas konsumentów.

Diabelski wybór spowodowany był przede wszystkim faktem, iż jabłko jest owocem pięknym i wspaniałym. Jest ładne (Rdz 3,6), urocze w swych setkach odcieni kolorów. Jest prawdziwą paletą przyrody. Piękno jest zawsze pierwszym czynnikiem, który przyciąga. Tak ku dobremu jak i ku złemu.

Można pragnąć jabłka, a z pragnienia rodzi się uwodzenie, które fascynuje jak wąż i nie porzuca swej ofiary. Każdy wybór jest normalnie owocem pragnienia.

Jabłko (zobacz bajkę o pięknej śpiącej w lesie i tragiczną historię Wilhelma Telia) było też zawsze idealnym środkiem i ulubionym instrumentem czarownic, trucicieli, prześladowców, despotów, tyranów - w celu rozpowszechniania zła.

Również szatan, przeciwnik dobra, posłużył się nim, by zaszczerpić w pierwszych ludziach ducha diabelskiego. Ojciec fałszu (J 8,4) poprzez owoc jabłoni, zasiał w świecie szatańskiego wirusa kłamstwa.

W ten sposób, poprzez dziedziczność pożądlivosti, pomimo oczyszczenia przez chrzest, szatan stał się dla człowieka oddalonego od Chrystusa - księciem tego świata.

Każdy, kto żyje w duchu świata jest więc zatruty fałszem i jest niewolnikiem kłamstwa. Chodzi o ogromne skażenie, gdyż kłamstwo nie jest po prostu tylko błędem, ale jest wypaczeniem prawdy.

Kłamstwo atakuje, powodując gangrenę wszystkiego.

Istnieją wielkie kłamstwa dyktatorów, polityków, lobby finansowych, propagandy masmediów, czarowników, szamanów... Istnieją kłamstwa litościwe udreńczonych matek, lekarzy, asystentów społecznych, hipokrytów sekciarskich, pochlebających

krytyków... Istnieją ograniczenia umysłowe i schlebiające kłamstwa społecznych karierowiczów, zakochanych, lizusów i pasożytów... Istnieją oszukane przebieranki i makijaż sceniczny, kosmetyczny albo narkotyczny modnego ekshibicjonizmu...

Kłamstwo często tryumfuje.

Jest sztandarem księcia tego świata.

Miejscem diabła.

Istnieje tylko jedno lekarstwo na klęskę kłamstwa: trzeba spojrzeć z wiarą ku Temu, który powiedział: - Ja jestem Prawdą!

Nie proszę, abyś ich zabrał ze świata, ale byś ich ustrzegł od złego! (J 17,15).

Na równinie Invrei

Trochę powyżej Varazze, na równinie Invrei, o dwa kroki od auto-grila, zobaczyłem pień starego drzewa oliwnego, zrujnowany, powyginany, w większości wypalony przez pożar, który przed kilku laty zniszczył wspaniałą taras górski, graniczący z błękitną taflą morza.

- Było to drzewo oliwne liczące setki lat - opowiada mi wieśniak. Było w większej części wypalone. Wydawało się być skazane na ewidentną śmierć.

Minęło 6 lat. I oto zeszłej wiosny zaczęło kwitnąć, a jesienią wydało owoce. Małe, ciemne, smaczne oliwki.

Nie istnieje taka sytuacja ludzka która, mimo że poważna i tragiczna, nie mogłaby być naprawiona lub wyjaśniona.

Zawsze można coś zmienić.

Ogień może zniszczyć tyle rzeczy.

Nie zniszczy jednak nadziei!

Nikt bowiem, kto Panu ufa, nie doznaje wstydu! (Ps 25,3).

Niewidoczna bieda

Prawdziwa bieda jest autentycznie niewidoczna.

Szczera bieda jest ukryta: jest podobna do choroby serca; jest zamaskowana, przechodzi incognito, nie zauważa się jej, nie hałasuje.

Bardzo rzadko ją spotkasz: tylko przypadkowo.

Przemierzyłem setki razy park w moim mieście. Tysiące razy przechodziłem pod starym, sękatym platanem, wyschniętym, uszkodzonym, pozbawionym kory, ale nigdy nie zwróciłem na niego uwagi.

Zauważyłem go dopiero dzisiaj rano, gdy wielki odłamek gałęzi oderwał się od pnia i upadł pod moje nogi.

Otworzyły mi się oczy. To był naprawdę biedny platan.

Tak biedny, że musiał umrzeć!

Albowiem zawsze ubogich macie u siebie! (Mt 26,11).

Ludzie błędzący

Młody profesorek, matematyk, przeklinał od dzieciństwa jak szatan. Jako dziecko mieszkał u dziadków ze strony matki, w Toskanii. W wieku 28 lat, wstydząc się wielu okropnych zachowań, wynikających z tej brzydkiej przywary, postanowił się poprawić, uczęszczając na kurs teologii dogmatycznej na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie.

- Dzięki temu - myślał - odkryję korzenie mojej wiary chrześcijańskiej, której z resztą nigdy nie porzuciłem i z pewnością nie będę już przeklinał tak jak Turek!

Dzisiaj, po 2 latach od uzyskania dyplomu z teologii dogmatycznej, gdy się złości nie klnie już jak Turek.

Nadal jednak przeklina jak chrześcijanin.

Dyplom z teologii niestety nie stanowi o stanie łaski.

Beze Mnie nic uczynić nie możecie! (J 15,5).

Podróż poślubna

Dwa zakochane krety w pełni lata udaty się w podróż poślubną wzdłuż brzegu rzeki Pad i w szale szczęścia małżeńskiego, przez kilka miesięcy kopały pod ziemią, tworząc szeroką sieć tuneli, pomiędzy dwoma zboczami lewego wału ochronnego.

Kilka miesięcy później, w czasie nadzwyczajnego podniesienia się poziomu rzeki, w listopadzie, prąd dostał się do tysiąca małych korytarzy, wykopanych przez dwa krety

i powoli otwierała się 60-metrowa droga do wód, które niszcząc cały lewy wał ochronny, zalały pola gospodarcze, obory, wioski, siejąc wszędzie zniszczenie i ruinę. A jakie były reakcje?

Wielu ludzi przeklinało niebo; wielu wymyślało złodziejskiemu rządowi, gazety oskarżały zarząd wód, niektórzy wymyślali obronie cywilnej, inni jeszcze syndykowi...

Niestety, nikt nie dowiedział się nigdy o tym, co spowodowały dwa zakochane krety, w czasie swej podróży poślubnej.

W jakiej bowiem sprawie sędzisz drugiego, w tej sam na siebie wydajesz wyrok! (Rz 2,1).

Człowiek prawdy

Był rybakiem biednym, ale uczciwym.

Mieszkał w jednej z wielu wsi portugalskich, położonych nad brzegiem Atlantyku.

Naprawiał sieci swej łodzi i na słońcu suszył na matach trzciniowych ryby, które udało mu się złowić w ciągu nocy.

Był mężczyzną małomównym: nie miał wielkich ambicji, nie krzywdził nikogo.

Posiadał rzadką i niebezpieczną cnotę: zawsze mówił prawdę wszystkim i o wszystkim. Niektórzy jego krajanie, z tego właśnie powodu zwracali się do niego w zaufaniu, w trudnych momentach.

Wszystko to jednak było dość ryzykowne, gdyż niezbyt podobalo się to wójtowi i bogatym mieszkańcom wsi.

Wielu bowiem ludzi nie lubi prawdy. Co więcej, boi się jej! Wiele osób stara się czynić wyłącznie to, co jest im wygodne, co może być dla nich korzystne. Dlatego uciekają się do czarowników i dobrze opłacanych oszustów.

Za pomocą tysiąca podstępów i oszczerstw, szajce wójta i bogaczy wiejskich udało się, umieścić rybaka w przytułku dla dziecienniałych starców.

Biedny rybak, pozbawiony swego morza i możliwości mówienia prawdy, w krótkim czasie zmarł ze smutku.

Od tego czasu wieś stała się małym gniazdem żmij.

Gdy zanika prawda, nastaje epoka trucizn.

Strzeżcie się, abyście nie stawiali oporu Temu, który do was przemawia! (Hbr 12,25).

Pingwin w Westminsterze

Pewien pingwin z bieguna polarnego nieoczekiwanie obudził się pięknego poranka na brzegu Tamizy w Londynie, dokładnie naprzeciw parlamentu angielskiego i wieży Big-Ben, pod przęsłem słynnego Westminster Bridge.

Prawdopodobnie podróżował wiele dni, ukrywając się na jakimś statku wielorybniczym, powracającym z Arktyki. W środku nocy, z prądem Tamizy dotarł do platformy podtrzymującej filar mostu i głęboko zasnął.

Dźwięki słynnych kurantów z Clock Tower obudziły go nagle, gdy słońce już pokazywało się na horyzoncie.

Przetarł sobie kilkakrotnie oczy, niedowierzająco przyglądał się wielkiej, neogotyckiej budowli Parlamentu, malowniczej i wyjątkowej, potem zniechęcony i przestraszony zawołał: - Co za szpetota, co za prostactwo! Budowla absurdalna, taka stara, poczerniała, z tyłu strzelistymi zakończeniami... Moje góry z niepokalanego lodu, błyszczącego, krystalicznego są piękniejsze.

O wiele ładniejsze są te moje bezkresne pola śniegu i fantastyczna gra pływających pól lodowych czy ogromne katedry gór lodowych!

Gdy podniósł potem wzrok na lewo na Trafalgar Square i ku Waterloo Station w prawo, oszołomił go hałaśliwy i nieustanny ruch autobusów i aut, smog unoszący się w powietrzu, brud rzeki i jej portowego mola, niespokojny ruch ludzi, podobnych do rzeki oszalałych mrówek.

Pomyślał o swych bezkresnych obszarach śniegów polarnych, o ciszy miesięcy zimowych, o zabawach fok trzpiotek, o spokojnym, kołyszącym się kroku niedźwiedzi poszukujących ryb, o rzadko pojawiających się sankach eskimoskich, ciągnionych przez renifery, o długim lecie polarnym, gdy słońce pływa na horyzoncie, o wiecznych, dających wytchnienie, letargach zimowych.

Zalękniony, niewinny pingwin, który zobaczył po raz pierwszy ogromne miasto białych ludzi, zapytał siebie: -Czy potrafią jeszcze żyć, ci dzisiejsi ludzie, więźniowie

takiego sztucznego piekła?

Właśnie w tym momencie jakiś biedak, jeden z tylu włóczęgów i desperatów życiowych, rzucił się z mostu do zimnych wód Tamizy i utopił się.

Dla pingwina była to jasna odpowiedź... płynąca z nieba.

Z szarego nieba Londynu.

Bo ani obrzezanie nic nie znaczy, ani nie obrzezanie, tylko nowe stworzenie! (Ga 6,15).

Jubileusz

Erich Stónemberg, przedsiębiorczy i bogaty antykwariusz bawarski, nieposkromiony wesolek i zatwardziały kobieciarz, należał do wspólnoty katolickiej jedynie na piśmie. Za wyjątkiem jakiejś skromnej ofiary wysłanej na gwiazdkę dla "Misereor" i na dzieła parafialne w nic się nie angażował.

Jednak Jubileusz roku'2000 i pięćdziesiąta rocznica jego małżeństwa oraz niepokojące zaostrzenie się pewnych dolegliwości, wywołanych nerwicą serca pochodzenia emocjonalnego, przekonały go do próby zmiany życia i udał się z pielgrzymką do Rzymu, aby uzyskać odpust jubileuszowy.

Z uwagi na fakt, że żył w otoczeniu raczej protestanckim, nie posiadał jasnych idei dotyczących odpustów. Po zrobieniu dokładnego zestawienia własnych dochodów i długów moralnych wobec Boga i bliźnich, ciężących mu na sumieniu, sądził, że dla uzyskania odpustu zupełnego wpłaci ładną sumkę 100 000 Euro banknotami po 500 każdy. I umieścił je w portfelu.

Po przybyciu do Rzymu samolotem Lufthansy i po zainstalowaniu się w Hotelu Exelsior, przez telefon, jak mu poradził proboszcz, umówił się na spotkanie z pewnym niemieckim biskupem, penitencjariuszem u św. Piotra, prosząc go o co najmniej 45 minut czasu, by móc odprawić spowiedź generalną.

Następnego dnia rano, w pomieszczeniu przy zakrystii Bazyliki św. Piotra, Erich Stónemberg otworzył swe serce przed spowiednikiem ze szczerą skruchą. W końcu, gdy już oczekiwał na podanie końcowego rachunku i sumy Euro do wpłacenia, usłyszał jedynie ojcowskie słowa pociechy, radości, nadziei, zachęty wraz z prośbą o zrobienie jakiegoś dobrego uczynku i odwiedzenia pozostałych trzech bazylik

większych, z gorącą modlitwą za Kościół, za Niemcy, za Papieża.

O wpłacie w Euro ani słowa!

Jednak Erich, pod koniec pielgrzymki po bazylikach rzymskich i po gorącej modlitwie, czuł się tak szczęśliwy, że złożył natychmiast 100 000 Euro w klasztorze niemieckim sióstr od Świętego Krzyża, prosząc o długą modlitwę dziękczynną za siebie i za swoją rodzinę i dołączył po 50 000 Euro dla ubogich będących pod opieką niemieckiej "Misereor" i Caritasu włoskiego.

Po powrocie do Hotelu, po godzinach wielkich emocji, Erich Stönemberg nagle poczuł straszny ból serca, któremu towarzyszył zimny pot, sinica, zawroty głowy.

Karetką pogotowia na sygnale zawiozła go do Polikliniki Gemelli. Został poddany dokładnym badaniom i zatrzymany przez całe popołudnie w sali reanimacyjnej.

Jednak już wieczorem antykwariusz niemiecki przyszedł do siebie w sposób cudowny i marzył o dobrej kolacyjce z piwem Bauernschmaus i makowcu.

Przypadek klinicznie niewytłumaczalny.

Został zwolniony z kliniki następnego ranka szczęśliwy i zadowolony.

Prawdopodobnie w tym niezapomnianym dniu, twarde serce kamienne zmieniło się w czułe serce z ciała.

Często tak się dzieje z okazji Jubileuszu.

Dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne a dam wam serce z ciała! (Ez 36,26).

Zawsze ciebie wyprzedza

Jeżeli wykopiesz głęboką studnię, jakiej nikt inny nigdy dotąd nie wykopał, do której nie dotarło żadne spojrzenie ani ręka ludzka - znajdziesz tam ślad Boga. Rozpoznasz Go po składzie chemicznym bryłki ziemi, w szlifie maleńkiego kryształu, w żyłkach jakiegoś kamienia, w przejrzystości kropli wody.

Jeśli pukając, uda ci się uchylić drzwi jakiegoś serca, nawet najbardziej opornego, skamieniałego i buntowniczego - zauważysz, że On, Duch Pana dotarł tam już przed tobą i otworzył ci drogę.

Jeśli przekroczysz kiedyś granice przestrzeni gwiazdnych i dotrzesz do granic

stworzenia, znajdziesz tam oczekującego na ciebie Ducha Bożego. On jest
Niezmierny.

Jeśli uda ci się przekroczyć granice czasu i przewyciężyć nieuniknioną
zapomnienia, znajdziesz za tajemnymi drzwiami Twego Pana. On jest wieczny.
Gdy w roku 2000 otworzyły się w Bazylice Św. Piotra Święte Drzwi, kogo tam
spotkałeś? Kto ci wyszedł naprzeciw? Duch Święty. Zawsze Ten, który kieruje
historią i wędrówką wieków.

Ufaj więc! Miej odwagę! Bądź radosny!

Pora wielkich obietnic dla chrześcijan nigdy się nie kończy.

Moje słowa pozostaną na wieki!

Duch Pana jest siłą żywotną. On kieruje zarówno tą kruchą i zadziwiającą
rzeczywistością stworzoną, jaka nas otacza, jak i nieskończoną tajemnicą świata
nadprzyrodzonego.

On jest obecny i działa w każdym stworzeniu, gdyż jest Panem i daje życie. Miej
więc radosną pewność, że w każdej chwili będziesz mógł znaleźć Go żywego i
twórczego w sercu, w sumieniu, w krokach każdego mężczyzny i każdej kobiety.

On jest pierwszym Operatorem "nowej ewangelizacji"! Często postępuje w
całkowitym milczeniu, ale nieprzerwanie. Nikt - nawet gdy nie jest się tego
świadomym - nie może zostać zupełnie obojętnym na nowinę Chrystusa.

Przeżywamy okres drugiej Pięćdziesiątnicy. Przypomina nam o tym Papież Jan Paweł
II, gdy wyraża życzenie: - "Wiosna" Soboru Watykańskiego II, aby mogła znaleźć w
nowym tysiącleciu swe "lato", to jest swój dojrzały rozwój.

Ty możesz być bohaterem tego "nowego lata".

Bądź silny i odważny!

Duch Pana idzie przed tobą, czeka na ciebie. Towarzyszy ci. Będzie zawsze z tobą!

Pan nie zwleka z wypełnieniem obietnicy! (2 Pt 3,9).